



BEATA KIECANA

# Układy

PRAWIE IDEALNE



NOVAE RES

BEATA KIECANA

# Układy

PRAWIE IDEALNE



NOVAE RES

Wszelkie podobieństwa zdarzeń, miejsc i osób są tylko i wyłącznie przypadkowe.

*Dziękuję ludziom, którzy weszli do mojego życia i w nim zostali. Ale najbardziej chciałabym podziękować tym wszystkim, którzy z niego wyszli.*

## *Spis treści*

Nie pytaj o drogę

Nie igraj z miłością

Zapach Pakistanu

Podróż przedślubna

Finanse i bankowość

Beti w Afryce

Na starych śmieciach

Sympatyczne na Sympatii

Dużo, dużo później...

## *Nie pytaj o drogę*

Właściwie zaczęło się w Święta Wielkanocne od wizyty ciotki Do u mojej mamy. Kiedy zobaczyłam tę potrójną rozwódkę (lat pięćdziesiąt osiem), wysiadającą z najnowszej wersji mercedesa, za kierownicą którego siedział niesamowicie przystojny facet (lat około trzydziestu), dosłownie opadła mi szczęka. Z samochodu najpierw wyłoniły się obłądnie długie nogi mojej ciotki, potem jej tyłek opięty w skórzaną mini (też obłądny, dacie wiarę? w jej wieku!), a potem cała jej powabna postać pruła przez podwórko, robiąc więcej zamieszania, niż cała ta sytuacja była warta.

– Co to był za facet? – pytam z nieuzasadnioną pretensją.

– A, taki jeden. – Ciotka wzrusza ramionami i rozgląda się za czymś do jedzenia. – Podwiózł mnie po prostu.

– A długo się znacie?

– Od pół godziny. Od kiedy mnie podwiózł.

Reszta wielkanocnego przyjęcia minęła jej na odbieraniu SMS-ów i odpisywaniu na nie. Telefon był rozgrzany do czerwoności i ona chyba również.

I tak to moja ciotka (która niedawno zakończyła płomienny romans z pilotem z Madrytu, chwilę potem już nie tak płomienny z jakimś gościem z Rzymu, w międzyczasie rozważała wyprawę do Nowego Jorku, bo poznała kogoś na Sympatii, a kilka dni temu wróciła z Belgii, gdzie – jak napomknęła – spotkała również kogoś niegłupiego) poznała kolejnego faceta.

– Czy myślisz, że ja na starość też będę miała takie powodzenie? – zagajam z czystej ciekawości.

– Moja droga, ja je miałam również w młodości – odgryza się.

No, to mi dopiekle.

O siedemnastej koleś podjeżdża i zabiera ciotkę z naszej imprezy. W tle słychać tylko marsz Mendelssohna, który nucę sobie pod nosem.

– Zazdroszczę jej – wzdycham.

– Czego? – oburza się moja mama, kompletne przeciwieństwo swojej zwariowanej siostry.

– Tego luzu, przygód, tej radości życia.

Bo moje wygląda tak. Rano odprowadzam Melę, moją czteroletnią córkę, do przedszkola, wracam do domu, pracuję chwilę (nie lubię się przemęczać), ucinam sobie dwugodzinną drzemkę (bo jestem zmęczona), wstaję, odbieram Melę z przedszkola, wracamy, smażę jej dwa jajka (nic innego nie miałam czasu przygotować), puszcza jej bajkę, wychodzę na fajkę, potem śpiewam Meli kołysankę, a kiedy już śpi, wychodzę na balkon, wypalam trzy fajki i idę spać. I tak

dzień w dzień. A nie, zapomniałabym... Trzy razy w tygodniu przychodzi do mnie na fajkę sąsiadka Margo, kiedy już położy dwójkę swoich dzieci spać, a raz na dwa tygodnie wypijam kilka piw z Doris, moją drugą sąsiadką. Bo raz na dwa tygodnie nasze dzieci nocują u swoich ojców i mamy chwilę dla siebie (czyli na to, żeby się w piątek upić, a w sobotę wytrzeźwieć).

Wszystko jak w zegarku. Kompletnie przewidywalne.

– Mamo, ja naprawdę ciotce zazdroszczę – powtarzam, pakując rzeczy do torby.

Mama puka się sugestywnie w czoło.

Chwilę później wyjeżdżam do Warszawy, gdzie staram się ułożyć sobie życie od mniej więcej siedmiu lat.

\*\*\*

Jakiś mądry człowiek powiedział: „Uważaj, o czym marzysz, bo może się to spełnić”. I chyba miał rację, bo na drugi dzień moje życie nabrało tak szaleńczego tempa, że nie panowałam już nad niczym, nie mówiąc już o przewidywaniu czegokolwiek.

\*\*\*

Rano odstawiam Melę do dziadków i jadę na spotkanie z klientką, na Wolę. Deszcz leje niemiłosiernie. Na mapie znam się jak Zabłocki na mydle – mimo że przestudiowałam ją w domu milion razy, w rzeczywistości te ulice jakieś większe są i leżą zupełnie nie po tej stronie, gdzie sądziłam. I nie mogę tej cholernej ulicy znaleźć, mimo usilnych starań. Przede mną jakiś mężczyzna w czapce z daszkiem na głowie i słuchawkami w uszach. Jedyna nadzieja.

– Przepraszam, nie wie pan, gdzie jest ulica Złocienia? – zagajam.

Wyjmuje słuchawki.

– Nie wiem, ale zaraz mogę pani na GPS znaleźć.

Szuka w swojej komórce, a mi deszcz leje się na głowę.

– Dobra, niech już sobie pan da spokój – mówię, bo postanawiam w nagłym olśnieniu zadzwonić do tej kobiety. Ruszam naprzód. Po chwili, ku mojemu zdziwieniu, facet zaczyna za mną biec. Zboczeniec jakiś?

– To nie może się tak skończyć – wyrzuca z siebie.

– Jezu! Ale co? – Nie wiem, o co mu chodzi.

– Jak pani ma na imię? Wypijemy kawę?

– Beti.

– Ja jestem Piotr. – Podaje mi rękę.

– Ale o co chodzi?

– Jesteś piękna.

– Słucham? – Niby dziś rano myłam uszy...

– Musimy się jeszcze spotkać.

– To masz tu mój numer i zadzwoń kiedyś, teraz nie mam czasu.

Przyspieszam kroku i staram się zapomnieć o całej sytuacji, bo może tylko mam jakieś omamy i to nie wydarzyło się naprawdę.

Dzwonię jeszcze tylko do Margo.

– Poznałam faceta...

– To dobrze.

– No, nie wiem, czy dobrze...

– A ja ci mówię, że dobrze

– No dobrze, to cześć.

– Dobrze, cześć.

Ulicę znalazłam, spotkanie odbębniłam i szybko wróciłam do domu, żeby uciąć sobie drzemkę, póki Meli nie ma w domu, a swoją drogą bardzo mnie to wszystko zmęczyło. Budzę się, a tu cztery nieodebrane połączenia z obcego numeru. Nie, nie, nie oddzwaniam.

\*\*\*

Rano przychodzi do mnie sprzątaczką, którą wezwałam do siebie, kiedy już nie mogłam drzwi do własnego mieszkania otworzyć i zaczęłam podejrzewać, że chyba mam bałagan. Mela angażuje się w robienie porządków, właśnie walczy o to, kto ma odkurzać, kiedy dzwoni telefon.

– No hej, tu Piotr.

– Aha...

– Wiesz który?

– Aha... – Litości, jaką ja inteligencją popisuję się podczas tej rozmowy...

– Nie mogę przestać o tobie myśleć...

– Słuchaj, człowieku – ucinam ten melodramat. – A skąd ty wiesz, że ja nie jestem mężatką?

– A jesteś?

– No nie...

– To dobrze.

– Ale są może inne przeszkody?

– Może dla ciebie to są przeszkody, a dla mnie nie?

– Muszę kończyć. Cześć.

Chwilę później wpada Doris.

– Wiesz co, jakiegoś wariata poznałam – mówię.

– Co ty?

Nie wiem, dlaczego ją to dziwi, skoro normalnych facetów od lat nie możemy poznać i omawiamy ten problem co drugi piątek.

– No, wariat, zobaczył mnie na ulicy i stwierdził, że taka piękna jestem.

- No, to rzeczywiście wariat, a może jeszcze niewidomy.
  - Oj, spadaj!
  - Ale ja też dziś wariata poznałam.
  - Ty, może to ten sam? Ha, ha, ha.
  - Byłam na randce – zaczyna. (No, no, ja tak daleko jeszcze w swoich wyczynach nie zaszłam).
  - No i? – aż dyszę z ciekawości.
  - Przez Internet go poznałam, no i się umówiłam w końcu. Boże, tragedia. Pytam, czym się zajmuje, a on, że niczym w sumie. „Jak to?” – dziwię się. „No, bo te sprawy w sądzie...” „Jakie sprawy?” „No, te z Moskwą”. W tym momencie się wyłączyłam, bo zaczęłam kombinować, jak stamtąd zwać. Kiedy się włączyłam, ten coś mówił. Pytam: „Co mówiłeś?” „Carrefoura mamy na Targówku”. „Co?” „Carrefoura mamy na Targówku”. W tym momencie wyciągnęłam sześć złotych i zapłaciłam za swoją colę. Powiedziałam, że muszę na Mokotów pilnie jechać.
  - A on co?
  - No to, że jakby co, to na mejla. Na co ja: „No, na mejla, na majla”.
- \*\*\*

Ósma czterdzieści rano. Mela odprowadzona do przedszkola, a ja zasiadam do porannej kawy. Sielankę burzy dzwonek telefonu.

- Halo?
- Tu Piotr, pamiętasz mnie?
- No, coś mi świta.
- Śniłaś mi się dzisiaj – wyznaje na wstępie.
- Boże! – przerażam się. – No i co?
- Było cudownie...
- Dobra, już nie opowiadaj mi – chcę uciąć temat.
- Spotkajmy się.
- Słuchaj, ja jestem naprawdę bardzo zajęta. Nie wiem, kiedy bym mogła.
- A czym ty się zajmujesz? Chcę wiedzieć coś o tobie.
- Ale po co?
- Zauroczyłaś mnie wtedy. Stąd moja szybka reakcja. Nadal nie mogę otrząsnąć się po naszym spotkaniu.
- Mam firmę kosmetyczno-wizażową.
- A ja pracuję w radiu.
- Jakim? – pytam, bo brzmi to ciekawie.
- A, takim regionalnym, legionowskim.
- No, to już tak ciekawie nie zabrzmiało, ale trudno, ustawię tę randkę.
- To może w piątek...
- Dobrze, to w piątek.



– No, to w piątek.  
– A co byś chciała w piątek porobić?  
– Nie wiem, jest poniedziałek rano, skąd mam wiedzieć, co będę chciała robić w piątek?  
– A może... – Zawiesza głos. – Może masz ochotę na wieczór we dwoje?  
– Słucham?  
– Wieczór we dwoje... Wiesz, ja tak pod wpływem tego snu o tobie. Przepraszam.

Cholera jasna! Co on mi chciał zaproponować? Bzykanie z piątku na sobotę?  
– Zadzwoń do ciebie bliżej piątku – kończy.  
Przez to wszystko kawa mi wystygła. I z zimną wychodzę na balkon, żeby zapalić i odreagować. Dzwonię jeszcze do Doris.

– Ty wiesz, że on mi wieczór we dwoje zaproponował? – oburzam się.  
– Ha, ha, co to za propozycja? We dwoje chyba, bo co on, chciał z kolegami wpaść?  
– No, z dupy ta propozycja, mówię ci.  
– I to jeszcze jak z dupy! – potwierdza Doris.

Dobra, opuszczam balkon, bo muszę się zbierać do pracy. Pakuję kosmetyki do trzech toreb i idę na autobus. Znów leje deszcz. Jadę. Kurczę, którą do tej Wesołej? Na mapie nie miałam czasu sprawdzić, zresztą co by to dało? Przesiadam się już czwarty raz. No dobra, poddaję się. Dzwonię do klientki, żeby to odwołać i wrócić do domu. Ale ta uparta, twierdzi, że czeka. No, to jadę dalej. W autobusie poznaję uroczą, dziewięćdziesięcioletnią staruszkę, która twierdzi, że też jedzie do Wesołej i mam się jej trzymać, to nie zginę. Razem przesiadamy się do kolejnego autobusu. Wreszcie wysiadam na przystanku Wesoła – Ratusz i żegnam się czule ze staruszką, nie wymieniwszy się jednak numerem telefonu. Każda z nas idzie w swoją stronę, z tym że ja nie wiem, w którą stronę mam iść. Stoję więc pod ratuszem i moknę. Na horyzoncie widzę faceta. Jest światełko w tunelu.

– Przepraszam, nie wie pan, gdzie jest ulica Gibalskiego?  
– Nie wiem, ale mogę pani na GPS sprawdzić.  
Czy ja mam déjà vu? To już było grane! Ale dobra, przeżyjmy to jeszcze raz.  
– To niech pan sprawdzi.  
– Teraz idę do ratusza po dowód rejestracyjny, ale jak wyjdę i pani tu nadal będzie, to sprawdzę.

– Nie sądzę, żebym się ruszyła stąd gdziekolwiek.  
Super! Ciekawe, ile to potrwa? Godzinę? Przecież ja tu moknę! Nagle z ratusza wybiega ten sam facet.

– No nie, źle to wymyśliłem. Pani daje te torby i idziemy do mojego samochodu. Zawiozę panią.

Świetnie. Sunę więc za nim jak ślepe kocię we mgle. Prowadzi mnie do

najfajniejszej bryki na parkingu, więc wszystko zapowiada się obiecująco.

Chcę wsiąść od strony pasażera, ale on na to:

– Nie, nie, tu moja mamusia siedzi!

Siadam więc z tyłu i grzecznie mówię: „dzień dobry”.

– Mariusz, kto to jest? – dziwi się hetera.

– A to, mamusiu, jest taka pani, którą muszę gdzieś podwieźć.

– Ja nic nie rozumiem! Gdzie masz ją podwieźć?

– Na Gibalskiego.

– Gdzie? Na Kondratowicza? – Jakaś nienormalna albo przygłucha.

– Oj, mamó!

– A dowód rejestracyjny załatwiłeś?

– Oj, mamó!

– No, cały ty!

– Wiesz co, mamó? Wysiadaj!

– Co?

– No, wysiadaj!

– Jak to?

– Idź na pocztę, pozałatwiał swoje sprawy, bo ja naprawdę na spokojnie muszę tę panią zawieźć.

Zatrzymuje się, wysadza kochaną mamusię na deszcz, a ja grzecznie mówię jej: „do widzenia”. Po czym wybucham nieopisanym, niekontrolowanym śmiechem. A on, ku mojemu zdziwieniu, również.

– No, to swoją przyszłą teściową już pani poznała.

– To samo pomyślałam.

I znów padamy ze śmiechu. Ale nagle uderza mnie coś w tym stwierdzeniu.

– To pan jest wolny?

– No, wolny.

– Ja też.

– To cudownie!

– No!

Chwila ciszy.

– Mariusz jestem.

– Beti.

– To zapraszam do przodu.

Jedziemy, byle jak najdalej od toksycznej mamuśki.

– Wiesz co? – mówię. – Ostatnio śniło mi się, że poznaję faceta i od razu, ale to po prostu od razu, zaczynamy się dogadywać. Jakbyśmy się znali całe życie. Ale rano opowiedziałam ten sen sąsiadce i zgodnie stwierdziłyśmy, że to niemożliwe.

– No, popatrz, a jednak...

– A jednak...

- Już jesteśmy na miejscu. Ale co to? Przedszkole? Do przedszkola idziesz?
- Najwidoczniej... – Też się dziwię.
- Tylko nie pobudź maluchów, bo pewnie mają leżakowanie o tej godzinie.
- Wejdę na paluszkach i po cichutku zrobię im makijaż we śnie.
- No, to leć.
- Ale, Mariusz...
- No co?
- Nic. Za godzinę kończę.
- To daj mi swój numer. Albo nie, weź mój. Już sam nie wiem...
- Najlepiej ty weź mój, a ja wezmę twój, bo na odwrót to bez sensu, gdybyś ty wziął swój na przykład.

Wysiadam, opieram się o płot i jeszcze długo trzęsę się ze śmiechu, ale po cichutku, żeby przedszkolaków nie obudzić. Okazało się jednak, że klientką jest właścicielka tego przedszkola. W godzinę robię ją na bóstwo i lecę.

Nie ma go. Dzwonię. Nie odbiera. Nic to. A miało być tak pięknie... Cholera! Idę na autobus. Nagle patrzę, a ja trzy domy od ratusza jestem. Czy mi się wydaje, czy my tu z pół godziny jechaliśmy? W autobusie telefon. Mariusz.

- Gdzie ty jesteś?
- W autobusie.
- No i co teraz będzie?
- Zawsze mogę wysiąść.
- To wysiadaj.

Wysiadam. Stoję i moknę gdzieś pod jakimś lasem. Z nadmiaru wolnego czasu postanawiam zadzwonić do Doris.

- Słuchaj, faceta poznałam!
- Coś ty?
- No, znów zapytałam o drogę.
- Cholera, że też ja samochodem jeżdżę!
- Ty się natychmiast na autobus przesiądź. I koniecznie pytaj o drogę.
- Ale pewnie żonaty?
- Nie, wolny. To było moje następne pytanie, zaraz po pytaniu o to, gdzie jest ta ulica.
- Sprytna jesteś.
- Dobra, kończę, bo on już jedzie.
- To wieczorem mi opowiesz.
- No, nie wiem, nie wiem, czy ja do wieczora wrócę...

Wsiadam, patrzymy na siebie i znowu w śmiech.

Mariusz odwozi mnie pod blok. Trudno się rozstać. Patrzymy na siebie jak zahipnotyzowani. Nagle przypominam sobie o rzeczywistości.

- Przecież ja mam jeszcze jedno spotkanie dziś!

– Olej to. Jedziemy na obiad.

– W sumie...

Dowiaduję się, że Mariusz jest właścicielem całodobowego sklepu z alkoholem na Targówku. Doris będzie ze mnie dumna, że nawiązałam tak intratną znajomość.

Wieczorem docieram do domu. Zmoknięta, ale szczęśliwa. Cóż chcieć więcej? Zaraz zaręczyny, ślub na pewno, ale to tylko formalności. No i umówiliśmy się na piątek. Ale zaraz... czyżbym w piątek miała dwie randki?

\*\*\*

Rano Doris podwozi mnie do przedszkola, spragniona informacji o moim niechybnym ślubie. Co do daty, to nie mam jeszcze jasności, ale...

– Wszystko układa się po prostu cudownie!

– On naprawdę jest taki doskonały? – dziwi się Doris.

– Jak z bajki – rozmarzam się. – Wysoki, szczupły brunet, a co najfajniejsze – ma sklep z alkoholami. Kochana, całodobowy!

– Ty, to rzeczywiście ideał. A gdzie ten sklep?

– No, niedaleko nas.

– Beti, co za przypadek. Ten sklep prowadził kiedyś mój kolega. Sprzedał go jakieś dwa lata temu. I wydaje mi się, że znam kolesia, który to od niego kupił.

– Jak to?

– Jak to ten sam, to uwierz mi, nie jest to ideał...

– Doris, nie denerwuj mnie! Mów mi wszystko!

– Powiem tyle: miał wiele mówiącą ksywkę „Gównno”.

– Co? – Jestem w szoku.

– Beti, ty masz jednak pecha – zasmuca się Doris.

– Ty mi lepiej powiedz, co za typ może mieć ksywkę „Gównno”?

– Nie wiem już, od czego to się wzięło, ale nic dobrego taki pseudonim nie wróży, jak zapewne się domyślasz.

– Doris, żarty się skończyły. Gadaj!

– Powiem ci, czym się zajmował. Narkotyki, burdele i tym podobne.

– Nie! – Natychmiast doznaję załamania nerwowego. – I jak ja mam go o to wszystko zapytać?

– Sprawdź nazwisko. Gołębiewski.

– Mam go wylegitymować?

– Nie masz wyjścia. Bo może to jednak nie on?

– Oby... Doris, módl się.

Wysiadam pod przedszkolem.

– Chodź, Melu – mówię. A w myślach dodaję: „Mama umówiła się z wujkiem Gównno na piątek... Możesz być ze mnie dumna, córko”.

Zrezygnowana docieram do domu i kładę się na łóżku. Ludzie! A miało być tak pięknie... No cóż, trzeba działać. Piszę SMS-a. „Czy mówi Ci coś nazwisko Gołębiewski?” (z Gównem na razie nie będę mu wyjeżdżać) Po chwili odpowiedź. „Gołębiewski w Wiśle – tak. Fajny hotel”. Ufff.

Dzwonię.

– Doris, to jednak nie ten sam koleś.

– Całe szczęście!

– Także jutro wsiadaj w autobus i pytaj o drogę. Cuda się zdarzają.

\*\*\*

Wieczorem wpada rozemocjonowana Doris.

– Chciałam jechać dziś autobusem, wyobraź sobie – zaczyna.

– No i? No i?

– Poszłam na przystanek i dosłownie nie wiedziałam, jak mam się tam zachować.

– I co zrobiłaś?

– Na początek powiedziałam wszystkim: „dzień dobry”. Ludzie spojrzeli na mnie dziwnie. Jedna pani mi odpowiedziała.

– Ha, ha, nie mogę z tobą! Kiedy ty ostatnio autobusem jechałaś?

– Z pięć lat temu chyba. – Doris zastanawia się głęboko. – A może w liceum?

– I co dalej było? No, opowiadaj.

– Chciałam kupić bilet. Baba w kiosku pyta, czy normalny. Ja, że tak. Ona, po chwili: „Ale normalny czy ulgowy?”. Ja, że normalny normalny. Ona: „Ale dzienny?”. Ja: „A czy są też nocne?”. Tak mnie zmęczyła, że w końcu zadzwoniłam po taksówkę i odjechałam stamtąd. To by było na tyle.

– Jak na pierwszy raz, to i tak nieźle ci poszło.

\*\*\*

Jutro mam randkę. I to do tego podwójną. Kurczę, jak z tego wybrnąć? Trzeba odwołać Piotra.

– Ty tego Piotra nie odwołuj, tylko go przełoż po prostu – wcina się w moje myśli Doris. – Nigdy nie wiadomo, na wszelki wypadek nie pal mostów.

– Na razie nic nie mogę zrobić, bo nie mam do niego numeru. Nie zapisałam sobie. Ma się odezwać.

– Tylko jutro zbytnio nie szalej, bo w sobotę urodziny mojego syna. Musisz być w formie. W sobotę robię imprezę dla przyjaciół z dziećmi, a w niedzielę dla rodziny.

– To mam aż dwa dni sobie zarezerwować?

– Ojej, no, jak już musisz, to przyjdź dwa razy.

– Skoro tak ci zależy, to będę. Przecież cię nie zawiodę.  
– Ale, Beti... W niedzielę będzie też ten mój wujek.  
– To zobaczę w końcu to чудо.  
– Już mogłaś go dawno zobaczyć, gdybyś nie zaręczyła się na dzień przed waszą randką.

Doris nie może mi wybaczyć, że wystawiłam jej osławionego wujka do wiatru. No, ale czy to moja wina, że dzień wcześniej wpadł do mnie Borys z pierścionkiem zaręczynowym? Zwabiona obietnicą małżeństwa, domku nad Świdrem, życia i bycia ze sobą na dobre i na złe, przyjął pierścionek i z bólem serca odwołałam wujka (nawet nie przełożyłam). A wujek z rozpaczy pogodził się ze swoją dziewczyną. Po tygodniu, kiedy przypominałam sobie na nowo wszystkie wady Borysa i wyrzuciłam pierścionek, randka z wujkiem Doris stała się jakby nieaktualna.

– Chyba sobie woskowanie nóg zamówię na jutro – zmieniam drażliwy temat.

– Jak jeszcze wywoskujesz okolice bikini, to naprawdę pomyślę, że to miłość.

– Nie sędzę, by istniał na świecie facet, który zasługiwałby na takie poświęcenie z mojej strony.

– Tak, tak samo, jak nie istnieje facet, dla którego posprzątałabyś swoje mieszkanie.

– A to, moja droga, to sobie wypraszam – oburzam się. – Ostatnio była pani Grażynka i sprzątała.

– Mam na myśli to, że bierzesz ścięgę w swoje dziesięciocentymetrowe, czerwone pazurki i jedziesz sama z tematem.

– Chyba cię ponosi za bardzo, Doris. No naprawdę! Oszalałaś.

– No, co ja plotę? Ty i mop? Nie!

– Bo trzeba mieć w życiu zasady, Doris. Ja mam trzy: nie sprzątam, nie płacę za siebie i nie wychodzę z domu bez makijażu.

– Chyba masz cztery, bo czwarta to ta, że nie depilujesz okolic bikini.

– Coś ty się tak na mnie uwzięła dzisiaj? – wkurzam się w końcu. – Melu, wysiadamy!

Ale Mela jeszcze nie skończyła dyskusji z Jasiem, chyba równie burzliwej jak nasza.

– Jasiu, to będę mogła przyjść na twoje urodziny?

– Nie, Melu, to nie jest impreza dla ciebie. – Jasio jest nieprzejednany.

– Ale, Jasiu, proszę. – Mela robi minę kota ze *Shreka*

– Już sam nie wiem, Melu.

Dobra, przekonała go. Możemy już iść do przedszkola.

\*\*\*

Przygotowania do randki trwają. Mela śpi dziś u ojca, na Karminowej, pani Grażynka sprząta moje mieszkanie, a ja udaję się na woskowanie nóg. Kładę się na leżance u mojej zaufanej specjalistki od depilacji.

– Już nie mogłam się doczekać, kiedy się tu położę i wyluzuję... – zaczynam. – Auuuu! Zapomniałam tylko, że to tak boli! Auuuu! Błagam, niech pani mi tego nie robi! Proszę natychmiast przestać! Auuuu!

– Wezmę się niebawem za te pani okolice bikini – grozi mi pani Maria.

– Ja się nie zgadzam! – wrzeszczę.

– Ja się nie pytam, czy się pani zgadza, ja tylko panią informuję. Ale jeszcze nie dziś. To wasza pierwsza randka?

– Tak.

– Więc okolic bikini nie robię. Żeby pani głupoty do głowy nie przyszły. Na to jeszcze za wcześnie.

– Aha, czyli dziś może mnie tylko złapać za moje wywoskowane kolano? – upewniam się.

– Owszem. Na bikini proszę przyjść przed trzecią randką.

Biegiem wracam do domu. Wszystko tam lśni. Przebieram się w nową sukienkę i czekam na telefon od Piotra, którego muszę dziś spławić. Co ja mu powiem? Ale zaraz... Jest już osiemnasta. Już bliżej piątku niż osiemnasta w piątek być nie może. Zdaję sobie sprawę, że on nie zadzwonił i raczej już dziś nie zadzwoni. Czyli to by było na tyle, jeśli chodzi o Piotra i piorunujące wrażenie, jakie na nim wywarłam. Dobrze, że mam Mariusza w zapasie. O, dzwoni właśnie.

– No cześć, Mario. Za ile będziesz?

– Właśnie o to chodzi, że nie będę.

– Jak to? – Szczeka opada mi do samej (lśniącej zresztą jak nigdy) podłogi.

– Muszę jechać do Mińska Mazowieckiego.

– Ale wracasz dzisiaj?

– Tak. Wiesz co, zadzwonimy się potem. Może uda mi się wszystko szybko załatwić.

– Dobra.

„Zdzwonimy się”? Co za tekst. Od razu mógł mi powiedzieć, że to koniec. Po co przeciągać? Nie, nadciąga załamanie nerwowe. Otwieram sobie piwo i wychodzę z papierosem na balkon. Tylko spokojnie. Oddychaj, Beti...

– A ty co? – krzyczy spod balkonu Doris, która też wyszła właśnie na papierosa.

– A ja nic – odpowiadam po prostu.

– Dwie randki na dziś ustawione i nic? – nie może uwierzyć.

– Nic. Oprócz tego, że mam wysprzątane mieszkanie i wydepilowane nogi. I jeszcze córkę na zesłaniu.

- No nie! Umrę ze śmiechu zaraz. Ha, ha, ha!
- Oj, działasz mi na nerwy od kilku dni, wiesz?
- Bo to niby ja umówiłam się z tobą i nie przyszłam, tak?
- Może jeszcze Mario zadzwoni...

No, to zasiadam z piwem, już drugim, przy telefonie i czekam. Cholera, w głowie mi się kręci. Z wrażenia nic cały dzień nie jadłam. Nic to, piję sobie i czekam. Zadzwoni? Nie zadzwoni? Zamglonym wzrokiem patrzę na zegarek. Dwudziesta trzecia dwadzieścia. Już raczej nie zadzwoni. Biorę ten telefon, wpatruję się w niego i...nie wierzę! Cały wieczór czekałam na telefon przy wyłączonym telefonie. To trzeba być mną jednak! Kiedy on się rozładował? Szybko, ładowarka! Jest! Cztery nieodebrane. Mario. Oddzwaniem.

– Beti, co się dzieje? Byłem pod twoim blokiem, dzwoniłem, ale miałaś wyłączony telefon, a ja nie znałem numeru mieszkania.

- Mario, długa historia... Ale gdzie ty teraz jesteś?
- Pojechałem do domu.
- To wracaj.
- To wracam.

\*\*\*

Zrywam się z kanapy. O nie! Zataczam się. Chyba się upiłam. Patrzę w lustro. Raczej na pewno się upiłam. Prysznic, i to zimny. Suszę głowę. Robię od nowa makijaż. Ostatni rzut oka na mieszkanie. Porządek jest. Ale te zabawki Meli... Przecież on nie wie, że ja mam dziecko! Nie powiedziałam mu. Jak to możliwe? A jeśli on mnie przez to nie zechce? Chowam zabawki do szafy. Nie! Wyciągam je znowu. Chowam. Wyciągam. Nie wyprę się własnego dziecka. Dzwonek do drzwi. Niech się dzieje co chce.

Padamy sobie w objęcia i zaczynamy się całować. Niebezpiecznie zbliżamy się w stronę łóżka. Stop!

- Co się stało? – Mariusz jest skołowany.
- Pokaż dowód.
- Co?
- Dowód!

Wyciąga posłusznie dokumenty.

Patrzę na nazwisko. Żaden z niego Gołębiowski ani nawet „Gówno”. Zwyczajny Kowalski.

Znów się całujemy. Nie, to nie może iść w tym kierunku. Okolice bikini – trzecia randka. Stop!

- Co się stało?
- Muszę ci coś powiedzieć – wypalam. – Mam córkę.
- Naprawdę? – Potrząsa mnie za ramiona. – Ja uwielbiam dzieci. Ile ma lat?



Pokaż zdjęcia. Jaka śliczna!

„Boże, Ty naprawdę istniejesz!” – myślę w przypiływie nagłego szczęścia.

– Beti, ja też muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Ja też będę miał dziecko. Moja dziewczyna powiedziała mi właśnie, że jest w ciąży.

– Twoja... dziewczyna?

– Właściwie to moja była dziewczyna – wyjaśnia. – Tylko nie płacz mi tu.

– Nie płaczę.

– Widzę, że płaczesz.

– Idź już.

– Beti, ja od dawna już się z nią nie dogadywałem. A teraz ta ciąża...

I jeszcze poznanie ciebie. Jestem skołowany.

– Ja też. Nie wiesz nawet jak bardzo.

\*\*\*

Budzę się. Wiem, że coś jest nie tak, ale co? Promyki słońca wpadają do środka, wino stoi na stole, ja jestem w jakimś pięciogwiazdkowym apartamencie... Wiem już, co jest nie tak. To nie apartament, tylko moje posprzątane mieszkanie. A to wino przyniósł wczoraj Mario, ale nie zdążyliśmy wypić. No, bo już się przestraszyłam, że w jakimś hotelu jestem. A tu wszystko OK, tylko ten kac gigant. Trzeba mimo wszystko iść po Melę, bo o trzynastej urodziny Jasia. To idę. Moja była-niedoszła teściowa patrzy na mnie podejrzliwie.

– Myślałam, że jak Mela jest u nas, to ty wypoczywasz, ale widzę, że jesteś bardziej zmęczona niż wczoraj.

– Przpracowana jestem – wymyślam naprędce wyjaśnienie swojego stanu.

– Ty się, dziecko, wykończysz – składa mi wyrazy współczucia.

– Znowu nie dostałam alimentów od Romana – zmieniam gładko temat na lżejszy.

– Dlaczego wy się nie możecie dogadać? – wzdycha ciężko teściowa.

– A jak można dogadać się z kimś, kto w ogóle nie mówi?

– Pogódźcie się – fantazjuje już na całego starsza pani.

– Żeby się pogodzić, to musielibyśmy się najpierw pokłócić – tłumaczę jej. –

A ja się wyprowadziłam po tym, jak dwa lata się do mnie nie odzywał.

– Oj, dzieci, dzieci...

– Roman to nie dziecko – wtrącam się. – Przypominam, że on ma pięćdziesiąt dwa lata. Choć w sumie zachowuje się, jakby miał dwa.

– Idź do niego na górę i pogadaj.

– Nie idź, mammo, bo tata się znowu zdenerwuje – ostrzega mnie Mela.

– Idę.

Wchodzę do tej jaskini lwa, w której przeżyłam trzy lata. Nic się tu nie zmieniło, nawet moja bluzka, której nie zabrałam, wisi tak samo przekrzywiona na krześle. Od roku. Roman też zajmuje standardową pozycję – leży na kanapie przed telewizorem.

– Kiedy mi zrobisz przelew? – pytam.

Cisza.

– Muszę Meli przedszkole opłacić.

Cisza.

– Roman! – wrzeszczę. – Czy ty możesz się do mnie wreszcie odezwać?

– Odsuń się, bo mi telewizor zasłaniasz – mówi spokojnie.

Schodzę na dół.

– No i? – pyta teściowa.

– No i... przemówił – przekazuję wiadomość roku.

– Co powiedział? – Nie może uwierzyć.

– Nic wiążącego. – Wzruszam ramionami.

Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że Roman pracuje jako doradca finansowy. Już sobie wyobrażam, jak przychodzi do niego inwestor i pyta:

– Jak pan myśli, w co powinienem zainwestować?

Cisza.

– Czy to prawda, że jest kryzys, a będzie jeszcze gorzej?

Cisza.

– Czy mimo to powinienem zainwestować?

Cisza.

– Więc jest pan pewien, że na tym zarobię?

Cisza.

– Czy może mi pan, do jasnej cholery, już dać te dokumenty do podpisania?

– krzyczy doprowadzony do ostateczności inwestor.

I tu Roman podsuwa mu wszelkie papiery.

Mniej więcej tak to się musi odbywać. Innej możliwości nie ma.

\*

Ubieram Melę w różową suknię balową i ruszamy do sali zabaw. Bardzo liczę na to, że dadzą mi tam coś do picia. O, są soczki dla dzieci w kolorowych kubeczkach. Wypijam pięć na dzień dobry. Siadam na małym krzeselku przy małym stoliczku i czekam końca tej imprezy.

– Mam dobre wino – mówię szeptem do Doris.

– Co? – Nic nie słyszy, bo gra muzyka.

– Mam wino w domu – powtarzam szeptem.

– Co?

– Wino mam! – wrzeszczę i wszyscy patrzą na mnie jak na wariata, bo

akurat ucichła muzyka.

Pięknie. O której to się kończy? To najdłuższa impreza w moim życiu. Dolewam sobie soczku. Trzeba to jakoś przeżyć. SMS od Mario. „Żyjesz?” „Tak, ale co to za życie?” „Ja idę pobiegać. Muszę to wszystko odreagować”.

Nudę przerywa pojawienie się ojca Jasia. Doris sztywnieje i przestaje być moją roześmianą sąsiadką. Zamienia się na moich oczach w kogoś zupełnie innego. Zabijam kolesia wzrokiem za cały ten koszmar, przez który z jego powodu przeszła.

Po wszystkim Doris wiezie nas do domu.

– Przyjdź wieczorem, pomożesz mi w przygotowaniach na jutro – mówi mi.  
– Zaprosiłam chyba siedemnaście osób.

– Przyjdę, jak położę Mełę.

– I weź to wino ze sobą.

\*\*\*

Doris przydziela mi łupanie orzechów. Zabieram się do pierwszego. Wpada mi pod kanapę. Spróbuję z innym.

– Wiesz, że jednak wczoraj miałam randkę? – mówię.

– I jak było?

– Wspaniale, do momentu, kiedy obwieścił mi, że będzie ojcem.

– Co ty gadasz?

– Doris, jakiego ja mam pecha – jęczę. – Auuuu!

– Co się stało?

– Dziadek do orzechów mnie zaatakował. Zobacz. – Podnoszę bluzkę i pokazuję wielkiego siniaka na brzuchu.

– Ja myślałam, że ty te orzechy to będziesz pośladkami łupała, a ty się tak guzdrzesz.

– A co ja, Jagienka z *Krzyżaków*? A tak z ciekawości, dlaczego ten Piotr do mnie w ogóle nie zadzwonił?

– Może umarł?

– Myślisz, że tylko śmierć powstrzymałaby go przed telefonem do mnie?

– Może ty zadzwoń?

– Nie mam numeru. Ale byłyby jaja, gdyby odebrała jego matka i z płaczem powiedziała: „Piotr nie żyje. Szedł właśnie na randkę z dziewczyną, która zapytała go o drogę, i potracił go samochód”.

– Tak, ty byś się już rozłączyła, a ona by jeszcze dodała: „Osierocił pięcioro dzieci”.

– Auuuu! – jęczę.

– Co znowu?

– Dziadek do orzechów. Tym razem mam siniaka na rękę.

– Weź ty już zostaw te orzechy, jak chcesz jutrzejszej imprezy dożyć. Nalej nam lepiej wina.

– W tym jestem dobra. – Łapię za korkociąg.

– Ty, no ale zobacz – mówi Doris, wyciągając ciasto z piekarnika. – Ile tych orzechów nałupałaś? Pięć? A ja w tym czasie upiekłam ciasto, zrobiłam tiramisu, zupę i dwie sałatki.

– Oj, bo mnie zagadujesz cały czas.

– I opowiadaj co z tym Mariem.

– Chcesz zmienić temat na lżejszy? To raczej ci się nie udało.

– Nawijasz czy chcesz, żebym cię już za drzwi wystawiła?

– Dobra. No więc w skrócie to tak: ja już się zakochałam po uszy, jego chyba też wzięło i nagle gruchnęła na nas wieść, że on będzie ojcem. Wszystko niby OK, bo on dzieci uwielbia, z tym że zapłodnił nie tę, co trzeba. I to nie ja będę szczęśliwą matką...

– Masakra jakaś – wzdycha Doris. – I co dalej z wami będzie?

– Nie wiem, na razie mam lekką depresję.

– Załóżmy, że będziecie się nadal spotykali... A jak urodzi się dziecko? Beti, wszystko się wtedy zmieni. On może oszaleć na jego punkcie i wróci do niej. A ty...

– Zostanę z gołym tyłkiem na lodzie – kończę za nią. – Jak zwykle. Tylko, że na razie nie mogę przestać o nim myśleć.

– Ty to się zawsze w coś wpieprzysz – podsumowuje Doris.

\*\*\*

Urodziny Jasia. Goście ściśnięci jak sardynki, większość stoi. Siedemnaście osób, a my mamy tylko pięć talerzy i cztery kieliszki do wina.

– Gdzie jest szósty talerz? – denerwuje się Doris.

– U mnie, pożyczłaś mi w Wigilię – przypominam jej.

– A gdzie jeszcze dwa kieliszki do wina?

– U mnie. Przyszłaś z nimi tydzień temu.

– Doris, a gdzie twój kot? – pyta ktoś.

– Nie wiem, może też u Beti – sugeruje Doris.

Punktem kulminacyjnym jest pojawienie się mitycznego wujka Doris i jego dziewczyny. Serce na moment przestaje mi bić. To jest facet mojego życia, jak zapewniała mnie Doris przez ostatnie miesiące? Wysoki, siwy blondyn (o ile jest taki kolor włosów), uśmiechnięty od ucha do ucha. Patrzymy na siebie zaintrygowani. Ciekawe, co by było, gdybym poszła z nim wtedy na tę randkę, kiedy byliśmy umówieni? Już się chyba nigdy nie dowiem i po co w ogóle się nad tym zastanawiam...

– Chcielibyśmy coś ogłosić – zaczyna wujek, przyciągając do siebie swą

wybranke.

Wszyscy milkną.

– Będziemy mieli dziecko.

Blednę. Odciągam Doris na bok.

– Ty, to już przesada, nie sądzisz? Niedługo już na balkon człowiek będzie bał się wyjść, żeby nie złapać tego ciężowego wirusa. Cięża i cięża, o niczym innym od dwóch dni nie słyszę.

– Gdybyś nie była taką fujarą, to pewnie ty stałabyś teraz obok niego.

– Ja i cięża? Nie, drugi raz bym tego nie przeżyła.

– Ale fajny ten mój wujek, co?

– I co z tego? Ja już mam jednego faceta z dziewczyną w ciąży w pakiecie.

Boże, to jakaś kumulacja!

– Wiosna, ludzie się bzykają, to normalne.

– Ludzie może i tak, ale nie my.

– Ileż jeszcze tej abstynencji seksualnej, Beti? Pytam się ja grzecznie.

Reszta imprezy mija nam na myciu talerzy po tych, co już zjedli, żeby najeść się mógł znowu ktoś.

\*\*\*

Maria zastaje pod drzwiami.

– Jezu, przestraszyłeś mnie!

– Musimy pogadać.

– Coś się stało? Znowu ktoś zaszedł w ciążę?

– Nie żartuj tak. Wtedy, kiedy powiedziałem ci, że nie przyjadę, pamiętasz? Chciałem ci o tym powiedzieć, że będę miał dziecko, ale stchórzyłem i palnąłem o tym Mińsku.

– Przejęczyłeś się po prostu. To się czasem zdarza. Wejdz do środka.

– A potem pojechałem pod twój dom...

– Dobra, dobra, znam tę historię. Co nowego?

– Myślałem o tym, żeby się z tobą więcej nie spotkać, ale chyba bym tego nie przeżył.

– Mario, powiem ci coś, wiem jak nikt, że dziecko nie scali związku, w którym są problemy. To jest moja córka, Mela – niezbity dowód.

– Ale ja nie chcę, żeby on był moim wujkiem – wtrąca Mela.

– Dobra, dziecko, później się wypowiesz. Teraz mnie daj szansę.

– Nie chcę, żebyś kochał moją mamę! – Mela zwraca się wprost do Maria.

– Melu – Mario klęka przed moim dzieckiem – nikt tu jeszcze nie mówi o miłości. Dopiero się z mamą poznaliśmy.

– Ale ładna jest moja mama, co?

– Bardzo.

– I tak nie chcę tu żadnych ślubów znów!

Mela jeszcze niedawno szykowała sobie strój na ślub mój i Borysa, więc jestem w stanie zrozumieć jej nastawienie. Moje jest zresztą podobne po tamtej historii.

– Mario, nie wiem, co mam o tym myśleć. Mam wrażenie, że los sobie ze mnie kpi.

– Beti, nie płacz znowu. Ja nie zniknę.

– To jeszcze gorzej. Jeszcze gorzej...

– Zadzwoń jutro. Mogę?

– Możesz.

Jeszcze długo siedzimy z Melą w milczeniu po jego wyjściu.

– I co? Fajny? – pytam w końcu.

– Fajny to był mój strój aniołka na jasełka, a nie on! – odpowiada mi córka.

\*\*\*

Zaspałyśmy obie przez ten nadmiar wrażeń i nie pojechałyśmy z Doris do przedszkola. Trudno, dzwonię po taksówkę.

– Poczekaj pan na mnie? – pytam, kiedy już dojeżdżamy na miejsce. – Ja tylko zaprowadzę córkę do środka.

– Poczekam – mówi taksówkarz. – Na taką kobietę można czekać całe życie.

– A nie czeka na pana w domu jakaś dziewczyna? – wypalam. – Albo była dziewczyna?

– Nie – zaprzecza skołowany taksówkarz. – Jestem wolny. Od tygodnia.

– Od tygodnia, powiada pan? To niech ona zrobi sobie test ciążowy. I z wynikami niech się pan do mnie zgłosi. A, i ja jednak wrócę na piechotę.

Dobrze, że się go pozbyłam. Przecież nie mam już kasy na kurs powrotny, nie mam nic.

Pokonuję dziarsko cztery kilometry na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Telefon.

– Jak tam? – pyta Doris.

– Wyżyłam się na taksówkarzu i od razu mi lepiej.

– To aż tak było źle?

– Doris, faceci mnie męczą. Życie mnie męczy. W dodatku nie mam nawet kasy, żeby przedszkole opłacić w tym miesiącu.

– A Roman nie może zapłacić?

– Zaraz do niego zadzwonię. Tylko po co, skoro on od roku nie odbiera ode mnie telefonu.

– Ale ty mimo to dzwonisz?

– Tak, weszło mi to w nawyk. Dzwonię rano i wieczorem, przed pójściem spać. On wie, po co dzwonię, zawsze po kasę. Obiecał mi, że będzie spłacał kredyt,

który dla niego wzięłam.

– I, niech zgadnę, sama go spłacasz?

– A mam wyjście? Nie dostaję alimentów i jeszcze spłacam jego kredyt. Jak tylko o tym pomyślę, to dostaję takiego nerwa, że zaraz łapię za słuchawkę i znowu do niego dzwonię.

– Ale jak miło z jego strony, że nie odbiera. Przynajmniej na dodatkowe koszty cię nie naciąga.

– Nie odbiera – znaczy, że nie ma kasy. Proste.

– Można powiedzieć, że rozumiecie się bez słów?

– No, tak dobrze się rozumiemy, że aż się zastanawiam, dlaczego nie jesteśmy razem.

– Bo za dobrze by wam było.

– Dobra, Doris, pośmiałyśmy się. Muszę kończyć.

Wybieram numer Romana, nadal zapisany w mojej komórce jako ICE. Boże, to znaczy, że gdyby coś mi się stało, on dowiedziałby się jako pierwszy! Już widzę, jak spieszy z pomocą, ha, ha.

– No cześć, kochana – słyszę jego głos w słuchawce.

Zwariował!

– Jak dobrze, że dzwonisz – kontynuuje.

Zwariował, to więcej niż pewne!

– Roman, nie rób sobie jaj – ucinam bezdusznie. – Trzy stówy są mi potrzebne na przedszkole!

– Kochana, nie mam grosza. A właśnie, nie miałabyś mi pożyczyć dwudziestu tysięcy?

– Co?

– Bo ja otwieram teraz nowy biznes...

– Mam to w dupie, wiesz? Nie mam żadnych dwudziestu tysięcy!

– To weź kredyt i mi pożycz. Ja będę to spłacał.

– Ty już jeden kredyt mi spłacasz! Potrzebuję trzystu złotych na przedszkole!

– Jak mi pożyczysz dwadzieścia tysięcy, to dam ci te trzy stówy na przedszkole.

– Wiesz co, teraz to ja muszę się rozłączyć i porządnie wyśmiać.

– Oj, głupia jesteś!

Nie! Co to było? Siadam na chodniku i zaczynam się śmiać. Jezu, nie mogę przestać. Łzy spływają mi po policzkach. Nie mam kasy, nie mam na przedszkole, nie mam nawet na bilet i muszę teraz iść cztery kilometry na piechotę. A on chce ode mnie dwudziestu tysięcy. Dzwonię do jego matki.

– Roman oszalał – oznajmiam na wstępie.

– A poza tym co nowego?

– Chciał pożyczyć ode mnie dwadzieścia tysięcy – rozwijam swą

wypowiedź.

– Boże! Aż tak z nim źle? – przeraża się teściowa.

– No. Już sama nie wiem, co jest zabawniejsze: to, że myśli, że je mam, czy to, że myśli, że mam i mu dam. Poza tym nie mam na przedszkole. Jestem załamana – chlipię.

– Uspokój się. Mów, jak weekend minął.

– Beznadziejnie.

– Poznałaś wujka Doris? – teściowa lubi być na bieżąco.

– Tak. Jego dziewczyna właśnie zaszła w ciążę.

– A co z tym, co cię podwiózł w Wesolej?

– Z Mariem? Jego dziewczyna właśnie zaszła w ciążę.

– Nic nie rozumiem. To czyja dziewczyna w końcu zaszła w ciążę?

– Ich obu. Wszystkie dziewczyny wszystkich tych facetów.

– Żebyś tylko ty nie zaszła w ciążę. Zabezpieczaj się.

– Stosuję abstynencję, wystarczy? Czy dorzucić do tego prezerwatywy?

– Martwię się o ciebie po prostu. I o Melę.

– Wiem. Muszę kończyć.

Znowu telefon. Mario.

– Co tam? – zagaja.

– W skrócie czy ze szczegółami?

– Poproszę szczegóły.

Opowiadam.

– Beti, idź do domu i czekaj na mnie. Zaraz będę.

– Dobrze.

Głowa mnie boli od tego wszystkiego!

Stoję na balkonie z fajką. Podjeżdża. Wszystkie problemy znikają, kiedy widzę jego uśmiech.

– Masz tu trzy stowy i zapłać to przedszkole – mówi w progę.

– Dziękuję – odpowiadam. I zaczynam płakać.

– Jasna cholera! – wkurza się Mario. – Ty nigdy nie zachowujesz się normalnie. Albo się śmiejesz, albo płaczesz.

– Przytul mnie lepiej – proponuję.

Telefon. Teściowa.

– Kiedy do nas przyjdiesz? – pyta.

– A po co? Teraz nie mam czasu.

– Mam dla ciebie trzy stowy.

Piszę do Doris. „Szukałam trzech stów na przedszkole, a znalazłam sześć”. Odpowiada: „To się dobrze składa, bo ja też nie mam w tym miesiącu na przedszkole: -) Pożyczysz?”. „Nie”.

Jadę z Mariem do teściowej po kasę, następnie opłacam przedszkole i kredyt



Romana. Znowu zostają bez grosza. Ale o jutro zamierzam się martwić jutro.

\*

– Pogadamy poważnie? – pyta Mario, kiedy już opanowaliśmy ten tonący Titanic.

– No, to mów.

– Myślisz o nas?

– Myślę. A ty myślisz?

– Cały czas.

– A o swojej dziewczynie myślisz?

– Też cały czas.

– A w ogóle to co u was?

– Beznadziejnie. Ona jest załamana tą ciążą. Chyba nigdy nie chciała dzieci.

– To mam pomysł. Ona niech tylko urodzi, a my je wychowamy razem.

– Chodź tu. – Mario przyciąga mnie do siebie. – Beti, ty byłabyś w stanie to zrobić?

– Tak.

– I jak ja jej to powiem? „Słuchaj, kochanie, podwoziłem ostatnio dziewczynę i wiesz... chcę z nią wychować nasze dziecko”.

– Rzeczywiście. Trochę dziwnie to brzmi. Słuchaj, czy wy mieszkać razem?

– Tak. Już miała się wyprowadzić, ale dowiedziała się o dziecku.

– I jak to teraz wygląda? Ciekawi mnie to...

– Wygląda tak, że ja prawie cały czas jestem w sklepie...

– Albo u mnie?

– No, poza domem w każdym razie. Jak wracam, to słyszę w progu, że ją głowa boli. Kładziemy się na odległych krańcach łóżka i zasypiamy, nie dotykając się. To znaczy ona zasypia, bo ja jakoś nie mogę.

– Mocna historia – podsumowuję.

Telefon. Kto?

– Hej, tu Piotr.

– Kto?

– Piotr. Pamiętasz?

– Tak, ale zdaje się, że piątek był parę dni temu?

– Słuchaj, zepsuł mi się telefon. Straciłem wszystkie numery i dopiero z billingu odzyskałem twój numer.

– Wiesz co, zadzwoń później, bo teraz nie mogę spokojnie rozmawiać.

– Dobrze.

– Kto to? – pyta Mario.

– Nikt istotny.

– Beti, wracając do naszej rozmowy, nie wiem, co mam robić.  
– A co ja mam ci powiedzieć? Zostaw swoje dziecko i wychowuj moje? Nie. Rzuć wszystko w diabły i bądź ze mną? Posłuchałbyś mnie? Nawet jeśli, to jak to dziecko się urodzi, to wrócisz tam na kolanach. Tylko, że w tym czasie Mela i ja pokochamy cię i będziemy cierpieć.  
– Jesteś mądra.  
– Jestem głupia.  
– Łączy nas coś mistycznego.  
– I co z tego?  
– To bez sensu...  
– Bez sensu...  
– Ta droga do niczego nie prowadzi...  
– A czy wszystkie drogi muszą do czegoś prowadzić? – pytam. – Nie można sobie po prostu iść?  
– Ułożyłabyś sobie życie...  
– Przez trzydzieści trzy lata sobie nie ułożyłam. I nagle to będzie twoja wina?  
– Idę, Beti, bo jestem coraz bardziej skołowany.  
Siadam na łóżku i łapię się za głowę. SMS. Roman. „Namyśliłaś się już z tym kredytem dla mnie?” Bez komentarza. SMS. Borys? „Powiedz mi, czy to tak ma się skończyć? Jeszcze niedawno mieliśmy brać ślub...” Tak, właśnie tak ma się to skończyć. Bez komentarza.

\*\*\*

Cholera, znowu zasnęłam! Piszę do Doris: „Czekaj na mnie pięć minut”. „Nie. Już wychodzę!” „Czekaj!” „Nie!” Łapię moje nie do końca ubrane dziecko i z mokrymi włosami doganiam Doris wyjeżdżającą z garażu.  
– I naprawdę pojechałabyś beze mnie? – pytam.  
– Tak, kurwa, tak! Bo w tym tygodniu zasnęłam już dwa razy, a jechałyśmy razem trzy razy. Dwa na trzy, masz to?  
– Przepraszam.  
– Co „przepraszam”? – wybucha Doris. – Przez ciebie spóźniłam się do pracy!  
– Przepraszam...  
– Niby przepraszasz, a tak naprawdę masz wszystko w dupie.  
– Nie mam wszystkiego w dupie. O co ci chodzi?  
– Chodzi o to, że jak mówię ci, żebyś była o ósmej, to nie mam na myśli godziny ósmej piętnaście!  
– Całą noc nie mogłam spać. Myślałam o Mariuszu, o tym dziecku, o mnie w tym wszystkim. A, czekaj, bobym zapomniała! Piotr się odezwał.

– Coś ty? Żyje?  
– Tak, telefon mu się zepsuł i stracił mój numer.  
– No i co?  
– Nic, nie mogłam z nim gadać, bo Mario u mnie był.  
– Co za pierdolnik...  
– To jeszcze dodam, że Borys pisał. I Roman ponowił prośbę o dwadzieścia tysięcy.  
– A ja dostałam dziesięć kilo marchwi i szesnaście kilo ziemniaków w ramach alimentów.

Ojciec Jasia sprzedaje warzywa na giełdzie i jak nie ma kasy (a nie ma non stop), to się rozlicza w naturze. Tyle że Doris nie może tymi ziemniakami zapłacić za przedszkole ani zatankować samochodu. Może tylko gotować ziemniaki dzień w dzień. Z marchewką.

\*\*\*

SMS. Margo. „Mogę wpaść wieczorem?” „Jasne”. Dawno jej nie było. Ale co się dziwić? Dwójka dzieci to już nie przelewki. Margo jest piękna, elegancka i zawsze wygląda, jakby wyszła z salonu piękności, a nie oderwała się od pieluch i garów. Zazdroszczę jej tego poukładanego życia.

– Beti, ja już mam dosyć tego swojego życia! – zaczyna, wpadając do mnie z czterema piwami.

– Co ty pleciesz?  
– Jestem załamana, mam dosyć.  
– Przecież masz wszystko: dzieci, męża...  
– No właśnie. Najpierw są dzieci, potem mąż, a gdzie ja? On wraca wieczorem, pyta, co u dzieci, ale nigdy co u mnie.  
– A co u ciebie?  
– Nic.  
– To zrób coś ze sobą. Zajmij się czymś.  
– Ale czym? Od sześciu lat nie pracuję. Już nawet nie wiem, co ja bym chciała robić zawodowo.

– Gadałaś z nim o tym?  
– Próbowałam. Mówi, że przesadzam.  
– Może masz depresję poporodową?  
– Może...  
– Margo, popatrz na mnie.  
– No, patrzę. I co?  
– Nie szukaj dziury w całym. Zobacz, ja szukam całości w dziurze i to jest o wiele trudniejsze.  
– I tak się dobrze trzymasz po tym wszystkim, co przeszłaś. Nie wiem, czy

jest tak naprawdę, że cię to nie trzepnęło, czy tylko tak dobrze grasz.

– Gram. A potem, w nocy, ryczę do poduszki.

– A co z tym nowym facetem? Mario?

– Cudownie. Z tym że on będzie miał dziecko z inną.

– Kurwa!

– No. A wracając do ciebie, trochę wygląda to tak, że masz męża, który tyra od rana do nocy, żeby utrzymać ciebie i dzieci, a ty jeszcze masz pretensje. To urojony kryzys, mówię ci. Prawdziwych problemów jeszcze nie masz. I dzięki Bogu! I pogadajcie sobie, tylko tak szczerze, spokojnie i bez pretensji. On cię kocha, wszystko zrozumie.

– Beti, bez urazy, ale ty posprzątaj tu trochę. Bo niedługo zabijesz się, próbując dojść rano do toalety.

– Postaram się, ale widzisz, ile mam spraw na głowie.

\*\*\*

Szósta rano. Telefon! Zabiję tego, kto dzwoni. Moja sprzątaczką?

– Przyjść dziś do ciebie? – pyta.

– Z nieba mi pani spadła.

Wstaję. Kurczę, ale mam kaca. I to po dwóch piwach? SMS od Margo. „Mam zatrucie. Jadę właśnie do lekarza”. „Na szybki detoks?” Co to były za piwa?

Pani Grażynka wpada z werwą, której mogę jej pozazdrościć mimo dwudziestu pięciu lat różnicy między nami.

– A ty co? Znów smutna?

– Znów na kacu...

– Dziecko, ty powinnaś się zakochać.

– Nie!!!

– Kiedykolwiek cię nie widzę, to ty zawsze sama i zawsze smutna. A kobieta zakochana czuje się jak w niebie.

– Najpierw czuje się jak w niebie, a potem jak w piekle! – wzdycham. – Ja to wszystko już znam.

Ale kiedy to pani Grażynka doszła do tych refleksji? Jak odchodziła od męża alkoholika? Czy od tego drugiego, który ją bił?

Budzę Melę, bo Doris już dziś nam nie daruje spóźnienia.

– Nie! – protestuje moje dziecko. – Chcę mieć wolne!

– Do przedszkola, i to już! – Szarpię się z nią.

– Przecież każdy normalny człowiek musi mieć kiedyś wolne!

– A, w sumie masz rację – odpuszczam.

Dzwonię do przedszkola i informuję, że moja córka bierze dziś urlop na żądanie.

I tak ją ubieram i chcę zawieźć na Karminową, do babci.

O, jest autobus. Trzymając Melę na rękach, gonię ile sił w nogach, żeby na niego zdążyć.

– Mamo, mam, buty! – krzyczy Mela.

– Co „buty”?

– Buty zgubiłam!

– W cholerę z butami!

– Proszę pani, buty! – krzyczy jakiś pan biegnący za nami z butami Meli w ręku. Wrzuca nam je do autobusu w ostatniej chwili.

Telefon. Mario.

– Musimy pogadać – zaczyna.

– O czym?

– Byłem u ginekologa. Widziałem swoje dziecko...

– I co, podobne do ciebie?

– Ha, ha! Ty mnie zawsze potrafisz rozwalić.

– Mario, jadę teraz autobusem. Nie mam warunków, żeby omawiać wyniki USG twojej kobiety.

– Zadzwoń potem.

– OK.

Telefon. Piotr?

– No hej.

– Nie mogę teraz gadać.

– Słuchaj, ja wiem, że ty masz dziecko. Mnie to nie przeszkadza.

– A w czym miałyby ci przeszkadzać moje dziecko? – dziwię się.

– Wiem, że ty myślisz, że ...

– Jezu, człowieku, ja nic nie myślę! – przerywam mu. – I ty też lepiej nie myśl. Skończmy to.

– Aha... Zadzwoń do mnie, jak będziesz gotowa.

– Nie czekaj na ten telefon.

Ufff!

SMS. Roman. „Co z kredytem?” „Idź do psychiatry, niech Ci przepisze jakieś leki. Ochłoń wreszcie. I daj mi spokój!”

Teściowa czeka już na mnie w otwartych drzwiach.

– Jak on mi nie da spokoju, to ja go oskarżę o prześladowanie! – wybucham.

– A może wzięłabyś z nim na spółkę ten kredyt?

– Jaką spółkę? Ja już jedną spółkę z nim mam – Melę.

– Ale on naprawdę ma problemy...

– Problemy to mam przez niego ja!

– Ale może on ruszy w końcu z tym swoim biznesem?

– Na pewno. Najlepiej, żeby on się nie ruszał z kanapy. Będzie mniej kłopotów. Zamknijcie go na klucz. Mniej narobi szkód, kiedy nic nie będzie robił.

Ludzie! I może ktoś zacząłby płacić ten jego kredyt w końcu? Bo ja już nie mam siły.

– Nie wiem, jak ci pomóc... – Teściowa rozkłada ręce.

– Ale, ale... chwila – doznaję olśnienia. – A czy on chciał też, żebyście wy wzięli dla niego kredyt?

– Tak.

– No i?

– A musisz pytać?

– Nie, już nie muszę. – Ręce mi opadają. – I nikt nie wpadł na to, żeby oddać mi pieniądze, które on mi jest winien? Dlaczego znowu nie dostałam alimentów?

Wybiegam stamtąd z płaczem.

Dzwoni Mario.

– Już możesz rozmawiać?

– Mogę.

– Płaczesz?

– Nie, no skąd.

– Widzimy się jutro? Bo musimy pogadać.

– O czym?

– Moje dziecko ma osiem milimetrów...

– I co? Zrywamy ze sobą?

– Oj tam, zaraz zrywamy! Po prostu nie będziemy się spotykać.

– Aha, to mi ulżyło, bo myślałam, że zrywamy.

– To do jutra, tak?

– Tak, do jutra.

## *Nie igraj z miłością*

Mela siedzi przed telewizorem i ogląda bajkę. Księżę całuje księżniczkę. Będą żyli długo i szczęśliwie.

– Mamo, a czy jak ta księżniczka będzie już stara i brzydka, to księżę będzie ją jeszcze kochał? – pyta zatroskana Mela.

„Nie, dziecko, i lepiej, żebyś już teraz to wiedziała” – myślę sobie.

– Oczywiście, że tak – mówię. – Przecież jak ja będę stara, to ty też będziesz mnie kochała, prawda?

– Nie, mamo, ty nigdy nie będziesz stara.

– No dobrze, ale na przykład babcia z Karminowej jest stara, ale ją kochasz, tak?

– Bo babcia jest stara, ale nie jest brzydka.

– Oj, Melu, Melu... Ubieraj się lepiej, bo ciocia Doris znowu się wścieknie, jeśli się spóźnimy.

– Ja chcę mieć dzisiaj wolne.

– Nie!

Szarpiemy się chwilę i udaje mi się ją w końcu ubrać i wystawić za drzwi. Sama biorę jeszcze walizkę z kosmetykami, bo zaraz potem, jak odstawię małą do przedszkola, jadę na Tarchomin do dwóch klientek. A potem spotkanie z Mariem...

– Doris, mam problem. Muszę jechać na Tarchomin, a mam tylko złoty pięćdziesiąt w portfelu.

– Nie poratuję cię, bo ja mam trzy złote.

– Że też ty zawsze masz dwa razy tyle co ja!

– Boże, Beti, ty wiesz, że nawet jak połączymy swoje fundusze, to nie mamy na bilet?

– Nie, to jest już jakiś koniec!

– Trzeba dzwonić do Margo – doznaje olśnienia Doris.

– Nie ma innego wyjścia. Paradoks polega na tym, że my pracujemy, a ona nie, ale to ona zawsze ma kasę.

– Bo ma męża.

– Jeszcze ma, ale tam też jest jakiś kryzys.

– Nie gadaj!

– Doris, wychodzi na to, że tylko nasz związek jest idealny, pomijając nieznaczące sprzeczki o moje spóźnianie się.

– Nic nieznaczące dla ciebie – dodaje kwaśno Doris.

– Mam dziś ciężki dzień, wiesz? Chyba Mario chce ze mną zerwać.

– Beti, trzymaj się. Pamiętaj, że to on ma jakiś problem, a nie ty. I to ty jesteś

w tym wygrana. Nie daj po sobie poznać, że cię to aż tak obchodzi.

– Pieprzysz, Doris! Ale się dałam wplątać...

– A co z tym Piotrem?

– Nic. Kiedy dzwoni, to ja nie mogę gadać. Ma pecha. A pechowców to ja nie potrzebuję.

– Ale zobacz, miałaś dwóch do wyboru, Piotra i Mariusza. I oczywiście wybrałaś tego, z którym wiążą się największe problemy. Ty sama to sobie robisz.

– Może i tak... Ale kto wie, co taki Piotr miałby w zanadrzu? Nie dałam mu szansy się odkryć.

– Oj, chyba każdy coś ma w zanadrzu...

– I tym optymistycznym akcentem żegnamy się. Melu, wsiadamy.

\*\*\*

Moje obie klientki mają po czterdzieści dwa lata. Są sąsiadkami i samotnymi matkami. Jakbym widziała mnie i Doris w przyszłości. Są ze sobą sprzężone jak syjamskie bliźniaczki. Kończą za siebie zdania i śmieją się z rzeczy śmiesznych tylko dla nich.

– W dziesiątą rocznicę naszego poznania chciałyśmy jechać do Paryża – opowiada mi jedna.

– Ale jak zwykle nie miałyśmy kasy i nigdzie nie pojechałyśmy – kończy druga.

Boże, czy mnie i Doris też to czeka? Będziemy się razem śmiały, popijały piwo, dzieci nam w tym czasie dorosną, zmarszczek przybędzie...

Dzwonię do niej.

Doris jest poruszona historią o naszych klonach.

– Beti, coś trzeba zrobić. Bo ty sobie wyobraź, że my tak będziemy żyły, jak żyjemy, przez kolejnych dziesięć lat. A jak po tych dziesięciu latach jedna z nas kogoś pozna i wyjdzie za mąż?

– Wtedy ta druga będzie musiała popełnić samobójstwo – śmieję się. – Ale co sądzisz o tym, żebyśmy wyjechały gdzieś, żeby uczcić pierwszą rocznicę naszego poznania?

– To my się dopiero rok znamy? – Doris jest w szoku.

– Tak, dokładnie rok temu przeprowadziłam się na Wyspawą.

– Kurczę... A ja czuję, jakbyśmy się znały całe życie. To może polecimy do Egiptu na wakacje?

– Dobra, pod warunkiem że uskładam na bilet, bo na razie to mam problem z zakupem biletu na Tarchomin.

– Ha, ha.

– Kończę, bo zaraz z Mariem się spotykam.

\*\*\*



– No, gdzie ty? – pyta Mario. – Ja już czekam na ciebie.

– Pod bramą.

– Ja też.

– Nie mogę jej otworzyć. Tędy chyba nie ma wyjścia.

– To idź do drugiej bramy.

– Nie, podejdź tylko bliżej.

Najpierw rzucam mu walizkę, potem szpilki, a potem wspinam się na bramę i skaczę prosto w jego ramiona.

– No, już jestem – oznajmiam.

– Ale z ciebie wariatka.

– Dobra, do sedna. Zrywamy?

– Może najpierw choć buzi na przywitanie?

Całujemy się długo, za długo...

– Mario, coś chciałeś mi powiedzieć?

– Beti, ja muszę zostać tam, przy tamtej rodzinie. Bo to już jest rodzina, prawda?

– Prawda...

– Nie mogę być z tobą, choć czuję, że jest to najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Nie mogę zostawić dziecka, które ma dopiero osiem milimetrów.

– Ale ja cię rozumiem. Gdybyś postanowił inaczej, to ja... wiesz, nie kochałabym cię. Ale jesteś właśnie taki. Taki, jak chcę, żebyś był.

Mario zakrywa twarz dłońmi.

– Załamujesz mnie – mówi cicho. – Załamujesz...

– Chodźmy lepiej na obiad.

Bierze mnie za rękę i idziemy na pizzę.

\*\*\*

– I jak to wasze zerwanie? – pyta Doris.

– Bardzo dobrze. To było najdziwniejsze zerwanie w moim życiu.

– Nie nadążam.

– Ja też nie. Ale najpierw zerwaliśmy, a potem jak gdyby nigdy nic spędziliśmy ze sobą cały dzień, nie wracając do tego tematu.

– Więc nie zerwaliście?

– Nie wiem... Pogubiłam się.

– Cała ta sytuacja jest niesmaczna. Wiesz przecież, dlaczego rozstałam się z ojcem Jasia? Bo zdradził mnie, jak byłam w ciąży.

– Mnie Roman też zdradził, jak byłam w ciąży.

– No, to wiesz, jak poczułaby się ta jego dziewczyna, gdyby dowiedziała się o was.

– Pamiętam jak dziś, jak idę na spotkanie z tą Iwonką Romana. Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży. Ledwo się tam dotoczyłam. Była w szoku, nie miała zielonego pojęcia o moim istnieniu. Roman w pracy zgrywał kawalera do wzięcia.

– No i co?

– Pogadałyśmy sobie od serca. Potem Iwonka zwolniła się z pracy, a ja zostałam z Romanem. Nie miałam innego wyjścia. Nie poradziłabym sobie sama wtedy. Ale już do końca mieliśmy oddzielne sypialnie. Wiesz co, ale ja bym to wszystko zrozumiała, gdyby on ją kochał, gdyby ona kochała jego. Mieliby moje błogosławieństwo.

– A to nie była miłość?

– Nie, to była tylko kolejna próba Romana, by udowodnić sobie, że jeszcze może być lowelasem. Zbajerował mnie, dziewiętnaście lat młodszą, a potem poszedł za ciosem. Okłamywał mnie i ją. Zresztą, to urodzony krętacz.

– A Mario nie kłamie?

– Mnie nie okłamał, choć mógłby. Przecież o niczym bym się nie dowiedziała. Mielibyśmy cudowny romans. Ale wiesz, niesamowite, jak to role w życiu się zmieniają. Teraz ja jestem tą Iwonką?

– Dobra, Beti, to się jakoś może samo poukłada. Ty masz dziś Mełę?

– Nie, śpi na Karminowej.

– To może wyskoczymy gdzieś wieczorem?

– Dziś to muszę poukładać swoje sprawy biznesowe. Szukam czterech tysięcy, żeby kupić sprzęt kosmetyczny.

– I jak ty zamierzasz ich szukać? Daj mi jakieś wskazówki.

– Na przykład zadzwonię do teściowej i zapytam, czy mogę skorzystać z jej karty kredytowej.

– Kurczę, zapowiada się na ostrą harówkę – śmieje się Doris. – To uważaj, żebyś się nie przepracowała dzisiaj.

– A poza tym gardło mnie boli. I w ogóle jakoś niewyraźnie się czuję.

\*\*\*

Wieczorem, po kluczowej dla mojego biznesu rozmowie telefonicznej z teściową, dzwonię jednak do Doris.

– Gdzie jesteś?

– Tu w knajpie koło nas.

– Jednak wyjdę.

Po drodze spotykam Margo, która odprowadza jakąś koleżankę na przystanek.

– A ty co, masz wychodne dzisiaj? – pytam.

– Tak.

– To chodź ze mną. Pogadamy.

Wkładamy koleżankę do autobusu i idziemy.

– Beti, już musiałam gdzieś wyjść. Dzieciaki zostawiłam z mężem. Muszę mieć chwilę dla siebie...

– A jak tam w ogóle? Gadałaś z nim jeszcze?

– Tak, wszystko mu powiedziałam na spokojnie.

– I co on?

– Że nie miał pojęcia, że jest mi aż tak źle. Zaproponował, że wyprowadzi się na jakiś czas, żebym odetchnęła i przemyślała wszystko.

– Też mi coś! – pryham. – Zostawi cię już całkiem samą w tym kieracie.

– Zaproponował, że da mi pięć tysięcy.

– Chyba na waciki?

– No chyba. Bo ja samego kredytu mieszkaniowego płacę trzy tysiące.

– Więc zaproponowałaś, żeby jednak było, jak jest?

– Tak. Ale jest już lepiej, bo zabrał mnie na romantyczną kolację do restauracji.

– Margo, zapomniałabym, my mamy z Doris sprawę do ciebie. Pożyczyłabyś nam jakieś pieniądze?

– Mam siedem tysięcy. Ile chcecie?

– Stówa nam wystarczy.

Doris siedzi przy piwie z jakimś kolesiem.

– Greg – przedstawia nam się. – Ty jesteś Beti? Doris opowiadała mi o tobie. „A mnie o tobie nie” – myślę.

– A cóż to Doris o mnie opowiadała?

– Że napisałaś książkę.

– A, o tym... To masz dziś okazję pić ze wszystkimi trzema jej bohaterkami.

Greg przyjmuje ze stoickim spokojem nasze babskie gadki i śmiechy. Płaci za nasze wszystkie piwa (tu wielki plus dla niego) i imprezę przenosimy na nasze osiedle. Siadamy na ławce pod blokiem, ale zaraz przegania nas stamtąd jakaś wielbicielka ciszy nocnej. Kamuflujemy się więc na placu zabaw. W międzyczasie dostaję SMS-a od Borysa. „Jutro ma być piękna pogoda. Obiecaliśmy Meli, że zabierzemy ją do zoo. Pójdziemy tam jutro?” Borys, człowieku, czy do ciebie nie dotarło jeszcze, że nie jesteśmy już razem? I nie będziemy. Nie będzie też żadnego ślubu, choćbyś stał pod tym zoo cały okrągły rok. Nic mu nie odpisuję. To typ, który nawet odpowiedź „nie” bierze za dobrą monetę. Myśli sobie: „Aha, odpisała, więc jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze jej zależy...”. Nie, jej już nie zależy!

Idę z Doris do mieszkania po whisky.

– Kto to jest ten Greg? Może mi powiesz wreszcie?

– Kolega z pracy.

– Kolega? To po jaką cholereę siedzisz mu na kolanach?

– Bo jestem pijana?

– Nie no, to wszystko tłumaczy. A gdzie on będzie spał?  
– Pojedzie taksówką do domu.  
– Taaa, jasne.  
– Oj, Beti, on mi się w ogóle nie podoba.  
– Tylko, że jak wypijemy tę whisky, to nie będzie miało żadnego znaczenia.  
– To mnie pilnuj.  
– To co, mam go przenocować u siebie?  
– Oj, bierz te plastikowe kubki i lecimy, bo Margo z Gregiem zaraz z nudów zaczną lepić babki z piasku.

No, to lecimy.

Zaczyna dzwonić komórka Margo.

– Halo?

Cisza.

Za moment jeszcze raz.

– Halo? Coś ty, jaja sobie robisz? Co to za głuche telefony?

– To twój syn dzwonił do ciebie, ale on ma tylko dwa miesiące, więc nie mógł zapytać, o której mama wraca do domu – odzywa się w końcu w słuchawce mąż Margo.

– Nie wiem. Czy ja nie mogę mieć jednego spokojnego wieczoru?

Margo jednak postanawia wrócić na łono rodziny, a my przenosimy się do mieszkania Doris. O szóstej rano ścielę jej łóżko i instruuję Grega, jak mają być poukładane poduszki na stole. Od najmniejszej do największej. Tak jak Doris lubi. Jeśli obudzi się i zobaczy, że z poduszkami wszystko gra, dojdzie do wniosku, że sama je poukładała, a więc nie była jeszcze tak bardzo pijana, jak jej się zdawało. Będzie spokojniejsza.

Zostawiam ich. Grega tylko obrzucam spojrzeniem pod tytułem: „Jeśli ją tkniesz, będziesz miał ze mną do czynienia!”.

Idę spać z poczuciem, że zrobiłam, co mogłam.

\*\*\*

Budzi mnie telefon. Doris. Nienawidzę jej!

– Masz mleko?

– Mam – chciałabym odpowiedzieć, ale głos odmawia mi posłuszeństwa. Mam jakieś cholerne zapalenie krtani.

– Co ty tam mruyczysz? Zresztą, zaraz wysyłam do ciebie swojego człowieka.

Pukanie do drzwi. Nie, nie jestem w stanie powiedzieć „proszę” z powodu krtani i nie, nie jestem w stanie otworzyć drzwi z powodu kaca. Niech sam sobie otworzy. Z tym że to nie jest takie proste. Trzeba wziąć rozbieg, uderzyć biodrem w dolną część drzwi, naciskając w tym samym czasie klamkę. I jak ja mam mu to wytłumaczyć, skoro nie mogę mówić? Dobra, poradził sobie.

– Gdzie mleko?

Wskazuję głową lodówkę.

– Robię kawę. Zrobić ci też?

Kiwam głową.

– To zejdziesz?

Kiwam głową.

Miły chłopak.

Schodzę na dół w piżamie. Doris dostaje ataku śmiechu na mój widok.

– Nie, no ja muszę ci zrobić zdjęcie. I wyślę temu Mariowi. Czy on na pewno wie, w co się pakuje?

Ale o co jej chodzi? O moją piżamę? Brak makijażu? Potargane włosy? Patrzę w lustro. Nie! Zaraz się rozplączę.

– No i co nic nie mówisz? – pyta Doris.

Wskazuję na gardło i rozkładam ręce. Może przepłuczę kawą i mi przejdzie? No, trochę lepiej.

– A ty się dobrze czujesz? – chrypię.

– Znakomicie. Beti, leć się ogarnij, przecież zaraz jedziemy na działkę. Matylda już dzwoniła, że od godziny na nas czeka.

Matylda to matka Doris.

– A czy Matylda wie, że godzinę temu to my się dopiero położyłyśmy?

– Nie, i nic jej nie mów.

Dobra, zbieram się jakoś. Doris jeszcze wpada na pomysł, żeby zabrać na działkę kota. Gamoń jednak nie wykazuje entuzjazmu. Zamknięty w plastikowej klatce i wciśnięty mi na kolana robi na nie ze stresu coś śmierdzącego. I to jak! Jeszcze z kocim gównem na kolanach nie podróżowałam. Grega wysadzamy na przystanku. Szkoda, że nie możemy tego zrobić z Gamonem.

\*\*\*

Jak to się stało, że mając tylu adoratorów naraz, długi majowy weekend spędzam z Doris i jej mamą w drewnianym domku na jakiejś zapomnianej przez Boga wsi? Dzielę się swym spostrzeżeniem z Doris, ale ta nie wie, dlaczego tak jest. Zresztą, jej umysł nie pracuje zbyt sprawnie. Mamy gigantycznego kaca, a może nawet jesteśmy nadal pijane. I jeszcze ten Gamoń... Cholera, jakby w domu nie mógł zostać. Opalał się przecież nie będzie, a piwa też się z nami nie napije. Nie przewidujemy innych atrakcji. Zapowiada się wspaniale ten wywczas.

– No, poopowiadajcie coś – prosi Matylda, bo chyba jej się nudzi.

– Hmm... O czym by tu...? – zastanawiam się. Przecież nie o tym, że piłyśmy do piątej rano?

– Mamo, wiesz, że Beti ma swoją własną wariatkę? – zagaduje Doris.

– Jak to? – dziwi się Matylda.

– No, ma taką wariatkę, która prześladowuje ją SMS-ami od dwóch lat.

– Swoją drogą, dawno się nie odzywała – mówię.

– Ale co z tą wariatką? – żąda informacji mama Doris.

– Ojej – wzdycham. – To matka mojej byłej opiekunki do dziecka.

No i opowiadam w telegraficznym skrócie, jak to chciałam pomóc dziewczynie bez pracy, więc zlecałam jej pilnowanie dziecka lub sprzątanie od czasu do czasu. No i taka mnie nagroda za to spotkała, że jej walnięta matka zaczęła do mnie wydzwaniać z wyzwiskami, a jak przestałam odbierać, to pisze SMS-y.

– Ale co ci pisze?

– Ojej, co mi pisze? Nie pamiętam już. Ale zaraz zobaczę, bo trzymam je w komórce. Raz tak się z nią rozpisałam, że mnie trzecia rano złapała. Zazwyczaj jednak nie odpisuję, bo to ją za bardzo podnieca. Kiedyś napisała mi: „Ile Pani miała lat, jak Pani urodziła dziecko i gdzie był wtedy psychiatra?” „Panią się zajmował” – odpisałam, bo już mnie wkurzyła.

Wyjmuję komórkę i czytam im. Na przykład:

„Niezależnie od Pani zachowania, proszę o rozmowę”.

„Cwany prostak w stolicy! Do zobaczenia”.

„Proszę Pani, znowu mnie okradła. Niestety, będzie miała Pani rozmowę”.

„Proszę Pani, nie powinna jej Pani pomagać. Zniszczyła swoją przyszłość.

Ubliża i poniża za trud wychowania. Pytam: Boże, dlaczego?”

„Przepraszam, dosyć upokorzeń przez nieznanymi mi cwaniaków. Manipulowana przez Panią musiała sprzątać. Policja dysponuje już tą wiedzą”.

„Niestety, problem powraca. Wczoraj krzyczała na cały głos. Brudne schody i okna w mróz myła u Pani za dziesięć złotych. Mam tego dosyć. Pora na konsekwencje”.

Zaśmiewamy się z tych SMS-ów do łez.

– Z jej córką nie widziałam się od dwóch lat, a ta baba nadal do mnie pisze. Ma fazy, dwadzieścia SMS-ów w jeden dzień, a potem trzy miesiące ciszy i znów atak.

– A w ogóle ponoć to jest bardzo szanowana osoba, na stanowisku – tłumaczy Doris. – I nikt, oprócz Beti, nie wie, że ona jest wariatką.

– Ty chyba przyciągasz takich ludzi jak magnes – dochodzi do wniosku Matylda. – Ale, dziewczyny, ja też miałam niedawno przygodę.

– No, to nawijaj.

– Słuchajcie, jechałam pociągiem i nagle zadzwonił telefon. „Słucham” – powiedziałam, ale ten ktoś się zaraz rozłączył. Za chwilę dostaję SMS-a: „Chyba pomyliłem numery. Do kogo się dzwoniłem?”. Nie odpisałam. Za chwilę kolejny SMS: „Dowiem się?” „To nie wiesz, do kogo dzwoniisz?” – odpisałam, bo w sumie nudziło mi się w tym pociągu. „Szczepie, to nie wiem, ale możemy się poznać” –

kolejny SMS. „Nie możemy” – chciałam uciąć krótko i konkretnie tę jakże pasjonującą znajomość. „Czemu?” – zapytał. Ja na to nic. Nie poddał się: „Na nic nie liczę, mam żonę, ale poznać się to przecież nic złego”. „Czy żona też tak uważa?” – napisałam. „Nie wiem, bo przechodzimy mały kryzys” „To uważaj, żeby się w duży nie zamienił”. Na to on: „Nie będę ściemniał, mam duże potrzeby, a żona mi tego nie daje”. No to ja mu na to: „A co mnie to obchodzi?”. A on: „Przepraszam, że pomyliłem numery”. Za chwilę przesyła mi MMS-a. Otwieram, a tam... no, same domyślcie się co.

Ha, ha, ha. Padamy.

– No dobra, to co robimy dalej z tym wywczasem? Nudy jak cholera.

– Wiem, zadzwonimy do tej wariatki – proponuję. – Dlaczego tylko ona może mnie molestować?

Wszystkie zgodnie stwierdzamy, że pomysł jest super. Niestety, mój telefon nie łapie tu zasięgu. Doris bierze swój. Zaczynamy od SMS-a na początek: „Hej, co u Ciebie? Długo się nie odzywałaś. Jak spędzasz długi weekend?”.

Nic. Cisza. Rozczarowane puszcza jej sygnał. A co! Po chwili oddzwania.

– Ja dzwoniłam z poczty do pani – zaczyna Doris.

– Z jakiej poczty?

– Na Chodeckiej. Jest paczka dla pani.

– A pani nie wkręca mnie przypadkiem? To nie jest żart?

– Nie, musi pani tę paczkę odebrać, bo... bo... bo ona się rusza, ta paczka.

– Co?

– No tak, ona podskakuje.

– O Boże!

– To odbierze ją pani? Bo my tu problem mamy. Tu jest napisane „Berlin” i są trzy wykrzykniki. Odbierze ją pani?

– Postaram się.

Doris popada w dłuższą zadumę po tej rozmowie, po czym mówi do nas:

– Dziwne, ale gadając z nią, miałam nieodparte wrażenie, że to ja jestem wariatką, a nie ona.

\*\*\*

Jak to dobrze, że nie mam tu zasięgu. Cisza i spokój. Nikt nie dzwoni, ja nie dzwonię do nikogo. Nikt nie pisze, że czeka przy zoo, nikt nie dzwoni ze sprawozdaniem o wymiarach płodu. Mam luz. Nie, ja oszaleję zaraz, jak ten telefon mi nie będzie działał!

– Gdzie ty lecisz? – pyta Doris.

– Szukać zasięgu.

Niestety, nic z tego. Poddaję się.

– A gdzie Mela? – pyta Matylda.

- U Romana.
- Wziął ją na cały weekend?
- A tam, od razu „wziął”. Napisałam do niego, że albo przeleje mi trzy stowy, albo pakuję dziecko i zostawiam mu na weekend. Nie odpisał, więc zadzwoniłam do teściów, że dziecko czeka na odbiór. Zaraz przyjechali.
- Ten twój Roman to też jest okaz – wzdycha Matylda. – Ale, Doris, ty mi lepiej powiedz, czy ty i Greg...
- Nie, mam – ucina Doris. – To tylko kolega z pracy.
- Dziewczyny, któraś z was musi w końcu kogoś sobie znaleźć, bo inaczej to popadniecie w alkoholizm.
- Oj, mam, przecież nie pijemy tak często.
- I nigdy bez okazji – wtrącam.
- A niby jakie wy miałyście ostatnio okazje?
- Wymienię ci chociaż kilka. Pierwszy kwietnia – prima aprilis, drugi kwietnia – Międzynarodowy Dzień Książki dla Dzieci, dziewiąty kwietnia – Dzień Bohaterów Wszelakich, dwunasty kwietnia – Dzień Czekolady, czternasty kwietnia – Dzień Ludzi Bezdomnych.
- A piętnasty kwietnia? – pyta zrezygnowana Matylda.
- A nie, bo to Światowy Dzień Trzeźwości.
- Ale zaraz potem był – tu Doris wyciąga już wydruk i czyta z kartki: – „szesnasty kwietnia – Dzień Saperów i Włókniarzy, siedemnasty kwietnia – imieniny Adolfa, osiemnasty kwietnia – Międzynarodowy Dzień Ochrony Zabytków, Światowy Dzień Krótkofalowca, dziewiętnasty kwietnia – urodziny króla Suazi, dwudziesty kwietnia – Międzynarodowy Dzień Wolnej Prasy, Międzynarodowy Dzień Świadomości Zagrożenia Hałasem, dwudziesty pierwszy kwietnia – rocznica założenia Rzymu, dwudziesty drugi kwietnia – dzień odkrycia Brazylii, Międzynarodowy Dzień Matki Ziemi, dwudziesty trzeci kwietnia – Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich, Dzień Koni, dwudziesty czwarty kwietnia – Międzynarodowy Dzień Solidarności Młodzieży, Międzynarodowy Dzień Przeciwno Wiwisekcji, dwudziesty piąty kwietnia – Dzień Sekretarki, dwudziesty szósty kwietnia – Dzień Drogowca i Transportowca, dwudziesty ósmy kwietnia – Dzień Ziemi, Światowy Dzień Pamięci Ofiar Wypadków przy Pracy, dwudziesty dziewiąty kwietnia – Międzynarodowy Dzień Tańca, trzydziesty kwietnia – rocznica śmierci Führera”.
- I to wszystko w kwietniu? – Matylda już zbladła.
- No, a niedługo będziemy świętować rocznicę naszego poznania, potem Dzień bez Stanika, Dzień bez Prezerwatywy, a w ogóle to maj jest Miesiącem Masturbacji.
- A ja chciałabym jeszcze na weselu którejs z was się polansować, póki jeszcze jakoś wyglądam.



– Co ty pleciesz? Ty jesteś taką laską, że ja teraz chciałabym tak wyglądać.

Matylda jest rzeczywiście szczupłą, zadbaną blondynką, za którą wszyscy oglądają się na ulicy. Sama poznałam ją w taki sposób. Zaczepiłam ją w parku i zaproponowałam makijaż. Byłam pewna, że chętnie skorzysta z moich usług. A kiedy już się z nią umówiłam, przyszła też Doris. Ale nie, to nie był jeszcze początek naszej przyjaźni. Zaczęło się pół roku później, kiedy zorientowałam się, że mieszkamy w tym samym bloku, jesteśmy samotnymi matkami i mamy dzieci w tym samym wieku.

Matylda wyciąga małe lusterko i stwierdza:

– W sumie masz rację. Jestem ładna i do tego fajna.

Babskie pogaduszki przerywa nam SMS od Grega.

– Zobacz. – Doris pokazuje mi telefon. – „Masz wspaniały tyłek”.

– Zapytaj, skąd wie – proponuję.

„Nie mogłem oderwać od niego rąk” – przychodzi odpowiedź.

– No i masz swojego kolegę!

– Kurwa! – podsumowuje Doris. – No i jak mnie pilnowałaś?

\*

Idziemy pod sklep. To takie wiejskie centrum rozrywkowe. Stoją tam trzy drewniane ławki, a nad nimi są rozpięte parasole. Siadamy.

– A Mario się odezwał? – pyta Doris.

– Mario wyjechał ze swoją dziewczyną na weekend. A zresztą, nie mam tu zasięgu. No i co on mógłby mi napisać? Jaka pogoda?

SMS. O, mam zasięg! Mario: „Jaka u Was pogoda? U nas trzydzieści stopni ciepła”.

Ha, ha, ha! Już chcę mu odpisać, że u nas wieje halny, zachmurzenie słabe, ciśnienie rośnie, ale znów tracę zasięg. Cholera! Tracę zasięg i humor. On gdzieś tam z nią, a ja w dupie jakiejś. Gdzie tu sens? Gdzie logika?

Dołącza do nas ojciec Doris, a zarazem mąż Matyldy.

– Stęskniłem się za wami strasznie – mówi, całując je obie.

– My za tobą też, a poza tym kasa nam się kończy – mówią one.

– Przywiozłem, nie martwcie się.

– Są na świecie idealni mężczyźni – wzdycham ciężko do Doris.

– Tylko jeden, Beti. Mój ojciec.

\*

Wieczorem siedzimy przy ognisku, ale mam straszego doła.

– Masz doła? – pyta Doris.

– Nie, no skąd? – zaprzeczam.

– No, przecież widzę.

- Nie mam!
- To po tym SMS-ie od Mario?
- Tak.
- Beti, pamiętaj – Doris mnie przytula – w najgorszym wypadku, gdyby nam się nigdy życie nie ułożyło, to zawsze mamy siebie.
- Pamiętam. I nie wiem, czy już mam sobie podciąć żyły, czy jeszcze trochę poczekać.
- Córeczko – wcina się ojciec Doris – w następne wakacje pojedziemy we dwójkę na Goa. No, chyba że do tego czasu wyjdiesz za mąż.
- A gdyby już tak się nieszczęśliwie złożyło, że ona wyjdzie za mąż, to mogę jechać zamiast niej? – pytam.

\*\*\*

Wracam dziś do domu. Odbieram Melę i jutro znów jedziemy na działkę. Jasio też wraca od ojca, więc dzieci spędzą trochę czasu razem.

Telefon. Jest zasięg, ha, ha! Witaj, cywilizacja!

– Jesteś już? – pyta Mario.

– Jestem.

– To za chwilę będę.

Stoję w pustym, przeraźliwie pustym mieszkaniu i czekam na niego. Zaraz wszystko będzie dobrze. Będę znów w jego ramionach i będę cieszyła się chwilą. Tylko chwilą...

– Tęskniłem – mówi i całuje mnie mocno.

– Ja też. Nawet nie wiesz jak. Nie wiesz, jak mi tam było bez ciebie. Nie wiesz...

– Beti, już. – Kładzie mi palec na ustach. – Już jestem. Choć to nie ma najmniejszego sensu.

– Wiem...

Bierze mnie na rękę i kładzie na łóżku.

– Jesteś piękna, piękna...

– Mario, jeśli mogę ci coś z siebie dać, to po prostu to weź. Wiesz dlaczego?

– Bo mnie kochasz?

– Nie. To znaczy tak. Ale nie o to chodzi. Ja już na nic nie czekam, nie ma dla nas nadziei. Więc lepszego momentu niż teraz nie będzie.

\*

– Beti, my musimy się rozstać – mówi po wszystkim. – Przyjechałem dziś, żeby ci to powiedzieć.

Wyskakuję z łóżka jak oparzona.

– Co? – krzyczę. – To dlaczego nie powiedziałaś? Chciałaś powiedzieć:

„Koniec z nami”, ale przejęzyczyłaś się i powiedziałaś: „Ściągaj majtki”?

– To nie jest tak...

– Ja już nie takie przejęzyczenia miałam w życiu. O, na przykład z Romanem. Chciał może tylko zapytać, czy mam fajki, a powiedział: „Kocham cię i chcę mieć z tobą dziecko”, potem już chciał mi powiedzieć, że ma żonę, a powiedział: „Czy wyjdiesz za mnie?”

Mario leży nadal na łóżku i zwija się ze śmiechu.

– Beti, ty jesteś taka zabawna... Kobieto!

Stoję jeszcze chwilę osłupiała, ale zaraz zacznym się śmiać razem z nim.

– Nie mów, że nie znasz dowcipu, jak to facet już miał żonie powiedzieć, że ją kocha, ale się przejęzyczył i powiedział: „Ty stara kurwo, zmarnowałaś mi życie!”

– Uwielbiam cię. Bez wątplenia jesteś najzabawniejszą osobą, jaką znam.

– A z ciebie jest kawał kutasa! I nie ma co obwiniać losu za to, że nie jesteśmy razem. Bo to nie los zapłodnił tamtą, a teraz przeleciał mnie!

– Beti, umrę ze śmiechu. Ostrzegam!

– A, widzę, że rozmowa z tobą to jak grochem o ścianę. Poddaję się.

– Słuchaj, zbieramy się i jedziemy po Melę. Zawiozę was na tę działkę.

– Nienawidzę cię, wiesz?

– A ja jestem twoim największym fanem. I twojej pięknej córki też.

\*\*\*

Mela wygląda, jakby zjadła kogoś żywcem.

– Mam buzię czerwoną jak wisienka, a to są... czereśnie. Tylko, że one są czarne, a wisienki czerwone i wyglądają trochę jak truskawki, bo są czerwone.

– Nie nadążam – mówi Mario.

– To znaczy, że nie jesteś tak inteligentny, jak myślałam.

– Moja mama cię wcale nie kocha! – dodaje Mela. – Ona kocha mnie. A ja cię wcale nie lubię!

– Ale dlaczego? – pyta Mario.

Mela myśli chwilę i mówi:

– Może kiedyś cię polubię bardziej, ale to będzie długo trwało. Teraz lubię cię tylko na tyle, że możesz mi lody kupić. Hello Kitty.

– Dowcip po mamusi. No cóż, zainwestuję te dwa złote w naszą przyjaźń, Melu.

– Super! A dokąd my teraz jedziemy?

– Na działkę.

– I tam spotkam się z Jasiem?

– Tak.

– Super! To muszę się umyć.

\*

Mario podwozi nas pod bramę. Mela wybiega jak szalona z samochodu i pędzi na spotkanie z Jasiem. My jeszcze długo całujemy się w samochodzie.

– Czy my kiedyś ze sobą zerwiemy? – pytam.

– Nie wydaje mi się. Kolejna próba spęła na niczym.

– To może już nie zrywajmy?

– Ale coś z tym wszystkim trzeba zrobić...

– Wiem! Weźmy ślub.

– Ale...

– Ale posłuchaj mnie – przerywam mu. – Weźmy ślub. Nikomu nie powiem.

Potem nadal możesz mieszkać z nią, być z nią. Wystarczy, że ja będę wiedziała, że jesteś moim mężem.

– Beti, moja kochana...

– No co „Beti”?

– Ty jesteś tak zwariowana...

– Wiem. Poza tym mam same zalety.

– Zadzwoń.

– Wiem, zawsze dzwonisz.

\*

Doris patrzy na mnie podejrzliwie.

– Bzyknęliście się?

– Bez komentarza.

– Zabezpieczyłaś się chociaż?

– O jasna cholera!

– Beti, ty jesteś stuknięta! A jeśli teraz ty zajdziesz w ciążę? Musiałabyś usunąć. Nie dałabyś rady sama z dwójką dzieci.

– Nic bym nie usuwała! Puknij się w łeb!

– No chyba że zażądałabyś czterech tysięcy alimentów od niego. W zamian nic nikomu nie powiesz. Ale czekaj, za cztery tysiące miesięcznie to i ja mogłabym zajść z nim w ciążę. I też nic nikomu nie powiem.

– To już razem miałybyśmy osiem tysięcy miesięcznie. Życie nie umierać.

– Ale poczekaj... Co z twoimi okolicami bikini?

– Wydepilowane.

– O kurwa! Ty się naprawdę zakochałaś.

\*

– Mamo, mam, ale Jasia nie ma – Mela przerywa nam obrady na szczycie.

– Jak to nie ma?

– Bo zapomniałam, że ja go dopiero jutro od ojca odbieram – tłumaczy Doris. – Na tej działce czas jakoś inaczej biegnie i trochę się pogubiłam.

– No nie! – wkurza się Mela. – A ja już się nawet umyłam.

\*

– To co, idziemy pod sklep? – pyta Matylda.

– Skoro nie masz innych, bardziej ambitnych propozycji...

Zasiadamy na ławce pod sklepem. Atrakcji ciąg dalszy... Przyjeżdża syn wujka Doris z... chłopakiem. Andy ma dwadzieścia lat i jest gejem. Jego chłopak ma osiemnaście lat i jest po prostu piękny. Czy ja dobrze kombinuję? Gdybym jednak była parą z superwujkiem Doris, to Andy byłby moim pasierbem? A ta laleczka obok niego moją niemalże synową?

– Mamo, mamo! – Mela przerywa moje rozmyślenia.

– Co znowu?

– Przewróciłam się.

Patrzę na moje dziecko, całe oblepione ziemią. Kurz przyłgnął do mokrego jeszcze po kąpieli ciała.

– Pięknie wyglądasz, nie ma co!

– A na dodatek zsikałam się, mamusiu.

Zdejmuję jej spodenki i ociekające jeszcze moczem wieszam na drzewie.

– Kurde! – wściekam się. – Już wiem, dlaczego nie chciałam mieć dzieci.

Trzeba robić te wszystkie obrzydliwe rzeczy. Począwszy od seksu...

Doris spada z ławki.

– Beti, nie mogę. Ty mnie ostrzegaj, zanim powiesz coś śmiesznego.

– A to jest niby takie śmieszne, tak?

Andy krztusi się piwem i mówi po prostu:

– Beti, kocham cię.

– A ty nie jesteś gejem?

– Oj, tak, ale mogłabyś być moją macochą na przykład. Gdybyś związała się z moim ojcem...

– Niby tak, ale widzisz, jaka ze mnie matka. Nie wiem, czy jestem gotowa na jeszcze jedno dziecko. W dodatku syna, i to dorosłego. Ale może i byś się przydał. Trzeba mi naprawić krzesło w mieszkaniu.

– Beti, ty mi obiecuj, że ja będę w twojej książce. Świat musi o mnie usłyszeć. A poza tym co to za książka bez geja?

– Może i masz rację, Andy. W takim razie musimy się bardziej zaprzyjaźnić.

– Będę pisał i dzwonił, obiecuję.

Mela stoi brudna i z gołym tyłkiem, czekając, aż wyschną spodenki. Wygląda strasznie.

– Nie, dziecko. Włóż lepiej te spodenki i stój na słońcu. Ja zaraz zwariuję!

Melu, żebyś ty wiedziała, jak ja cię czasem nie lubię!

– Ale ja cię lubię. A jak ktoś cię lubi, to i ty go musisz lubić, bo on ci daje serce. A ja mam dobre serce, czerwone. A jak ktoś ma złe, to ma czarne i nie chce dać komuś wody, jak ktoś chce pić na przykład.

– Możesz to jeszcze raz powtórzyć? Bo nie zdążyłam zapisać.

\*

Wieczorem kładę Melę spać, a sama chcę wyjść zapalić.

– Mamo! – A jednak jeszcze nie śpi.

– Co?

– Dobrze by było, gdybyś ty w nocy nie paliła.

– Melu, dobrze by było, gdybyś ty w nocy spała.

– Dobrze by było, mamo, gdybyś ty też spała.

Wzdycham i kładę się koło niej. Budzę się rano w ubraniu.

\*

– Mamo, czy to już jest ten dzień? – Mela otwiera oczy.

– Czyli który?

– Dzień, w którym przyjedzie Jasio.

– Tak.

– Super! To muszę się znowu umyć?

– Tak. I przypudrować sobie nosek.

– Mamo, przecież ja jestem jeszcze za mała na puder. Czy ty mnie chcesz wychować na porządne dziecko, czy na jakiegoś wariata?

Wybucham śmiechem.

– Melu, kocham cię bardzo.

Wychodzę na taras i ustalamy z Doris, że zaraz jedziemy na targ do Nasielska. Ponoć można tam kupić fajne ciuchy. Wyprawa niczym do Mediolanu. Nagle z domku wyłania się Mela. Ma na sobie poplamioną serkiem różową koszulę nocną i moje sięgające jej do kolan skarpety w granatowo-czarne paski.

– Mamo, czy mogę tak jechać?

Biorę kilka wdechów, liczę w myślach do dziesięciu i mówię powoli:

– Generalnie tak... ale nie ze mną i nie do Nasielska.

\*

Doris przywozi Jasia i nasze dzieci znikają gdzieś w odmętach działki. Siedzimy spokojnie na tarasie, pijąc kawę, kiedy widzimy ich dumnie kroczących. Trzymają się za ręce, Mela w drugim ręku trzyma pęk kwiatów.

– A wy co? – pytamy.

– Wzięliśmy właśnie ślub – oznajmia moja córka.

\*

Pakujemy się dziś i wracamy do stolicy. Doris wręcza mi Gamonia i każe zamknąć się z nim w samochodzie, żeby nie uciekł. Trzymam go mocno, ale drań się szarpie i chce wyskoczyć. Toczymy wojnę, którą przegrywam. Gamoń chowa się w domku, a ja po jego pazurach mam na ciele dwie rany szarpane i pięć kłutych. Doris bierze klatkę i z poważną miną idzie po kota. Z domku dobiegają niepokojące odgłosy walki.

– I co my zrobimy, kiedy z domku wyjdzie Gamoń z Doris w klatce? – zastanawia się jej ojciec.

Jednak nie, to Doris wychodzi z Gamonem w klatce. Triumf jest tylko chwilowy. Kot podważa wieko, wyskakuje i chowa się pod domkiem. Chcemy go zwabić kiełbasą, żeby wyszedł, ale ma gdzieś nasze starania.

– Z Doris sprawa byłaby prostsza – głośno myśli ojciec. – Zwabiłbym ją piwem i fajkami. Ha, ha.

Dobra, postanowione, kot zostaje na działce, skoro taki jego wybór, a my wracamy do domu.

\*\*\*

– Jesteś? – pyta Mario.

– Jestem, jestem – mówię do słuchawki. – Jak zawsze.

– Nie odpisałaś na mojego SMS-a.

– A, tego o pogodzie? Przepraszam, nie miałam zasięgu.

– Jak na tej działce? Dobrze było? Jak dziecię?

– Mela? Wyszła za męża, ale poza tym wszystko gra. Poszła właśnie do przedszkola.

– Zaraz przyjadę. Strasznie tęskniłem.

\*

– Wiesz, kiedy dowiedziałem się o dziecku, nie spałem całą noc.

Przekręcam się, leżąc w jego ramionach, tak by być twarzą do niego.

– Zgadnij, o kim wtedy myślałem – kontynuuję. – O tobie. O tym, że cię spotkałem i że cię tracę.

– Ale nie straciłeś.

– Straciłem szansę na to, żeby to było dobre. To już zawsze będzie złe, niemoralne...

– Wiem, ale nie mam siły o tym myśleć. Nie rozmawiajmy o tym.

– Zauważyłaś, że jest coraz więcej rzeczy, o których nie rozmawiamy? Już nawet nie pytasz, jak mi się z nią układa, nie pytasz, co zamierzam, ja nie pytam, jak ty się z tym czujesz. Kiedy od ciebie wychodzę, serce mi pęka, że zostajesz

sama. Ja zamykam za sobą drzwi i wracam do swojego życia, a ty zostajesz tu sama.

– Nie jestem sama. Mam Mełę.

– Jeżeli będziesz chciała się z tego wycofać, ja zrozumiem.

– Nie chcę...

– Ale jeśli kiedykolwiek będziesz chciała, powiedz tylko słowo.

– Tak łatwo mi odpuścisz?

– Nie mam prawa oczekiwać nic od ciebie. Rozumiesz?

– Rozumiem. Mogę powiedzieć ci tylko tyle: jeśli będę za bardzo cierpiała, jeśli poczuję, że to dla mnie zbyt wiele, po prostu nie odbiorę więcej twojego telefonu.

\*\*\*

SMS. Andy: „Beti, może się umówimy na jakieś piwo? Ja naprawdę chcę być w Twojej nowej książce”.

Ja: „To przyjedź do nas na Wyspową”.

Andy: „Nie, nie. Boję się, że jak tam pojedę, to już nie wrócę”.

Ja: „No tak, podzielisz los ojców naszych dzieci. Wszyscy zaginęli w tajemniczych okolicznościach. Jedno jest pewne – z Twoją orientacją to kolejnej samotnej matki tu nie zostawisz”.

Andy: „A zmieniając temat, czy ja Ci naprawiłem to krzesło? Bo chyba coś Ci tam obiecywałem”.

Ja: „Oj, gdybym ja wierzyła wszystkim tym, co obiecywali naprawić moje krzesło tudzież życie, tobym na tym nieźle wyszła, ha, ha”.

\*\*\*

– Mamo, dlaczego ja mam na imię Melania? – pyta ni stąd, ni zowąd moja córka. – Chciałam takie imię, jak się urodziłam?

– Nie, ja sama tak zdecydowałam.

– O nie, mamo! Przecież gdybyś mnie zapytała, to wybrałabym sobie inne imię.

– Jakie?

– Chciałabym się nazywać Motylek Kwiatek.

– Aha... Dobra, to mogę tak do ciebie mówić, Motylku Kwiatku.

– I będziesz mnie wtedy bardziej lubiła, niż jak byłam Mełą?

– A to Meli nie lubiłam?

– Nie, bo to była niegrzeczna dziewczyna. Bałaganiła, nie słuchała mamy.

A Motylek Kwiatek jest grzeczny.

\*



– Mamo, włącz mi bajkę! Natychmiast! – budzi mnie wrzask Meli.  
– Dzień dobry, Motylku Kwiatku – mruczę.  
– Ja dziś nie mam tak na imię!  
– A jak masz?  
– Słoneczko Różyczka.  
– Dobrze, może być – zgadzam się łaskawie. – To ubieraj się i idziemy do przedszkola.

– Nie! Bajkę!  
– Nie! Przedszkole!  
– Nie! Nie! Nie!

Mela wierzga nogami i drze się coraz głośniej.

– Wiesz co, ja chyba nie chcę mieszkać ze Słoneczkiem Różyczką. Ona jest jeszcze bardziej niegrzeczna od Melanii. Chcę, żeby wróciła Motylek Kwiatek.

– Nie! Jestem Słoneczko Różyczka! – krzyczy. – Czy ty to rozumiesz?  
– Nie, za cholerę nie! – wzdycham i znikam za drzwiami łazienki.

Jeśli jutro moja córka przedstawi mi się jako Mr Hyde, to – przysięgam – ucieknę z domu i tyle mnie będzie widziała!

– Ja chciałam mieć dobrą mamę, nie taką jak ty! – dobiega mnie jeszcze wrzask Meli.

– A ja chciałam mieć dobrą córkę, i co mam teraz zrobić? – Wystawiam głowę z łazienki.

– Może kupić sobie lalkę? – odpowiada mi bezczelnie.

\*

Wyciągam ją w końcu z domu. I muszę sobie kupić fajki. Natychmiast!

– Mamo, a po co my idziemy do sklepu?

– Po papierosy.

– Mamo, nie! Po pierwsze papierosy szkodzą zdrowiu, a po drugie można od nich zachorować.

– Wiem, wiem...

– A kupisz mi żelki?

– Wszystko ci kupię, tylko już zamilknij.

Czuję, że zaraz eksploduję. Mało brakuje do tego, żebym ja też zamieniła się w Słoneczko Różyczkę. Wpadamy do sklepu. Mela łapie żelki. Kurczę, nie ma fajek!

– Wychodzimy – mówię do niej. – Odlóż to.

– Nie, ja chcę żelki!

– Nie, ja mam kartę kredytową i nie będę nią płaciła za same żelki!

Wydzieram jej słodycze z ręki i wyprowadzam płaczącą na zewnątrz. Idziemy do drugiego sklepu. Jestem u kresu sił. Dobra, są fajki, są żelki. Wyciągam

kartę.

- Terminal jest zepsuty – oznajmia ekspedientka. – Tylko gotówka.
- To idę do bankomatu.
- Bankomat nie działa – dobija mnie baba.

Mela ściska żelki, ja ściskam fajki. Nie damy się tak łatwo zbyć. Zablockowałyśmy całą kolejkę. Odwracam się do tych ludzi i zdesperowana krzyczę:

- Czy ktoś mógłby za mnie zapłacić?
- Facet za mną wyskakuje z kasy. Uratowane!

\*

SMS. Andy: „Zdradzę Ci sekret. Jednym z moich największych marzeń od zawsze jest bycie samotnym ojcem”.

Ja: „Chcesz mieć dziecko? Weź Melę. Kiedy możemy się umówić na podpisanie dokumentów adopcyjnych? Mam czas jutro o dwunastej”.

Andy: „Nieeee! Chcę mieć syna, Oskara. Mojego, ale bez matki”.

Ja: „Mój drogi, bez matki to się nie da, o ile pamiętam jeszcze z biologii. I choćby ten Twój Mateo był nie wiadomo jak super, to obawiam się, że zapłodnić go się nie da”.

Andy: „Cholera, to co robić? Może znajdę jakąś naiwną laskę, co się zgodzi?”.

Ja: „Naiwnej, głupiej nie szukaj, bo jak Oskar wda się w nią?”.

Andy: „Masz rację. Ale ja nie lubię kobiet, a w dodatku pochwy śmierdzą śledziem”.

Ja: „Jezuuuuu!”.

\*\*\*

Mela wyjeżdża dziś na Karminową. Doigrała się! Dzwonię do Doris.

- Podwiesz mnie?
- Jasne, ale teraz na kogoś czekam.
- Na kogo?
- Na Grega.
- Coś się kroi jednak?
- Nie, no co ty. Ja mu nawet powiedziałam, żeby na nic nie liczył, że możemy być tylko przyjaciółmi.
- I co on na to?
- Wyśmiał mnie. „Ha, ha, ha, ty myślałaś, że ja się do ciebie zalecam? Ha, ha, ha, ja tylko cię lubię, jak koleżankę. A coś ty sobie już naroiła w tej głowie?” – coś w tym stylu. No i uspokoiłam się. Idziemy na tenisa, a potem zawieziemy cię na Karminową, OK?

- OK.
- A potem jakieś piwko, co?
- Namówiłaś mnie.

Przyjeżdżają w końcu. Wyglądają razem tak fajnie, że aż popadam w zadumę na ich widok. Może jednak coś powinno z tego być?

Odstawiamy Melę, robimy zakupy i zasiadamy razem na balkonie. Greg załapuje wszystkie nasze śmiechy i w sumie stwierdzam, że może być naszą koleżanką, nadaje się. Co prawda, nie jest samotną matką, ale jestem w stanie przymknąć na to oko, pod warunkiem że będzie nam kupował piwo i parzył kawę. A może z czasem on i Doris...

\*

- Doris, może z czasem ty i on... – zaczynam, kiedy zostajemy same.
- Ty wiesz, że też o tym dziś pomyślałam? To mnie przeraża. Czuję się przy nim tak jakoś swobodnie. Ale już ustaliliśmy, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.
- Chyba ty ustaliłaś?
- No właśnie. I co mu teraz powiem? Że zmieniłam zdanie?
- Nie no, bez sensu – stwierdzam. – Więc może ja mu to powiem?
- Ani mi się waż!
- Dobra, dobra. Może lepiej ustalmy, co z tym naszym Egiptem.
- No jak co? Lecimy.
- Dobra, to ja muszę sobie wyrobić paszport.
- Melę zabierasz?
- Nie, ona spędza wakacje u babci w Zamościu.
- To masz dwa miesiące luzu?
- No, aż się boję.
- Może jeszcze polecą z nami moja kuzynka.
- Dobra, to może się Jasiem zajmie.

\*

Rano wchodzę na swoją pocztę. O, przyszedł jakiś mail z ofertami wakacyjnymi. Egipt! Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt złotych za tydzień. Dzwonię do Doris.

- Beti, bierzemy to. Kupuj trzy bilety.
- Dobra.

Wchodzę na stronę i klikam „Kup teraz”. Przekierowuje mnie na moje konto, puste konto.

- Dzwonię do Doris.
- Chciałam kupić te bilety, ale zapomniałam, że nie mam kasy. Ty masz?
- Nie mam nic.

– To co robimy?

– Nie wiem.

– To nie lecimy?

– No nie.

Za chwilę telefon. Doris.

– Beti, mam plan. Ja dzwonię do Matyldy, a ty dzwoń do Maria. Niech nam pożyczą tę kasę.

– Genialne! Że też sama na to nie wpadłam.

Siedzę z telefonem w ręku. Już prawie wybieram numer do Maria, ale... No właśnie, nie jestem w stanie tego zrobić nawet przy całej swojej bezczelności. Dzwonię za to do Doris.

– Słuchaj, może ja też mogłabym zadzwonić do Matyldy zamiast do Maria? Bo jakoś mi głupio.

– Matylda nie odbiera telefonu. To do niej niepodobne. Beti, martwię się. Może coś jej się stało? Możesz do niej iść?

– Dobra, już idę. Tylko powiedz mi, co mam zrobić, jeśli okaże się, że nic jej nie jest? Najpierw ucieszyć się, że żyje, a potem zapytać, czy może zapłacić za nasze wakacje, czy na odwrót?

Ubieram się i zmierzam ku drzwiom. A, zadzwonię jeszcze do Matyldy przed wyjściem. Może jednak nie muszę iść osobiście?

– Halo? – słyszę w słuchawce słaby głos Matyldy.

– No wreszcie! Bo już się do ciebie wybierałam. Nic ci nie jest?

– Nie, śpię.

– A masz na koncie pięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt złotych?

– Mam, pożyczę, tylko daj mi już spać.

Dzwonię do Doris.

– Sprawa załatwiona. Twojej mamie nic nie jest i zapłaci za nasze bilety.

– Alleluja!

– A ta twoja kuzynka jedzie?

– Nie, powiedziała, że nie ma kasy.

– A co to za wymówka? My też nie mamy, a jakoś nam to nie przeszkadza!

\*\*\*

Jedziemy rano do przedszkola.

– Mamo, a kto mnie dzisiaj odbierze? – pyta Mela.

– Wujek Mario.

– A niech on Jasia odbierze choć raz, a nie tylko mnie i mnie!

– Ja chcę, żeby mama mnie odebrała! – protestuje Jasio.

– A ja chcę, żeby mnie tato odebrał! – krzyczy Mela. – Mamo, dlaczego tato nigdy mnie jeszcze nie odebrał z przedszkola?

– Doris, zastrzel mnie i skróć moje męki – mówię.

– Już niedługo wakacje, wytrzymaj.

\*

– Przyjdź tu natychmiast! – krzyczy Doris do telefonu po południu.

Lecę.

– Zobacz. – Prowadzi mnie na taras.

Oczom moim ukazuje się kaczka siedząca na jajach. Obok niej przycupnął dumny Gamoń, jakby co najmniej to on był ojcem kaczątek.

– Chyba mam déjà vu. Rok temu było to samo.

– To ta sama kaczka, jestem pewna.

– I po co ona tu wróciła?

Rok temu, jak tylko kaczorki wykluły się z jaj, przyjechał Ekopatrol i zabrał jej maluchy. A my jeszcze długo miałyśmy przed oczami zrozpaczoną, latającą nad pustym gniazdem kaczkę.

– Beti, czy ona potem wyprowadzi stąd te dzieci na przykład do parku?

– Ja myślę, że weźmie kredyt „Rodzina na swoim” i kupi mieszkanie.

\*

SMS. Roman. Co znowu?

„No, nie możesz wziąć tej pożyczki? Razem byśmy ją spłacili. Ja nie mam ani grosza. Ty chcesz nas wykończyć!”

Odpisuję: „Jakie MY? Jakie RAZEM? NAS już nie ma. Nie zauważyłeś?”

„No, mówię Ci, razem spłacimy. To kwestia przetrwania dwóch miesięcy”

Nie no, już nie odpisuję. On jest chory. Co to właściwie za propozycja? Mam wziąć dwadzieścia tysięcy kredytu dla niego, spłacić dwadzieścia pięć (odsetki), on mi odda dziesięć i dorzuci trzysta na przedszkole. To trzeba być jednak doradcą finansowym, żeby coś takiego wymyślić!

„To chyba wspólna sprawa, żebyśmy stanęli na nogi, bo jest przecież Mela”  
– dostaję kolejnego SMS-a.

Tak, jasne! Ja mam się pograć całkowicie, żeby on stanął na nogi, bo przecież mamy dziecko, które wychowuję sama. Oj, Roman, Roman! Albo myślisz, że jestem głupia, albo że cię nadal kocham. A tymczasem tej głupiej, zakochanej Beti, która brała dla ciebie kredyty, już nie ma.

\*\*\*

Mela ogląda bajkę *Mulan*, którą pożyczyła od Jasia. Mama mówi do Mulan: „Niedługo skończysz szesnaście lat i trzeba będzie ci znaleźć męża”.

– Mamo? – moja córka już zaczyna wkraczać na śliski grunt. – A jak ja skończę sze...

– Nie! – kończę dyskusję.

Mela popada w zadumę.

– Mamo, ja nie wiem, jakiego ja sobie znajdę męża. Na pewno takiego, co nie ma jeszcze żony.

(O, dobrze by było!)

– A jak mi się nie uda, to będę mieszkała sama z dzieckiem.

(No i dupa!)

\*\*\*

Wracam z przedszkola i widzę idącego naprzeciw mnie faceta, który zapłacił za moje zakupy. Cholera! Nie umknę mu.

– Wiem, wiem, że jestem panu winna piętnaście złotych.

– Chyba pani mnie z kimś pomyliła.

Patrzy na mnie zdziwiony. Hmmm, to rzeczywiście nie on.

– A to się dobrze składa, bo tylko chciałam powiedzieć, że nie mam, żeby oddać.

\*

Idę po Melę do przedszkola. Prosto na mnie idzie facet. Tym razem to na pewno ten, który zapłacił za mnie w sklepie.

– O, dobrze, że pana widzę. Wiem, że jestem panu winna pieniądze.

Ten patrzy na mnie jak na wariatkę, którą trzeba natychmiast umieścić w zakładzie zamkniętym.

– A odczep się ode mnie, kobieto!

To ten sam facet, owszem. Ten sam, którego zaczepiłam rano.

– Więc może mi pan pożyczy piętnaście złotych? To wtedy przestanę się mylić.

– Jak ja pani pożyczę piętnaście złotych, to będzie mi pani musiała oddać trzydzieści.

– O nie, oddam panu trzydzieści, jak mi pan pożyczysz pięćdziesiąt.

Dobra, zmykam do domu, bo już się pogrążam.

\*

– Oddała pani pieniądze temu facetowi? – pyta ekspedientka w sklepie.

– Nie, bo raz, że to nie był on, a dwa, że nie miałam akurat.

– Może to on, tylko nie chce od pani tej kasy?

– Nie, to nie on.

– To wie pani, że to nie on, a zaczepia go pani?

– Bo dowiaduję się, że to nie on dopiero wtedy, kiedy go zaczepiam.

\*

- Mamo, czy ty pamiętasz, jak mnie urodziłaś? – pyta Mela.
  - Nie, bo byłam pod narkozą.
  - Dlaczego?
  - Bo zrobiłam takie „Uuuu”, ale nic z tego nie wynikło, ty się nie urodziłaś i musieli rozciąć mi brzuch.
  - Bolało cię? – Mela jest przerażona.
  - Bardzo.
  - No, to już wiesz, dlaczego ja nie chcę nic jeść!
  - Dlaczego?
  - Bo nie chcę urosnąć! Bo jak urosnę, to będę musiała rodzić te głupie dzieci i będzie mnie bolało. Kolacji dziś nie chcę! Nie! Nie! Nie! Dziękuję!
- \*\*\*

Jedziemy znowu na działkę. Rodzice Doris, jako że wyjeżdżają na ekskluzywne wczasy do sześciogwiazdkowego hotelu na Krecie, opuszczają nas po dwóch dniach. Zostajemy same. Czy na pewno możemy tu zostać bez opieki dorosłych? No jasne! Przecież my same już jesteśmy matkami. A propos dzieci, kładziemy je szybciotko spać. We dwie zasiadamy na tarasie. No i jakieś wino się znalazło. Pełen relaks. Przejrzymy zaraz najnowszy numer „Działkowca”...

– Cholera! Nie mogę tego wina otworzyć! – sapie Doris, ciągnąc za korkociąg.

- Niemożliwe! Daj mi to.
- Łapię korek zębami.
- Nie da rady – seplenię.
- Daj mi jeszcze raz.
- No i?
- Dupa!
- Co to za wino?
- Oj, pewnie mój ojciec kupił w sklepie ze śmiesznymi rzeczami i nagrywa nas teraz ukrytą kamerą.
- Oglądają nas teraz na Krecie i padają ze śmiechu.
- Taaa, jakby tam innych rozrywek nie mieli.
- Patrzmy na zaczarowaną butelkę ze łzami w oczach.
- Trzeba zbić szyjkę – zapada decyzja. – Przecież nie pójdziemy do sklepu po nocy, przez las po inne wino.
- No, nie pójdziemy, bo musiałaby iść tylko jedna z nas. Przecież druga musi dzieci pilnować.
- To zbyt niebezpieczne tak samej iść przez las w nocy – popadam w zadumę.

\*

- To ty, Beti, leć do sklepu po następne.
- Dobra, to lecę. Daj jakąś kasę.
- Nie mam.
- To rodzice nas bez pieniędzy zostawili?
- Bierz moją kartę.
- OK.

\*

Mam wino w reklamówce. Szczęśliwa wychodzę ze sklepu i wracam na działkę. Chcę wrócić... Gdzie ta działka? Zadzwonię do Doris. Nie, przecież nie mam zasięgu. O Boże! Jak ciemno! Błąkam się po lesie. Dlaczego nie sypałam ziarenek grochu jak Jaś i Małgosia? To w ogóle było w tej bajce? Czy to był na pewno groch?

Po godzinie jestem na miejscu. Doris wychodzi właśnie z pokoju Jasia, targając ze sobą ogromnego misia.

- Zobacz, mam faceta – mówi z dumą, sadzając pluszaka na krześle.
- Nie no, fajny – nie jestem zbyt przekonana.
- I co? Można kogoś poznać? Można? – Doris nie kryje entuzjazmu.
- No, a jakim on wzrokiem na ciebie patrzy... Widać, że zakochany.
- Wzięło go, co?
- Tylko taki misiowaty jest trochę, nie sądzisz?
- Oj, czepiasz się, wiesz?
- Bo jestem zazdrosna po prostu.
- Ale zobacz, dzieci go lubią, on lubi dzieci. Jaś to go wręcz uwielbia.
- A bierzemy go do Egiptu?
- Sama nie wiem... Może się trochę spocić w tym futrze.

\*

Rano wychodzimy na taras, żeby zjeść śniadanie. Miś leży pod krzesłem.

- Ty, patrz, jak on się wczoraj upił – mówię.
- Aż mi wstyd za niego – potwierdza Doris.
- Typowy facet! Nawet śniadania nam nie zrobił. Teraz pewnie będzie cały dzień odsypiał.
- A taki fajny nam się wydawał wczoraj...

– A wyszło jak zwykle. Ale czekaj, obejrzymy zdjęcia.

Przeglądamy. Ale się działo! Doris siedzi misiowi na kolanach. Doris całuje misia. Doris w samym staniku na misiu. Miś na Doris.

- Doris! – jestem zgorszona.



– Wiem, wiem, Beti. Dopilnuj, żebym w momencie, kiedy zechcę zgwałcić Gamonia, poddała się bez protestów eutanazji.

– Ja cię sama wtedy zabiję, bez obaw.

– Mamo, dlaczego mój miś tu leży? – pyta zaspany Jasio.

– Beti, następnym razem weźmiemy Margo. Potrzebny nam jest jakiś głos rozsądku w tym wszystkim.

– A może Grega weźmiemy? Dziećmi się zajmie, grill rozpali, do sklepu pójdzie... Przecież my nie możemy tak się forsować.

\*\*\*

Wracamy do domu i zaraz wpada do nas Greg.

Mela i Jasio prześcigają się w deklamowaniu wierszyków, żeby zaimponować „wujkowi”. Greg sadza sobie w końcu ich oboje na kolanach. Musimy przyznać, że ma podejście do dzieci.

– Wujek, niedługo są moje urodziny – mówi Mela. – Przyjdiesz?

– Jasne, kruszynko.

– A moje już były – preży się z dumą Jasio. – Bo ja jestem starszy.

– Nie, ja jestem starsza! – wścieka się Mela.

– Ja!

– Mamo, nie lubię Jasia!

– Mamo, nie lubię Meli!

– Jestem już tobą zmęczony, Melu – stwierdza z powagą Jasio. – Mam już dość tego, że ciągle jesteś pod nosem.

„Oto małżeństwo” – myślę sobie.

\*

Piszę rano do Doris. „Jak z Gregiem?” Był u niej jeszcze, kiedy wychodziłam, czule gładził ją po ramieniu. Mogło się to rozwinąć. „Kurde, nie mógł się zebrać do wyjścia. Chyba chciał zostać na noc”. „I co zrobiłaś?” „Zamówiłam mu taksówkę”.

Po chwili dostaję maila od Grega: „Co ja mam robić? Zdusić to w zarodku czy dobijać się i sprawdzać, czy otwarte? Bo, k...a, nic z tego nie rozumiem”.

Ja: „Nie wiem. Z Doris to jest tak, że czasem otwarte, a czasem na trzy spusty zamknięte. Jak jest otwarte, to jest zajebiście, a jak zamknięte, to Ci serce może zjeść i wypluć. Rób swoje, ryzyko jest Twoje :)”.

Greg: „Najgorsze, że z założonym kagańcem ciężko się robi swoje, a w sumie tak to trochę wygląda. Chciałoby się coś zrobić, ale nie bardzo to *coś więcej* wpisuje się w ten układ. Czuję się, jakbym miał związane ręce. I weź tu bądź mądry”.

Ja: „Nie ma mądrych na miłość. Znasz moją sytuację. Sama jestem

w emocjonalnej dupie i nie sędzę, bym była kompetentna w tych sprawach”.

Greg: „Tobie to już całkiem nie zazdrozczę... Poznałem ostatnio dziewczynę. Piękna, inteligentna. Zaprosiła mnie na kawę”.

Ja: „A Ty co?”.

Greg: „A ja kocham Doris. Ale może powinienem przyjąć to zaproszenie”.

\*

– Doris, on kogoś poznał – mówię jej potem.

Ta ma jakąś taką zaszokowaną minę.

– No, co się tak na mnie gapisz? Co prawda, może być tak, że poinformowałem mnie o tym, bo wiedział, że ci powtórzę, a wtedy ty szybciej się zdeklarujesz.

– Jezu, jak ja nienawidzę takich gierek u facetów! I myśli, że ja wyskoczę z majtek, bo poczułam oddech konkurencji na karku?

– Może tak być.

– Nie wiem, co robić. Lubię, jak jest przy mnie, ale wkurza mnie to jego rozkochane spojrzenie.

– Bo to za proste. Ty lubisz wyzwania. Jakby cię olewał, to ty byś wzdychała, a jak go masz tak na talerzu, to już tak dobrze nie smakuje, co?

– Dlaczego tak zawsze jest, co? – Doris patrzy w przestrzeń. – Chcemy tego, czego nie możemy mieć, a jak coś mamy, to tego nie chcemy.

– Ja lubię Grega. Moglibyście być fajną parą.

– Ja też go lubię, z tym że nie mam motyli. Ale założmy, że wchodzę w ten związek. Bierzymy ślub, budujemy dom, wszystko cacy. Tylko że już widzę oczami wyobraźni, jak po dwóch latach zdradzam go z instruktorem fitness.

– Oj, Doris, Doris... A założmy, że ty poznajesz fantastycznego gościa, zakochujesz się, budujecie dom, a po dwóch latach to on cię zdradza z instruktorką fitness. I co ty na to?

– Sama nie wiem...

Siedzimy na tarasie. Nagle słyszemy głos sąsiadki z góry.

– Dziewczyny, rodzina wam się powiększa.

– Co?

– Kaczątka się wykluwają.

Boże! Poród rodzinny. Zaczynam nagrywać wszystko komórką.

– Gdzie jest Gamoń? – pyta podenerwowana Doris.

– Na kanapie przed telewizorem.

– Jak każdy facet! Ona rodzi, a ten ma w dupie!

Na naszych oczach przychodzi na świat sześć małych istotek.

– Dobra, Beti, ja idę jutro do pracy, a ty pilnuj, żeby Ekopatrol znowu tu nie przyjechał.

– OK.

\*

Wstaję rano i zerkam przez okno. Spod naszego bloku odjeżdża właśnie wóz Ekopatrolu.

Nie! Cholera jasna! Zabrali nam kaczkę. Drżącymi palcami wybieram numer Doris.

– Nie! Tylko nie to! Mam nadzieję, że ją też zabrali razem z dziećmi, że nie uciekła.

– Nie wiem, nie wiem. Nie dopilnowałam.

– Ale swoją drogą, kto pozwolił tym dupkom wejść na mój taras?

– To powinno być karalne. To naruszenie miru domowego chyba.

– Czy już człowiek nawet kaczek nie może mieć na tarasie? Własnych kaczek na własnym tarasie?

– Wracaj z pracy i zobacz, czy ta kaczka tam jest, czy zabrali wszystkie.

– Będę o siedemnastej.

\*

Otwieramy mieszkanie i słyszymy tylko żalosne kwakanie pozbawionej dzieci kaczki. Doris z impetem otwiera drzwi na taras.

– Spierdalaj stąd, słyszysz? Nic tu po tobie. Tu mieszkają same samotne matki, nic dobrego cię tu nie spotka. Też sobie miejsce wybrałaś na wicie gniazda! My mamy własne dramaty, nie trzeba nam twoich.

Kaczka odfruwa, patrząc na nas smutno.

– My mamy choć dzieci, ona nie ma już nic – wzdygam.

– Daj fajkę, bo zaraz się totalnie rozsypię.

– A ty melisy zaparz.

\*\*\*

Urodziny Meli zbliżają się pełną parą. Dziś przyjeżdża babcia Krysia z Zamościa, gość honorowy, a zarazem główna organizatorka, która posprząta i ugotuje.

– A czy ta twoja mama nie chciałaby posprzątać też u mnie? – pyta Doris.

– Tak, myślę, że mocno tego pragnie. A nawet jeśli nie, to powiem jej, że ja mam takie mieszkanie dwupoziomowe, z tym że jeden poziom jest na parterze, a drugi na drugim piętrze. A moje mieszkanie to posprząta. Znowu mi wszystko poprzestawia i będę tego miesiącami szukała.

– Ale czy ona dobrze sprząta? Bo wiesz, że ja jestem pedantką.

– Doris, Krysia to guru samotnych matek. Sama wychowała trójkę dzieci, zarabiając pięćset złotych miesięcznie i zawsze miała perfekcyjny porządek i obiad na stole. Nie podważaj jej autorytetu.

– To w kogo ty się wdałaś? Bo na pewno nie w nią.  
– Jestem jej przeciwieństwem, czarną owcą w tej rodzinie. Powielam los jej siostry, ciotki Do.  
– A co ta Do teraz porabia?  
– Rozwiodła się trzeci raz i obecnie ma romans z czterdziestoletnim Włochem, siedemnaście lat od niej młodszym. Mieszkają w Belgii.  
– O ludzie!  
– Tłumaczyłam jej, że on nawet dla mnie jest za młody. Ale ta twierdzi, że skoro jemu ta różnica wieku nie przeszkadza, to jej tym bardziej.  
– Dobra, wracając do Krysi, to załatw mi te porządki.  
– A może wyjedziemy po nią na dworzec?  
– Nie zdążymy, przecież jeszcze zakupy trzeba zrobić. Oczywiście jeśli chcesz, żebym cię zawiozła samochodem do marketu.  
– Dobra, to zamówię jej taksówkę.  
\*

– Dziecko, ja tu żadnej taksówki nie widzę! – krzyczy mama do słuchawki.  
– Mamo, ma przy szlabanie czekać.  
– Tu nie ma żadnego szlabanu.  
– A gdzie ty jesteś?  
– W Warszawie.  
– Mamo, nie denerwuj mnie. Gdzie ty jesteś?  
– Ty mnie nie denerwuj. W Warszawie jestem, i koniec.  
– Doris, mnie już ręce opadają – mówię do sąsiadki, która dusi się ze śmiechu. – Ja nie wiem, gdzie ona stoi.  
– W Warszawie stoi, przecież ci mówi.  
– Mamo – mówię do telefonu – wsiadaj już w jakąkolwiek inną taksówkę i przyjeżdżaj.  
– Bierzemy ten ośmiopak piwa? – pyta Doris.  
\*

– Jestem już. – Krysia dociera na miejsce po dwóch godzinach. – Siedemdziesiąt złotych trzeba zapłacić.  
– Mamo, czy ty zwariowałaś? Taksówka do mnie z centrum kosztuje jakieś dwadzieścia złotych.  
– Błądził, bo sam nie wiedział, jak jechać.  
– A co mnie to obchodzi?  
– Pytał mnie, czy ja wiem, gdzie to jest, a ja mu na to, że jakbym wiedziała, tobym na piechotę z tymi torbami poszła.  
– I dobrze mu powiedziałaś. Policzył ci, jakbyś jechała na Wyspówą

z Warszawy Centralnej przez Kraków, Rzeszów, Zamość i może jeszcze Ukrainę.

– Nie no, dziecko, na Ukrainie nie byliśmy.

– Pewnie tylko dlatego, że paszportu nie wzięłaś. Dobra, już trudno, idę po ciebie.

\*

– Mamo, ja mam taką sąsiadkę, u której często przesiaduję z Melą – zaczynam dyplomatycznie.

– No i? – Krysia jest czujna.

– No i trochę tam zawsze robimy bałaganu.

– Tam też mam posprzątać?

– Jakie też? – bulwersuję się. – U mnie czysto.

– Ty to nazywasz czystością? – Krysia z dezaprobatą rozgląda się na boki.

– Specjalnie na twój przyjazd sprzątałam. Ale ja tobie nigdy nie dogodzę.

\*

Po dwóch godzinach mama wraca od Doris.

„I jak?” – piszę.

„Twoja mama jest cudowna. Nawet puszki piwa powycierała”.

„Jeszcze może pety w popielniczce poukładała od najmniejszego do największego?”

„Nie, chronologicznie”.

„Ale ty jesteś głupia!”

– Ale fajna ta Doris – mówi mama. – Widać, że to taka mądra, poukładana dziewczyna.

Taaa... W oczach Krysi tylko ja kwalifikuję się do psychiatryka.

\*\*\*

Impreza jak się patrzy. Domofon dzwoni jak szalony, a ja tylko otwieram i zamykam drzwi, wpuszczając gości. O, telefon. Mario.

– No co? – pytam.

– A co tak oschle?

– Co tam, kochanie? – poprawiam się.

Krysia czujnie na mnie zerka. A co tam.

– Złóż Meli życzenia ode mnie.

– Co to za „kochanie” dzwoniło? – pyta mama.

– Oj, taki jeden.

– Mów!

– Mamo, nic z tego nie będzie – rozwiewam jej nadzieje.

– Dlaczego ty tak z góry to przekreślasz?

– Bo wiem, że ani z góry, ani z dołu nic z tego dobrego nie wyniknie.

Przecież nie wytłumaczę jej, że to, owszem, mój chłopak, który jednak ma też inną dziewczynę na stanie i dziecko w drodze.

Wchodzi Doris z Gregiem.

– A ten gość to kto? – pyta Krysia.

– To jest taki nasz wspólny chłopak, mój i Doris – tłumaczę.

– Jak to wspólny?

– Tak to. Raz tu zrobi kawy, raz tam.

– Zrobić komuś kawy? – pyta Greg gości.

Wybucham gromkim śmiechem. Mama siada na krześle i z rezygnacją kręci głową. Co tu się dzieje w tej stolicy? Sodoma i Gomora!

\*

Krysia wyjeżdża po trzech dniach, oznajmiwszy, że już wszystko posprzątała, poukładała i nic tu po niej. Nudno w tym mieście, na podwórko nie można wyjść i w ogóle w głowie jej się nie mieści, jak tu można żyć. Poza tym nie może połapać się kto jest kto, kto jest z kim i dlaczego niektórzy nie chcą lub nie mogą być z kim chcą. Więc jeżeli o nią chodzi, to ona już zrobiła, co w jej mocy, czyli starła kurze.

– To pa, mammo.

\*\*\*

A my na działkę. Tym razem z Gregiem. Jeszcze tylko szybkie zakupy.

– Ile tych ośmiopaków mam brać? – pytam się.

– A cena dobra?

– Aż za dobra. Dwanaście dziewięćdziesiąt.

– To weź trzy.

– Wezmę cztery.

Ładujemy te wszystkie piwa do bagażnika i zadowoleni, że mamy zaopatrzenie na weekend, jedziemy. I to bez rodziców Doris. Greg będzie pilnował nas, dzieci, kota i domku, żebyśmy go przypadkiem nie podpaliły, chcąc rozpalić jedynie grill.

\*

Dzień jest piękny. Dzieci grają z Gregiem w piłkę, my opalamy się nad brzegiem rzeki. Greg biega bez koszulki, prezentując nagi tors.

– Nie, ja muszę się inaczej położyć – wierci się Doris.

– Czyli jak?

– Tak, żeby go nie widzieć.

– Nie rozumiem.

- Beti, ja jestem tak wyposzczona, że nie ręcę za siebie.
  - To może jednak idź z nim do łóżka?
  - Nie mogę. Dla mnie to będzie tylko seks, a dla niego dowód prawdziwej miłości. Potem powie, że mnie kocha, jeszcze mi się oświadczy...
  - Nie, to rzeczywiście horror. Nie można do tego dopuścić.
- \*

Dzieci śpią. My otwieramy piwo. Dyskutujemy żywo o życiu, picciu, miodzie i jego znaczeniu w przyrodzie. Sama nie wiem kiedy, idąc tylko zrobić siku, trafiam do ciemnego, wilgotnego pomieszczenia. Po chwili okazuje się, że jest tu też Doris.

- Gdzie my, kurwa, jesteśmy? – pyta, łapiąc mnie za rękę.
  - Nie wiem, ale bardzo się boję.
  - To chyba jakaś piwnica.
  - Tu nie ma światła, Doris. Co robić?
  - Poszukajmy wyjścia.
  - Musimy się podczołgać do włazu.
  - Nie puszczaj mojej ręki, nie można nam się rozdzielać.
  - Zimno tu i mokro.
  - Żeby tylko szczurów nie było.
  - Nie strasz mnie!
  - No, czołgajmy się. Do wyjścia. Damy radę.
  - Ja już nie mam siły.
  - Dawaj, trzymam cię.
- \*

Budzi nas kac. Leżymy w łóżku rodziców Doris.

- Pić – jęcę.
- Gdzie Greg? – jęczy koleżanka.
- Nie wiem... A powinien być z nami w łóżku?
- Poszukajmy go.

Greg siedzi przy dogasającym ognisku i czyta książkę.

- O, cześć, dziewczyny. Żyjecie?

– Neeee. Słuchaj, my miałyśmy taką przygodę wczoraj, że szok. Wpadłyśmy do piwnicy.

– Co? – Greg jest zdumiony. – Ja wam opowiem zaraz co i jak. Poszłyście do łazienki i byłyście tam jakieś czterdzieści minut. Docierały do mnie tylko jakieś krzyki. W końcu poszedłem spać. Wtedy pojawiłyście się w sypialni. Bez słowa. Jedna z was zdjęła stanik...

- A, to chyba ja – potwierdzam, zagładając pod bluzkę.

- Wtedy zacząłem się trochę bać, ale wy położyłyście się i zasnęłyście.
- Cholera, Greg, nie mogłeś po prostu nas uratować? Wejść do łazienki, włączyć nam światło?
- A skąd mogłem wiedzieć, że wam się ubzdurało, że jesteście w piwnicy?
- No fakt.
- \*

Greg po tym rodzinnym weekendzie pewnie myśli, że wyląduje u Doris, zaparzy jej kawę, jak zwykle, ale ta mija Wyspową i odwozi go prosto pod jego dom. Aż przykro patrzeć na jego rozczarowaną minę.

– Doris, ty w poprzednim życiu musiałaś być facetem – kwituję jej zachowanie.

- Dlaczego?
- Bo jesteś bezwzględna w stosunku do niego.
- Nie chcę, żeby sobie za dużo wyobrażał.

Wieczorem dostaję SMS-a od Grega. „Zadzwoń do tej dziewczyny z siłowni i umówił się na jutro. Zapomniałem Ci powiedzieć, że ona mieszka na Wyspowej, w bloku obok Waszego”.

Czy wszyscy ludzie na świecie mieszkają na Wyspowej?

\*

Dzwoni Doris z pracy.

– Słuchaj, pogadałam poważnie z Gregiem. Powiedziałam mu, żeby sobie nie robił nadziei, że to tak, jakby mi ktoś chciał sprzedać samochód i opowiadał o nim, że to wersja rodzinna, kombi, bezpieczny, mało pali. Wszystko super, ale ja zobaczę sportową corvette i wsiądę w nią. Bez względu na ryzyko, bez względu na to, że pewnie rozbiję się nią na najbliższym zakręcie.

- To mu nagadałaś. I co on na to?
- Że jest szczęśliwy, że mu to powiedziałam. Nie wiem, co go tak uszczęśliwiło.
- A powiedziałaś mu coś jeszcze?
- No... że od czasu do czasu mogę się z nim bzyknąć, ale to i tak nic nie zmienia.
- No to już wiesz, co go uszczęśliwiło.
- Ale ja nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Chyba chciałam jakimś optymistycznym akcentem to zakończyć.
- Ale ty durna jesteś!
- On ma dziś randkę.
- Wiem.
- Powiedziałam, żeby wpadł, jak będzie „po”, to zda relację.



\*

Dzwoni Greg.

– Mam jeszcze pół godziny do randki. Mogę poczekać u ciebie? Strasznie leje.

– Jasne.

Wpada zmoknięty.

– Doris mnie podwoziła z pracy, ale zostawiła mnie pod bramą.

– O, jak miło.

– Ona jest chyba zazdrosna.

– Nie, nie sądzę. Zresztą, ja już nic nie wiem. Opowiadaj zresztą o tej dziewczynie. W domu się z tobą umówiła na pierwszą randkę?

– No tak.

– Dziwne to jakieś.

– A Mela gdzie?

– U ojca.

– Dobra, lecę już. Zostawię u ciebie plecak i przyjdę, jak skończę.

– Dobra, to powodzenia.

Ja tymczasem schodzę do Doris.

– I co, poszedł na tę randkę?

– No, poszedł.

– A niech mu się tam wiedzie. Ciekawe, za ile będzie z powrotem?

Telefon. Greg?

– Nie ma cię w domu? Ja już wróciłem.

– Czekał, już idę.

Otwieram mu drzwi domofonem. Bierze plecak.

– Ale Greg, co tak szybko?

– Głowa ją bolała. Ale za to dała mi to. – Wyciąga klucze z kieszeni.

– Klucze do mieszkania?

– Aha.

– Chodź, idziemy do Doris.

– Greg, ty coś ściemniasz z tą randką – zaczyna Doris.

– Nic nie ściemniam. No, miałem randkę.

– Jasne, dziesięciominutową.

– Bo bolała ją głowa.

– To nie mogła odwołać?

– Nie, bo wiedziała, że ja już przyjechałem.

– Dziwne to.

– A co w tym dziwnego?

– Wszystko.

Ja siadam sobie na progu i odpalam fajkę. Ich rozmowa toczy się dalej.

– Greg, nie patrz na mnie takim zakochanym spojrzeniem, bo robi mi się głupio. Przecież dziś wszystko sobie wyjaśniliśmy.

– Ale przecież powiedziałaś...

– Wiem, co powiedziałam.

– Mnie seks z tobą od czasu do czasu wystarczy. A to, że cię kocham, to inna sprawa.

– Na Boga, Greg! Ja tak tylko powiedziałam.

– Tylko powiedz jak często. Raz w miesiącu? Dwa razy w miesiącu?

– Co, mam ci to w kalendarzu rozpisać? Nie wiem, może raz w miesiącu, może raz w roku, a może nigdy.

– Bo jak raz w miesiącu, to dobrze, ale jak raz w roku, to ja się z tego wypisuję.

Dobra, gaszę fajkę i postanawiam wkroczyć.

– Hello, moi mili, pamiętajcie, że ja tu jestem!

\*

Mela rysuje. Zamalowała już ze sto kartek.

– Co tam tworzysz, dziecko? – pytam w końcu.

– Suknie ślubne dla dzieci.

– To sobie znalazłaś niszę. Zero konkurencji na rynku.

– To są projekty, mamó. Teraz ty musisz to wszystko uszyć.

– O nie, nie! A o której ty zamierzasz iść spać?

– Nie wiem, chyba wcale dziś nie pójde spać. Mam tyle roboty, że głowa mała.

Dzwoni Greg.

– Beti, zapomniałem ci powiedzieć, że od soboty będziemy sąsiadami.

– Co?

– Wynająłem mieszkanie na Wyspowej.

– Pieprzysz!

– No nie, naprawdę.

– Aha, czyli to była ściema z tą randką? Tak naprawdę poszedłeś tam wynająć mieszkanie?

– Oj tam, oj tam.

– Oj, Greg, Greg...

Muszę jak najszybciej poinformować Doris.

– Czekał tu, dziecko, ja lecę na chwilę na dół.

– Rób, co chcesz, mamó, ja mam kupę roboty.

– Co masz? A, nieważne. Zaraz wracam.

Pukam do Doris.

- Muszę ci coś powiedzieć.
  - Nie mogłaś zadzwonić? – pyta zaspana.
  - Nie, bo chcę zobaczyć twoją minę.
  - Dobra, dawaj. Jesteś w ciąży?
  - I to byłby taki hit? Nie, Greg wprowadza się do bloku obok.
  - Co?
  - Nie no, dawaj aparat, muszę uwiecznić twoją minę. Ha, ha, ha.
  - Jaja sobie robisz?
  - Niestety nie.
  - Boże! Teraz to on już będzie wszędzie. W sklepie, na siłowni...
  - Na placu zabaw...
  - Lepiący babki z piasku...
  - I do pracy będziesz go wozić, a potem z pracy do domu.
  - Czuję się prześladowana!
  - Nie igra się z miłością. Po prostu.
- Wracam do domu. Tymczasem Mela porwała swoje rysunki na strzępy.
- Coś ty tu narobiła?
  - Jednak nie mam talentu, mam. Te projekty do niczego się nie nadają.
  - Jesteś dla siebie zbyt surowa, dziecko.

## *Zapach Pakistanu*

Telefon. Doris?

– Słuchaj, zapytam wprost. Czy wyjdiesz za Pakistańczyka za dwadzieścia tysięcy?

– Ja, Doris, tak czułam, że ty mi się kiedyś oświadczysz... Wszystko do tego zmierzało.

– No, widzisz... No i co mi odpowiesz?

– Oczywiście, że tak – ironizuję. – A kiedy ślub?

– No, gdzieś na dniach.

– Tak szybko? No, nie wiem, czy zdążę z suknią ślubną. Chociaż mam kilka projektów Meli. I salę trzeba zarezerwować...

– Co ty pieprzysz?

– Jak to co? To nie będzie weselicha z pełną pompą?

– Beti, ja pytam poważnie. Kolega mojej koleżanki, Pakistańczyk, ma problem, bo chcą go deportować z Polski. Jest gotów zapłacić dwadzieścia tysięcy za ślub z Polką. To jest superpropozycja.

– Skoro taka super, to czemu sama za niego nie wyjdiesz?

– Bo nie jestem jeszcze w takiej dupie finansowej jak ty!

– I Mela będzie miała w końcu tatę – śmieję się.

– Ha, ha, ha...

– Wrócę, to pogadamy.

– Doris, czekaj, ale co Mario na to powie?

– Ty, no a co on ma do tego? Ciekawe, czy jak będzie się oświadczał swojej dziewczynie, to będzie cię pytał o zgodę?

– Nie mów tego, proszę cię. Nie wypowiadaj tych słów.

\*

Jadę autobusem i myślę intensywnie. Dwadzieścia tysięcy... Rozwiązałyby to moje problemy. No trudno. Wychodzę za męża. Doigrałam się. Piszę jeszcze do Doris: „Jesteś pewna, że to dobry pomysł?”. Odpowiada: „No pewnie. A co Ci szkodzi? A jak Ty nie chcesz, to zapytaj Romana :)”. O, no proszę. Zapomniałam o ojcu mojego dziecka. On potrzebuje dwudziestu tysięcy. Może wyjdzie za Pakistańczyka? Muszę zapytać przy najbliższej okazji.

Lecę jeszcze do sklepu, bo przecież trzeba jakiś alkohol kupić. Taki wyjątkowy dzień. Biorę dwa piwa i mleko. U Doris natykam się na jej mamę.

– A co ty, z mlekiem w torbie? – dziwi się.

– No, z mlekiem.

– Nie, ja nie wierzę, że ty tam nie masz też malibu – mówi, zaglądając mi do torby.

– Oj, zostaw tę moją torbę w spokoju! Mleko mam tylko.

– Dobra, dobra – poddaje się Matylda. – Jak przygotowania do Egiptu? Pewnie macie dużo spraw do załatwienia.

– Nawet nie wiesz jak dużo – wzdycham. Suknia, sala, zaproszenia...

– Nic jej nie mów o ślubie – szepce Doris.

– Co mówicie?

– Nic – odpowiadamy zgodnym chórem.

– Pojedziemy na działkę w ten weekend – zmienia temat Matylda.

– Ale my do Zamościa jedziemy.

– Ale my na działkę.

– Jakie „my?” Przecież mówimy ci, że NAS nie będzie. MY jedziemy do Zamościa.

– Kurczę! MY, znaczy ja i mój mąż – wkurza się Matylda. – Idę od was, bo tu można zwariować.

– To pa.

Drzwi się zamykają.

– Ufff! – oddycham z ulgą i wyjmuję piwa spod mleka. – Ona ma rentgen w oczach, ta twoja mama.

– Dobra, Beti. Konkretnie teraz. Umówione jesteśmy w knajpie na dziś z twoim narzeczonym.

– Co? – panikuję. – W co ja się ubiorę?

– Tylko się nie strój, żeby się w tobie nie zakochał, bo ci rozwodu potem nie da.

Wyłączam się na chwilę, bo już czuję nadciągające problemy. Czy mi na pewno Pakistańczyka brakuje do szczęścia? Doris coś mówi.

– Co? – pytam.

– Co ty zrobisz z tą kasą?

– Jaką kasą? – dziwię się.

– No, jak to „jaką kasą”? A dlaczego niby wychodzisz za mąż?

– Z miłości, oczywiście. A za kogo ty mnie masz?

Wybuchamy śmiechem.

– Dobra, a o której jesteśmy umówione? Dzwoń do tej swojej koleżanki.

Doris dzwoni.

– Nie, nie możemy na jutro przełożyć. Dlaczego? Bo Beti jest z krawcową umówiona w sprawie sukni ślubnej. A dziś do której możemy? Cały czas, tylko taki jest problem, że im będzie później, tym bardziej możemy być pijane. Dlaczego pijemy? No, przecież dziś wieczór panieński Beti. Zaraz striptizer przyjdzie, a potem ruszamy limuzyną w miasto.

- Doris, nie chcę ci przerywać, ale piwo nam się kończy – wtrącam się.
- Dobra, kochana, to przywieź nam tego Pakistańczyka jak najszybciej.

Naręczona już tęskni.

Lecimy do sklepu. W pięć minut jesteśmy z powrotem. Zasiadamy na progu balkonu z piwem i fajeczkami. W radiu lecą miłosne ballady.

– Zobacz, Doris. Jeszcze w piątek zastanawiałam się, czy ja kiedykolwiek wyjdę za mąż. A w środę już jestem niemal zaręczona.

– I powiedz mi, czy życie nie jest piękne?

– Doris, ja się ciebie pytam, CO JESZCZE MOŻE SIĘ ZDARZYĆ?

– Ha, ha! Co mogą jeszcze wymyślić dwie samotne matki? I to prawie nie opuszczając strzeżonego osiedla.

– Będiesz moją świadkową?

– Oczywiście.

– A świadkiem będzie może Mario? – rozmarzam się. – A podczas robienia zdjęcia zepchnę pana młodego na bok i mamy być tam tylko ja i on. Uśmiechnięci, ja z obrączką na palcu, w białej sukni.

– Kobieto! Ty jesteś walnięta! – przeraża się Doris.

– Ale zobacz, jak się fajnie układa. W podróż poślubną lecimy do Egiptu.

– Rzeczywiście. Idealnie.

– Kamerę masz?

– Mam.

– To i film nakręcisz z mojego ślubu. Zaraz wybierzemy podkład muzyczny. Spędzamy dłuższą chwilę na wyborze piosenek i stwierdzamy, że trzeba lecieć do tej knajpy.

– Masz przynajmniej na dwa piwa? – pyta Doris.

– A to mój naręczony nie będzie za nas płacił?

– Na wszelki wypadek, gdyby nie zapłacił, musimy mieć na dwa piwa. Masz?

– Doris, zapamiętaj sobie: nieważne, w jakiej dupie finansowej jestem, zawsze mam odłożoną kasę na dwa piwa.

– To lecimy.

Biegniemy w deszczu do knajpy i szybko zamawiamy dwa piwa. Czekamy na koleżankę Doris i wybranka mojego serca. Modlę się, żeby zdążył przybyć, zanim trzeba będzie uregulować rachunek.

– Ale jak ty się z nim dogadasz? Przecież ty nie znasz angielskiego – odkrywa Amerykę Doris.

– Jak to nie znam? *My name it's Beti. Whisky z colą, please.*

– Uspokoiłś mnie.

Dobra, idą. Pakistańczyk ma dosyć sympatyczną twarz, ale strasznie śmierdzi.

– *It's me* – zaczynam. – *Your wife*.

Całuje mnie w rękę. Romantyzm sięga zenitu.

– Doris, ty się go zapytaj, ile on ma żon.

Pyta.

– Dwie. Jedną w Pakistanie, drugą w Stanach.

– Dzieci?

– Dwoje w Pakistanie, jedno w Stanach.

– Cholera, płodny. Ty mu powiedz, że żadnego seksu.

– Oj, sama mu powiedz!

– *Don't sex, not sex, never ever!* – tłumaczę narzeczonemu.

Ten się śmieje i zaczyna coś mówić do Doris.

– Co on mówi?

– Że jest problem, bo ty angielskiego nie znasz.

– *Że co? What? I don't speak English? No, no. What the fuck?* – postanawiam dać popis swoich umiejętności lingwistycznych. Nachylam się ku narzeczonemu, patrzę mu głęboko w oczy i mówię: – *I love you, I miss you, I need you...*

Doris sika ze śmiechu.

– Dobrze mi idzie? – upewniam się.

– Dawaj dalej.

– Jak mu to powiedzieć, że jestem w czarnej dupie finansowej?

– Może na migi?

– *Honey, I need your money* – tłumaczę mu. – *Merry me, please*. Co on mówi, Doris?

– Pyta, na co ci te pieniądze.

– A co go to obchodzi?

– On mówi, że siedem tysięcy da ci przed ślubem, a resztę po.

– Nie – negocjuję twardo. – Potrzebuję dziesięć teraz.

– On mówi, że dwa tysiące może ci dać nawet dziś.

– Powiedz mu, że za dwa tysiące to ja nawet z domu nie wychodzę, a co mówić za męża. Powiedz mu, że taka żona jak ja to skarb. Ja jestem warta tych dwudziestu tysięcy, do cholery!

– Powiedziałaś mu, że chcemy dwadzieścia pięć, bo jeszcze moja prowizja.

– Ha, ha, ha. I co on?

– Nic, opowiada właśnie historię swojego życia.

– A w dupie mam historię jego życia!

– Beti, my się chyba z nim nie dogadamy...

– A co on teraz mówi?

– Że ma tylko siedem tysięcy, a reszta będzie, jak pojedzie po ślubie do Pakistanu i sprzeda tam ziemię.

– Nie, Doris, to bez sensu – poddaję się.

– A miało być tak pięknie...

Silę się raz jeszcze na konwersację z lubym.

– *You not have money, I don't sex, don't marriage. Nothing!*

Wzrusza ramionami.

– Weź mu jeszcze powiedz, niech rachunek zapłaci – proszę Doris.

Ale ten jest szybszy. Wyciąga pięćdziesiąt złotych i płaci.

Wracamy do domu.

– Doris, powiedz mi tak szczerze, dlaczego to ja miałam za niego wyjść, a nie ty?

– Bo ty masz większe jaja niż ja. A poza tym we wrześnie mam sprawę o opiekę nad dzieckiem. Weź ty sobie wyobraź, że na rozprawę stawia się nie Doris Nowak, ale Doris Muhamed Ali Bin Laden Nowak. Komu przydzielą wtedy Jasia?

– No rzeczywiście – zgadzam się z nią.

Doris odprowadza mnie do mieszkania i zbiera się do wyjścia.

– A ty dokąd? – pytam zdziwiona. – To nocy poślubnej nie będzie?

– Idź spać, wariatko!

Zasypiam w niezmienionym stanie cywilnym i finansowym. Człowiek robi, co może, a dupa z tego jest. Ach...

\*\*\*

Mario przyjeżdża do mnie rano.

– Co tam, księżniczko? – pyta, rozplywając się w uśmiechach od progu.

Leżę na łóżku i skręcam się ze śmiechu.

– Oszalałaś już, jak widzę, zupełnie?

– Oj, Mario, bo nie uwierzysz.

– Zaufaj mi, że jeśli chodzi o ciebie, to jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

– Wczoraj omal się nie zaręczyłam.

– Co, kurwa? – Uśmiech Maria znika w szybkim tempie.

– No tak. Facet chciał dać dwadzieścia tysięcy za ślub ze mną. Pakistańczyk.

– Beti... – Mario siada na krześle i ukrywa twarz w dłoniach. – Ciebie nie można spuścić z oka na sekundę. Rozstaję się z tobą w południe, wracam rano, a tobie jedna noc wystarczy, by zmienić stan cywilny.

– Ale nie zmieniałam – uspokajam go. – Kładź się tu obok mnie. Masz prawo pierwszej nocy.

Mario pada na łóżko i obejmuje mnie władczo.

– Czy twoje życie musi tak stać na głowie? – szepce w moje włosy. – W dzień organizujesz noc poślubną, zamiast pana młodego jestem ja, a w podróż poślubną za to jedziesz z sąsiadką. A swoją drogą, co to jest „prawo pierwszej



nocy”?

– W średniowieczu jak rycerz brał pannę za żonę, to król miał prawo rozdziewiczyć ją jako pierwszy.

– A ten król to niby ja?

– Tak, a ja to ta dziewczica. A jeszcze ci nie powiedziałam, że na razie wybieram się w podróż przedślubną do Zamościa. Z sąsiadką.

– Ale słuchaj, ty aż tak potrzebujesz kasy? Naprawdę wyszłabyś za mąż dla tej forsy?

– Nie gadajmy o tym, Mario. Lepiej mnie przytul.

## *Podróż przedślubna*

Wstaję i zbieram się do kupy, żeby iść do banku.

– Dajcie mi kredyt, ludzie! – zamierzam krzyknąć. – Albo wyjdę za Pakistańczyka...

Miły pan informuje mnie, że kredyty są, generalnie tak, ale nie dziś i nie dla mnie. Musiałabym donieść stos dokumentów, które uwierzytelniłyby moją osobę w ich oczach, a takowych nie posiadam. Miła pani w innym banku informuje mnie, że też jest samotną matką i że mnie rozumie, ale ma związane ręce, bo zalegam dwa złote na karcie kredytowej. Chyba że dostarczę jej księgę przychodów i rozchodów. A Książki Odchodów przypadkiem nie potrzeba? – mam ochotę zapytać. Tłumaczę, że dokumentów nie posiadam, bo moja księgowia nie odbiera telefonu. Tak, Rutkowski już jej szuka, ale to może trochę potrwać, a ja kasy potrzebuję na już.

Wracam do domu, kładę się na łóżku i zagłębiam się w rozmyślaniach. Skąd mam wziąć dziesięć tysięcy? Tylko taka kwota uratowałaby mnie przed bankrutem. Boże... Przewracam się z boku na bok i już prawie zasypiam. Telefon burzy tę idylliczną chwilę.

– Mama?

– Dziecko! Czemu ty w ogóle nie dzwonisz? – krzyczy mi do ucha.

Podciągam kołdrę pod brodę i mówię spokojnie:

– Zaganiana jestem. Już nie wiem, w co mam ręce włożyć.

Przewracam się na drugi bok.

– Dziecko! – zaczyna, jakby nie wiem co się stało.

– Co się stało?

– Mam kłopoty.

– Jakie?

– Mam nóż na gardle, pętlę na szyi – panikuje.

– Mamo, co się dzieje? – rozbudzam się totalnie.

– Windykacja mnie ściga. Nóż na gardle, pętla na szyi...

– To dwóch tych windykatorów jest? Jeden z nożem, drugi z pętlą?

– Potrzebuję stu złotych na gwałt! – wybucha.

– Oj, na głupoty to ja nie daję!

– Mówię serio. Twój brat nie zapłacił raty za laptopa i wyjechał do Anglii.

Jak ja zaraz tego nie zapłacę, to przez pięć lat nie będę mogła nic na raty brać.

– Mamo, ja przecież dziś przyjeżdżam z Doris do ciebie. Wyjeżdżamy o siedemnastej. Dam ci tę stówę. Już uspokój się.

Rozłączam się i dostaję ataku śmiechu. Ja tu szukam dziesięciu tysięcy, a ta

bije na alarm z powodu stowy. A dam jej, stowa w tę czy inną stronę nie zmieni mojej sytuacji. A skoro może uratować czyjeś życie...

\*\*\*

Ubieram się i jadę pod pracę Doris.

– Beti, ale ja nie mam żadnej kasy – zaczyna. – Jak ja do tego Zamościa pojedę?

– Ludzie! Wszyscy już powariowali? – Wyciągam portfel. – Proszę, masz tu trzysta złotych, tankuj tego swojego citroena i jedziemy, bo tam moją mamę trzeba ratować.

– A jej co?

– Ma nóż na gardle, pętlę na szyi. Stowa ją uratuje. I w tym celu jedziemy.

– To nie mogłaś jej przelewu zrobić? – dziwi się Doris.

– Nie, bo komornik zajął mi konto.

– Zapomniałam.

– Doris, mnie już wszystko jedno. Zatankowałam za ostatnie pieniądze, a resztę oddam mamie. Następnie zdejmę jej tę pętlę z szyi i zarzucę sobie.

– Słuchaj! – podnieca się Doris. – Ja mam pomysł. Może twoja mama wyszłaby za tego Pakistańczyka? On ma na dziś trzy tysiące, a to dla niej pewnie tyle co dla nas dwadzieścia pięć.

– Doris, tam by było pewnie wiele chętnych w tym Zamościu. Jeszcze prócz mamy mam dwie ciotki. Pobieramy od nich po pięćset złotych za załatwienie tego interesu i spadamy, mając tysiąc pięćset w portfelu. A za to do Egiptu...

– Jak pobieramy od nich po pięćset, skoro one kasy nie mają? – zastanawia się Doris.

– To niech kredyt wezmą.

Przejeżdżamy przez Kurów.

– Co to za dziwna miejscowość? – pyta Doris, czytając banery na każdym domu. – „Produkcja kozuchów”, „Wyrób i sprzedaż kozuchów”, „Kozuchy z włoskich skór”, „Kozuchy. Hurt i detal”.

– A tu baner „Zakład pogrzebowy” – dodaję. – Gdyby ktoś już miał dosyć kozuchów.

– A tu „Policja”.

– Tak, na wypadek gdyby ktoś ukradł kozuch.

– Ale tu ludzie muszą prosto żyć – zastanawia się Doris. – Nie mają żadnych dylematów, co tu robić w przyszłości. Rodzi się człowiek w takim Kurowie i już wie, że będzie robił kozuchy.

– Genialne to jest w swej prostocie.

– Ty, a jakiś grill tam dziś będzie? – pyta Doris, bo grillowe opowieści z Zamościa dotarły aż do niej i chciałyby uczestniczyć w tej egzotycznej imprezie.

Telefon. Ciotka Bo.

– Jedziecie?

– Jedziemy.

– Ty, to kup flaszkę po drodze.

Wybucham śmiechem.

– Doris, już mogę odpowiedzieć na twoje pytanie. Grill jest.

\*\*\*

Zatrzymujemy się pod sklepem w Izbicy. Prowadzi go mój były chłopak, z którym spotykałam się w klasie maturalnej. Informuję o tym Doris.

– Co podać? – pyta moja była wielka miłość, patrząc na mnie bez emocji.

– Nie pamiętasz mnie? – zaczynam.

– Nie.

– To ja. – Rozkładam ramiona i okręcam się wokół własnej osi.

– Aha. Ale kto?

Doris trzęsie się ze śmiechu.

– Doris, to jest żenujące, wiem, ale spróbuję jeszcze raz.

– To ja, Beti. Byliśmy ze sobą piętnaście lat temu. Jak do mnie jeździłeś, to tankowałeś na stacji benzynowej koło mojego domu i tam poznałeś swoją przyszłą żonę.

– A, to ty! – załapuje w końcu. – Co słychać?

– Nic. Podaj nam tu wódkę i dziesięć piw.

– Pięćdziesiąt osiem złotych.

Kurczę, mam tylko pięćdziesiąt.

– Doris, czy ty masz choć osiem złotych?

– Dobra, dam ci zniżkę – wykazuje się gestem mój były.

Wybiegamy ze sklepu zadowolone z dobrze ubitego interesu.

– Ty, on musiał być w tobie mocno zakochany – nabija się Doris. – Ale co za gęba!

– Musiało dużo alkoholu upłynąć w jego żyłach od naszego ostatniego spotkania.

– Dobrze, że ty stąd wyjechałaś – sili się na refleksję moja koleżanka. – Długo się nad tym zastanawiałaś?

– Od kiedy się urodziłam.

\*\*\*

Zajeżdżamy na podwórko. Grill jest u wujka Cebuli. Mela biegnie w podskokach z bukietem kwiatów.

– Mamuś! Jesteś! – Rzuca mi się na szyję.

– Meluniu!

– Kładź ją spać, bo ona już śpiąca – rzuca moja mama.  
– Macie tę flaszkę? – rzuca ciotka Bo.  
– Też za tobą tęskniłam – rzucam ja.  
– A tę brykę to pożyczycie od kogoś? – rzuca wujek Cebula.  
– Nie, to nasza – odpowiadam z dumą, głaszcząc Citroena C5 należącego do Doris.  
Doris. – Mamo, spotkałam Marcina – zmieniam temat. – U niego w sklepie. Nie poznał mnie, wyobraź sobie.  
– A co tam kupowałaś?  
– No, zero siedem i dziesięć piw.  
– I nawet po tym cię nie poznał? – dziwi się mama.  
Kładę dziecko spać i wracam na grill. Siadamy z Doris obok siebie i wytrzymujemy pełne oczekiwań spojrzenia wszystkich.  
– No i co tam słyhać?  
– Beti wychodzi za męża – wypala Doris.  
Wujek Cebula podrywa się z ławki.  
– Co ty gadasz? Za kogo?  
– Za mnie.  
– A długo się znacie?  
– Nie, w czwartek się poznałyśmy. W klubie gejowskim. No i tak zabalowałyśmy, że w sumie od razu stamtąd tu przyjechałyśmy.  
– Nie – prostuję. – Wychodzę za męża za Pakistańczyka. W środę go poznałam, uprzedzę kolejne pytanie.  
Moja mama blednie.  
– Oj, przestań już takie głupoty opowiadać. – Mierzy mnie zabójczym wzrokiem. – Za Pakistańczyka?  
– Mamo, ja nie sądziłam, że ty jesteś taką rasistką! Jednego zięcia już masz Chińczyka, więc powinnaś być już bardziej otwarta. Rozczarowujesz mnie. Poza tym on chce mi dać dwadzieścia tysięcy, taki posag, ha, ha.  
Siedzimy z Doris i targają nami śmiechowe konwulsje. Wszyscy patrzą na nas jak na kosmitki. Otwieramy swoje piwa.  
– Tu się pije wódkę – oznajmia groźnie wujek Cebula.  
– To długo się moim towarzystwem nie nacieszycie – oznajmia Doris.  
– Alkohol jest jak lek, wzmacnia żyły, czyści krew...  
– Człowiek czuje się jak lew – kończę za wujka jego słynną sentencję. – Doris, ty wiesz, że wujek Cebula to słynny wróżbita?  
– To niech mi wujek wróży – napala się Doris.  
– Nie, ja wróżę tylko w czwartki, a poza tym w dwa tysiące dwunastym roku w ogóle nie wróżę.  
– Oj, wujku, niech się wujek nie da prosić.  
– Dobra, polejcie jeszcze i dajcie karty.

Wyciąga pierwszą kartę. Patrzy przerażony na Doris i składa talię.

– Co się stało?

– Koniec wróżenia.

– Jak to?

– Najgorsza karta wyszła. Tu nic nie ma. Wokół ciebie nic nie ma. Pustka.

Doris nie wierzy.

– Nie wierzę. Niech wujek jeszcze raz rozkłada te karty. Beti, polej mu!

– Dobra, jeszcze raz spróbujemy.

Rozkłada. Patrzy w te karty i jęczy:

– Nie... Co za pierdolnik! Jak tak można żyć?

– Ale widać jakieś pieniądze? – pyta z nadzieją Doris.

– Pieniądze? Tak.

– Gdzie?

– Pieniądze były, ale już ich nie ma.

– Dobra, wujek, mnie powróż – mówię.

Wyciąga jedną kartę.

– No i?

– Sukces!

– Jak to?

– No, sukces. Najlepsza karta. Sukces i pieniądze!

– Nie martw się, Doris, nie zapomnę o tobie – pocieszam koleżankę. – Ale rozłóż, wujek, te karty szerzej. Jakies szczegóły chcę znać.

Rozkłada.

– No i co tam widzisz?

– Pierdolnik też, ale tobie to odpowiada.

Moja mama odchodzi od stołu zde gustowana ilością pitego alkoholu i ilością głupot, jakie przy tym gadamy, i idzie spać. My postanawiamy iść jeszcze na stację benzynową po dalsze zakupy. Problem w tym, że najbliższa stacja jest cztery kilometry stąd. Ciotka Bo idzie do domu po sweter, ale na drodze stają jej krzaki i w nich już zostaje. Duch jeszcze rwał się na stację, ale ciało leżało już bezwładne. Więc nie poszliśmy nigdzie. Siedziałyśmy za to do rana z wujkiem Cebulą, który wraz z upływem czasu i działania w tym czasie promili miał dla nas coraz optymistyczniejsze wróżby. Doris, na przykład, już za osiem lat wyjdzie za mąż, i to bogato. Do tego czasu ja ją będę utrzymywała. Wracamy do domu niemal zadowolone z czekającej na nas świetlanej przyszłości.

\*\*\*

– Oj, dziewczyny, dziewczyny. – Mama kręci głową, kiedy pojawiają się wymęczone na śniadaniu.

Nie mamy sił, by cokolwiek jej na to odpowiedzieć. Zresztą, zbieramy się do

wyjścia na miasto. Samochodem nie pojedziemy, bo mój kierowca, Doris, jest jeszcze pod wpływem, a drugi kierowca, wujek Cebula, oczywiście wcale nie czuje się jak lew.

– Kupcie mleko – wydaje nam rozporządzenie mama.

Bierzemy Melę i jedziemy autobusem. Zamość jest piękny, zwłaszcza w strugach deszczu. Zjadamy pizzę na starówce i wracamy. Doris w nagłym przypływie świadomości przypomina sobie, że ma na karcie dwadzieścia cztery złote i postanawia zainwestować je w napoje na wieczór.

Rzeško idzie przez podwórko, taszcząc dziesięć piw, i krzyczy na widok Krysi:

– Mamo, mam, zrobiłam zakupy!

– A mleko kupiłyście?

– Nie....

– Oj, dziewczyny, dziewczyny... – Mama załamuje ręce. I przy okazji zabija mnie wzrokiem.

– Ty, dlaczego ona cię tak nie lubi? – pyta Doris po cichu.

– Nie mam pojęcia.

Siedzimy w pokoju, Mela rysuje.

– Rysuję teraz ciocię Doris w sukni ślubnej – mówi.

– To dopiero za siedem czy osiem lat, nie spiesz się tak, dziecko – hamuję ją w tych zapędach.

– Dawaj, dawaj, Melu – kibicuje jej Doris.

Mela rysuje jej tak długi warkocz, że akurat z siedem lat może trwać, zanim rzeczywiście taki urośnie.

Z nudów zaczynamy grzebać w szafie mamy. Chyba segregację robiła, lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte i tak dalej. Postanawiamy przymierzyć co zabawniejsze rzeczy. W efekcie Doris ma na sobie czerwoną bluzkę od pizamy, na to ze dwie podomki, żakiet i kapelusz na głowie, a ja mniej więcej to samo, tylko zamiast kapelusza mam fikuśny turban z apaszki. Melę ubieram w błękitną suknię i błękitny kapelusz. Schodzimy tak na dół. Jak gdyby nigdy nic. Mama, jej narzeczony i ciotka Bo osłupieli.

– Idziemy po piwo – mówimy zwyczajnie. – Chcecie też?

– Ciotka, możemy jechać twoim skuterem? – dodają.

Pierwsza odzyskuje głos mama.

– No, ciekawe, czy wy to tak samo potem poukładacie, jak było?

Wybuchamy śmiechem.

– Chronologicznie, tak – odpowiadamy i uciekamy na górę.

– Doris, ja się poddam – mówię. – Jej się nie da rozśmieszyć.

– Nie, my się nie poddamy tak łatwo. Idziemy.

Schodzimy już ubrane normalnie.

– To co, robimy jakąś imprezę? – pytamy.  
– A niby z jakiej okazji? – dziwi się mama.  
– No, to nie ma nikt dziś urodzin?  
– Nie.  
– A kto ma najbliższej urodziny?  
– Ja niby się urodziłam w lipcu – mówi mama. – Tyko dziadek jak mnie rejestrował, to zapomniał którego lipca i podał dla pewności dwudziesty ósmy września.

Doris myśli chwilę.

– Dziś dwudziesty drugi lipca. Może być?

I zaczynamy:

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...

– Kto w lipcu urodzony jest, ma wstać, ma wstać, ma wstać – intonuję. – Kieliszek swój do ręki wziąć i wypić aż do dna.

– Biedroneczki są w kropeczki i to chwalą sobie... – zaczyna Mela.

– Już kończcie te moje urodziny – ucina zabawę mama.

– Dobra, czyje teraz? Kto następny? – pyta Doris.

– Ja, bo to już we wrześniu – mówię.

– OK, to o dwudziestej pierwszej trzydzieści zaczynamy. Teraz pięciominutowa przerwa na papierosa.

– To szybciotko, bo kwadrans przed dwudziestą drugą zaczynamy sylwestra, a jeszcze trzeba się przebrać w balowe kreacje.

– Sylwester! Sylwester! – cieszy się Mela.

Śpiewamy „Sto lat” dla mnie i lecę się przebrać. Wyciągam z szafy zieloną balową suknię, a dla Doris bordową. Przebieramy się i włączam radio. Trzeba zapodać muzykę. Kurde, akurat lecą wiadomości.

– Puściłaś moją ulubioną nutę – mówi Doris. – Nogi aż same rwą się do tańca.

– Kto to śpiewa, nie wiesz?

– Chyba Tina albo Eros...

– Wy jesteście nienormalne – wzdycha mama i wyłącza radio. – Głowa mnie boli.

– Babciu, włącz – prosi Mela. – Przecież jest sylwester, ja chcę tańczyć.

Niestety, babcia jest twarda i Mela musi iść spać. Ja i Doris postanawiamy jeszcze poczekać do północy, żeby złożyć sobie noworoczne życzenia.

\*\*\*

Rano czuję, że chyba mam zawał. Coś mnie strasznie boli w klatce piersiowej. Po chwili przechodzi. Idę do Doris zobaczyć, czy żyje.

– Wiesz, że nasze biuro podróży przetrzymuje ludzi w Egipcie? – mówi



z grobową miną. – W Internecie wyczytałam.

– O ludzie, i jak my tam polecimy? Doris, ja już dziś miałam chyba zawał. I teraz znów mnie serce boli.

– Czekaj, zaraz sprawdzę w necie, co to może być. Wpisuje w wyszukiwarkę: „Ból w klatce piersiowej”.

Zaglądam jej przez ramię i czytam: „Unikać stresów”. Drzwi się otwierają i wchodzi mama.

– Kto wypalił moje fajki? – pyta.

– Oj, wyjdź stąd natychmiast! – krzyczę. – Ja mam unikać stresów! Już dwa zawały dziś miałam, trzeciego nie przeżyję.

– To pewnie z przepicia!

– Jakby od alkoholu były zawały, tobym je miała trzy razy w tygodniu.

– No i wydało się! – mówi mama z satysfakcją.

– I tu mnie masz... – poddaję się. – Mamo, my mamy teraz poważniejsze problemy. Nasze biuro podróży bankrutuje, a my za trzy dni mamy lecieć do Egiptu.

– A w ogóle po co wy tam leciecie?

– Wziąć ślub – mówi Doris. – W Polsce nie chcą nam dać, ale ponoć w Egipcie można.

– Zwłaszcza że ja jestem w ciąży – dodaję. – I musimy to zalegalizować przed rozwiązaniem.

– Nie, wy mnie do zawału doprowadzicie – jęczy mama, łapiąc się jednak za głowę zamiast za serce.

Schodzimy na dół. Otwieram lodówkę i nagle widzę jeszcze jedno piwo. Że też wczoraj go nie znalazłyśmy.

– Doris, zobacz!

– No nie!

Mama widzi, co się dzieje.

– Co? Wczoraj się tego piwa nie zauważyło?

– Bo jak go szukałam, to byłam w takim stanie, że usnęłam z głową na górnej półce lodówki.

Doris pada.

– Która to godzina? – pytam.

– No nie! Ona nawet nie wie, która jest godzina! – drze się mama. – Dziecko, to już jest jakiś koniec!

– Wiem, wiem, przecież widzę, że dziesiąta – uspokajam ją. – Tylko nie wiem, czy rano, czy wieczorem. I czy jest niedziela, czy poniedziałek.

– Ty się nawet przy śniadaniu nie umiesz zachować! – lamentuje mama.

– Jak to nie umiem? Dobra, dawaj te srebra! Które sztucce są do korniszonów, przepraszam?

– Dziecko, kiedy ty zmądrzejesz? – zaczyna. – Niby taka wykształcona...

– Co ty to z kartki jakiejś czytasz? – wybucham. – Orędzie dla córki marnotrawnej na niedzielę? Mamo, stałoby się coś, gdybyś choć raz się roześmiała? Zmarszczek się boisz?

– Roześmiała? Nie! Raz, że te zmarszczki, a dwa, że nie ma z czego! Tu płakać trzeba...

– To płacz. A my się zbieramy z Doris. Pa, mamo! Pa, Melu!

– Mamo, dziś ja urządzam tu sylwestra – mówi małolata.

– Ty już babci nie stresuj. Poza tym dziś Nowy Rok. A, babciu, miałam ci stówę dać. Przecież w tym celu ja tu tylko zajechałam.

W samochodzie umieramy ze śmiechu.

– Dlaczego twoja mama taka jest?

– Taka jest. Boi się, że jak się roześmieje z jakiegoś mojego dowcipu, to pociągnie to za sobą lawinę zdarzeń. Budowała swój wizerunek przez lata i trzyma się go kurczowo. To jedyne, co ma.

– Boże, jakie to smutne.

Nagle nasz wzrok przyciąga stojąca na przystanku w Lublinie dziewczyna.

– Ty, zobacz, jak ona się ubrała – komentuje Doris. – Takie grube nogi, rajstopy kabaretki, a na to krótkie džinsowe spodenki. Ciekawe, co ona sobie myślała, jak to wkładała? Pewnie tak: „Jak te czarne rajstopy wyszczuplają mi nogi. A te spodenki podkreślają kształt mojego tyłka. Ja to się potrafię jednak ubrać! Powinnam zostać jakąś stylistką mody... A właściwie dlaczego ja nią nie zostałam?”.

– Bo pewnie jest z Kurowa – dopowiadam. – Babka szyła kozuchy, matka szyła kozuchy, to i ona szyje.

– Beti, ja cię ostrzegam, ja ze śmiechu jakiś wypadek spowoduję.

Mimo wszystko udaje nam się dojechać do Warszawy cało. Siadam na balkonie z fajeczką.

– Dwieście pięćdziesiąt kilometrów – wzdycham. – To jest bezpieczna odległość od mojej mamy...

Ale, ale... może ja i Doris nie jesteśmy wcale zabawne tylko wkurzające? I rzeczywiście trzeba tu tylko płakać. Duszę tę myśl w zarodku i idę spać.

## *Finanse i bankowość*

Budzi mnie SMS z banku. Karta kredytowa do zapłaty. Po chwili: „Z przykrością stwierdzamy, że faktura z dnia... nie została uregulowana...”. Za minutę domofon. Listonosz przyniósł kolejne ponaglenie z ZUS-u. Ja się zabiję! I czy komuś to będzie przeszkadzało? Mela jest pod dobrą opieką babci Krysi, naprawdę nic jej się beze mnie nie stanie.

Telefon. Mario?

– Mów, co u ciebie, księżniczko – zaczyna.

– Uwierz mi, nie chcesz tego wiedzieć – wzdycham ciężko.

– Finanse?

– I bankowość – dodaję.

– Słuchaj, ty weź swój tyłek podnieś w końcu z łóżka i przyjedź zaraz do mnie do sklepu.

– A skąd ty wiesz, że ja jeszcze w łóżku?

– Przecież słyszę, jak się przewracasz z boku na bok.

– Bo nie mam siły wstać. To wszystko mnie przygnębia.

– No już, tylko nie płacz.

– Skąd ty wiesz, że płaczę? – Szybko ocieram łzy.

– Beti, nie jesteś sama z tym wszystkim. Ja jestem.

– Jesteś?

– Wiem, że nie jestem tak całkiem twój, jak byś chciała, ale na to już nic nie można poradzić. Natomiast twoje finanse można jakoś ratować. Spisz wszystko na kartce. Chcę cały twój finansowy rozkład jazdy, czarno na białym.

– Mario...

– No co?

– Nic już. Bo się zaraz przejęzyczę i powiem co nie trzeba.

– Że mnie kochasz?

– No.

\*\*\*

Jadę. Mario stoi za ladą dumny jak król na swoich włościach.

– Jestem – oznajmiam.

– Pięknie wyglądasz. – Uśmiecha się na mój widok.

– Widać z długami mi do twarzy.

– Siadaj i mów.

– Ja już nie mam siły o tym gadać. Mogę ci dać tylko kartkę.

– Osiem tysięcy dziewięćset? – nie może uwierzyć.

- I to tylko te najpilniejsze sprawy.
- Dobra, Beti, plan mam taki. Może uda mi się sprzedać swój drugi samochód. Porobię ci te przelewy. Kasa będzie mi potrzebna dopiero za jakiś czas. Do tej pory ty załatwisz ten kredyt. Może ta twoja księgowka wreszcie się odnajdzie? Tymczasem jedź spokojnie na te wakacje.
- Dziękuję – mówię cicho, bo strasznie mi wstyd. – I przepraszam.
- No i to jest odpowiednie słowo. Ty już nic innego do mnie nie mów, tylko „przepraszam”. Od tej pory zamiast „cześć” mam słyszeć „przepraszam”. Rozumiesz? Bo od kiedy cię poznałem, to mam same kłopoty.
- Żałujesz, że mnie poznałeś? – zamieram.
- Nie wiem. Nie. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby cię nie być. Tylko że mnie też nie jest łatwo. Mój sklep nie prosperuje zbyt dobrze, mam dziewczynę w ciąży i jeszcze ciebie, i twoje problemy na głowie.
- Przepraszam. – Przytulam się do niego.
- Oj, Beti, Beti... Obiecuj mi, że się ogarniesz. Pomyśl sobie, że to jest dno, od którego się odbijesz.

\*\*\*

Wstaję dziś o trzeciej w nocy i wychodzę z domu. Muszę paszport odebrać z... Zamościa. I tak mi go wyrobili ekspresowo w dwa tygodnie. Busa mam o piątej czterdzieści. Plan jest taki: o dziesiątej jestem w Zamościu, tam wyjeżdża po mnie siostra z Kimem, wiozą mnie do biura paszportowego, potem wiozą mnie do mamy na obiad, przy okazji odwiedzam swoje dziecko i o piętnastej wsiadam w busa do Warszawy. O dwudziestej jestem w domu, pakuję się i o drugiej w nocy jedziemy z Doris na lotnisko, bo lecimy do Egiptu. W międzyczasie muszę jeszcze kupić dolary, iść na pocztę i się spakować. Nie no, załatwię wszystko, dam radę... Szkoda tylko, że kredytu nie zdążę załatwić przed wyjazdem. Cholera, gdzie podziewa się moja księgowka? Potrzebuję księgi przychodów i rozchodów, żeby się uwierzytelnić w oczach banku. Tak jakby mój profesjonalny w każdym calu wygląd im nie wystarczył...

Znowu przejeżdżam przez Kurów. Piszę do Doris: „A ja w Kurowie, moja droga. Bez zmian tu”.

„Tam, gdzie były kozuchy, tam są kozuchy?” – pyta Doris.

„Tak, pewne rzeczy są stałe na świecie i to jest akurat pocieszające”.

Delektuję się tylko chwilę tym błogim faktem, bo dzwoni Doris.

– Zmienili nam godzinę lotu na piętnastą trzydzieści – oznajmia.

– Ale chyba nie na dzisiaj? – przerażam się. – Nie dość, że nie mam jeszcze paszportu, to jestem w drodze do Zamościa.

– Nie, na jutro – uspokaja mnie. – Nie lecimy nad ranem, tylko po południu.

– A w ogóle co z tym biurem podróży? Nie bankrutuje? – pytam, bo ostatnio

zbankrutowały już trzy. Wszystkie organizowały wczasy w Egipcie.

– Wiesz co, no zadzwoniłabym tam i zapytała, ale co mi mogą powiedzieć? Ostatnie biuro na dziesięć minut przed ogłoszeniem upadłości jeszcze sprzedawało wycieczki.

– A jak tam polecimy i oni upadną? Co wtedy? Będziemy na lotnisku koczowały?

– Może wszystko będzie dobrze. Kto nie ryzykuje, szampana nie pije.

– Obyśmy nie musiały go pić na lotnisku, siedząc na walizkach.

– Ty lepiej powiedz, czy dowód wzięłaś – zmienia temat Doris. – Bo ci paszportu nie wydadzą, a nie masz już czasu, żeby jeszcze raz obrócić do Warszawy i z powrotem.

– Wszystko mam pod kontrolą, Doris.

\*\*\*

Na dworcu odbiera mnie siostra z mężem. Jak zwykle zakochani i roześmiani, co uważam za nienormalne po sześciu latach bycia razem. Chyba że tylko udają, żeby mnie zdołować. Odbieram paszport, kupuję dolary – wszystko idzie jak po maśle. Tylko na pocztę zapomniałam iść, a miałam wysłać kosmetyczkę do klientki. Pakuję więc paszport do tejże kosmetyczki, żeby mi się nie zgubił, i jedziemy do mamy.

– Ty źle wyglądasz w tej sukience – wita mnie mama. – Co ty, nie masz stanika na sobie?

– Mam – odpowiadam spokojnie.

– A wygląda, jakbyś nie miała – upiera się.

– Dobra, nie mam – idę jej na ustępstwo.

– I kiedy ty wreszcie zrobisz coś z włosami?

Biorę głęboki wdech i zaczynam liczyć w myślach do dziesięciu.

– Mamusiu, znowu mnie odwiedziłaś? – dziwi się Mela.

– Ale tylko na chwilę. Jutro lecę do Egiptu.

– Dobrze, leć, pod warunkiem że będziemy się spotykały – zgadza się łaskawie Mela.

– Raczej nie, bo dojazdy by mnie wykończyły. Ale za tydzień wrócę.

– A tam dzieci nie mogą lecieć?

– Nie, bo tam jest za gorąco.

Już mi głupio, że jej nie biorę, bo przecież Doris bierze Jasia, ale zwyczajnie za drogo by było dla mnie. Pobawi się z dziećmi mojej siostry – z Nini i Dwidziusem. W końcu widzą się tylko raz w roku.

– List do ciebie. – Mama wręcza mi kopertę.

Nie! Komornicze zajęcie mojego drugiego konta. Mam palpacje serca. Padam na krzesło i nie mogę oddychać. Wszyscy się na mnie uwzięli.

– Jedziemy już na dworzec? – pytam siostrę.  
– Co się stało? – pyta Dominika.  
– *Where is the problem?* – pyta jej mąż. Wspominałam już, że on nie zna polskiego, a w dodatku jest Chińczykiem?  
– Komornik zajął mi konto – wzdycham.  
– Co? Tak od razu? Nie dzwonił wcześniej?  
– Nie, nie dzwonił. Ani w święta, ani w moje urodziny. Co za człowiek!  
Jedźmy już.  
– Już jedziesz? – dziwi się mama.  
– Tak.  
– Może włożyłabyś inną sukienkę? Naprawdę źle ci w tej.  
Raz, dwa, trzy, cztery... Wdech. Wydech.  
– I weź się uczesz jakoś inaczej.  
– Oj, weź ty się sama może uczesz! – wybucham w końcu. – Nie zauważyłaś, że trwała ondulacja nie jest już modna od dwudziestu lat?  
– Jaka ty nerwowa jesteś – zauważa mama. – To przez ten Egipt. Ja nie wiem, po co ty tam lecisz! Jeszcze tam cię nie było!

\*\*\*

Na dworcu godzinę czekam na busa. Wreszcie podjeżdżają dwa. Kim mówi (co mi tłumaczy na polski siostra), żebym leciała zapytać, który jedzie do Warszawy. Lecę. Niestety, żaden.

– I co? Nie chcą cię zabrać?  
– Nie, bo moja sukienka im się nie podoba.  
– To zdejmij – sugeruje Kim.  
– Nie mogę, bo przecież nie mam stanika.  
– A majtki masz?  
– Majtki? W taki upał? – śmieję się. Ale nagle poważnieję. Komornik mi się przypomina. – Słuchajcie, przy moich obecnych problemach to, czy mam majtki, czy nie, naprawdę nie jest taką istotną sprawą.  
– Nie martw się – mówią. – Pomyśl, że jutro już będziesz w Egipcie.

\*\*\*

Wieczorem docieram do domu. Odpalam komputer, a tam... mail od mojej księgowej!!! A w mailu... zeskanowana księga przychodów i rozchodów. A w niej... jak byk widnieje, że zarabiam krocie. Dzwonię do kobiety z banku, mimo że jest dwudziesta druga. Dobrze, że mam jej komórkę. Utrę jej nosa, a co! Książkę chce – proszę bardzo!

– Mam książkę! – krzyczę do słuchawki.  
– I co tam w tej książce?

– Miliony przychodów!  
– Dobra, super – podnieca się baba. – Ja wiem, że pani już jutro leci do Egiptu, więc zapraszam na ósmą rano po kredyt.  
Zbiegam w podskokach do Doris.  
– Słuchaj, ja wiem już, dlaczego przesunęli nam lot! – wykrzykuję cała w emocjach.  
– Dlaczego? – pyta Doris, dopinając właśnie swoje walizki.  
– Bo gdybyśmy leciały w nocy, to nie zdążyłabym kredytu wziąć – tłumaczę jej. – To jest Boski plan opieki nade mną.  
– Ty jesteś chora psychicznie. – Doris kręci głową. – I ja z tobą lecę? Chyba też mam coś z głową.  
– Kiedyś znajoma mi powiedziała, że całe moje życie to jak chodzenie po Himalajach bez lin zabezpieczających. Ale teraz wierzę, że ktoś z góry te liny trzyma.  
– Beti, ty się tak nie podniecaj, tylko idź spać, skoro rano masz do tego banku lecieć. No i spakuj się wreszcie.  
Leżę w łóżku i dostaję ataku śmiechu. Przypomina mi się stwierdzenie Doris o kozuchach, że tam, gdzie były, tam są. Genialne. Piszę do niej.  
„Ty naprawdę jesteś dowcipna”.  
Odpisuje: „Dowcipna jak dowcipna, ale jak ja na drutach potrafię pięknie robić”.  
„A zrobisz mi kostium kąpielowy do jutra?”  
„Mało tego, zrobię Ci piankę płetwonurka z kapelusikiem”.  
„A okulary przeciwsłoneczne?”  
„Wszystko Ci zrobię, tylko daj mi już spać.”  
\*\*\*

Punkt ósma jestem w banku. Baby nie ma. Dociera o ósmej piętnaście. Minus dla niej. Mierzymy się wzrokiem. Siedzę przed nią dumna jak paw ze swoich udokumentowanych zarobków. Czyta coś w tych swoich papierach.

– Książka w porządku – przemawia wreszcie.  
– Ale...?  
– Ale te dwa złote, które pani zalegała na tej karcie... – zawieszają głos.  
– Ale o tym już pani wiedziała tydzień temu – przypominam jej.  
– Przez tę zaległość nie dostanie pani kredytu – udaje, że nie słyszy. – Nie tylko w naszym banku. W żadnym banku, choćby pani chodziła od drzwi do drzwi.  
„Ty nieprofesjonalna kretynko!” – mam ochotę wrzasnąć. „Po jaką cholere ściągałaś mnie tu na ósmą rano? Znałaś moją historię kredytową! Znałaś moją książkę odchodów, bo wysłałam ci ją wczoraj na maila! O co ci chodzi, babo? Dlaczego mnie nie lubisz?”

Wychodzę obrażona. Nic nie rozumiem z tej całej sytuacji. Korzystając z okazji, idę nadać na pocztę tę kosmetyczkę, o której zapomniałam wczoraj. Przynajmniej to załatwię przed wylotem. Wysyłam polecony priorytet i idę na przystanek. Po drodze mijam jeszcze jeden bank. A, co mi tam, wchodzę. Kredyt dostaję od ręki. Alleluja!

\*\*\*

Zaczynam wreszcie pakowanie. Zestaw na tydzień? Siedem sukienek, siedem strojów kąpielowych i siedem par majtek. Gotowe! Domofon. Mario?

– Przecież ty miałaś dziś być w sklepie – dziwię się.

– A w dupie mam ten sklep. Nikt nie chce kupić wina przed południem, to zamknąłem ten przybytek. Zresztą, pewnie kanapki ci trzeba zrobić na podróż.

Wyjmuje z torby chleb i wędlinę.

– Kochany jesteś, wiesz?

– Nie, jestem draniem, który prowadzi podwójne życie i nie potrafi z tym skończyć.

– Co zrobić? – Rozkładam ręce. – Trafiły ci się naraz dwie kobiety, to radź sobie. Ale zobacz, mam niespodziankę.

Wyjmuję z portfela dziesięć tysięcy.

– Już nie musisz sprzedawać samochodu.

– Napadłaś na bank?

– Nie musiałam. Dali dobrowolnie.

– I co teraz?

– Teraz to ci to daję i masz popłacić wszystkie moje rachunki, bo ja już nie mam czasu.

– Dobra. – Bierze ode mnie kasę. – Ty musisz mi naprawdę ufać, Beti.

– Ufam.

– Pokaż mi ten swój paszport lepiej – zmienia temat.

– Paszport? – zamieram. – O cholera!

– Co jest?

– Paszport... – Wysyłam swoje szare komórki. – Paszport, mój drogi, to ja wysyłam dziś rano do swojej klientki.

– Jak to?

– Tak to. W kosmetyczce. Polecony priorytet. O Boże! Zawieź mnie na pocztę.

– Ale poczekaj... Może zadzwoń do Doris? Może u niej zostawiłaś?

Dzwonię.

– Jest może u ciebie mój paszport?

– Zwariowałaś?

– Dobra, muszę kończyć.



Jedziemy na pocztę w milczeniu. Wpadam tam z rozwianymi włosami.

– Czy poszły już paczki? – krzyczę w progu.

– Jakie? – pyta pani w okienku.

– Nadane rano.

– Poszły, dziesięć minut temu.

– Nie, to niemożliwe! Proszę zobaczyć. Tam jest mój paszport. A ja zaraz mam lecieć do Egiptu.

Babka zrywa się natychmiast i po chwili wraca z kopertą.

– Jest! Złapałam listonosza w ostatniej chwili.

– Dziękuję.

– Ale zaraz... Czy ma pani jakiś dokument, że pani to pani?

– Dokument jest w tej kopercie.

Rozrywam list.

– O, proszę! – Pokazuję swoje zdjęcie w paszporcie. – Oto ja.

Wybiegam z poczty.

– Masz? – pyta Mario.

– Mam.

– Beti, gdybym ja zadał ci to pytanie o paszport dziesięć minut później, to do dupy byś poleciała, wiesz o tym?

– Ale zadałeś w odpowiednim czasie – odpowiadam spokojnie.

– Nie. – Mario załamuje ręce. – Ja jestem dla ciebie jakąś opatrnością.

– A co ty myślałeś, że to tylko moje widzimi się, że mamy się spotykać?

Masz ważne funkcje do spełnienia w moim życiu.

– Jesteś największym pechowcem na świecie, Beti, ale w tym pechu masz jednak zajebiste szczęście.

– Cała ja!

– Tylko uważaj na siebie w tym Egipcie, dobrze? I z żadnymi Arabami się nie zadawaj. Jeśli pójdziesz z którymś do łóżka, to już nigdy się do ciebie nie odezwę.

– A skąd niby byś się o tym dowiedział?

– Nawet tak nie żartuj.

– Jak się tak martwisz, to leć ze mną i mnie pilnuj.

– Co? Upilnować ciebie? W życiu bym się tego nie podjął. To niemożliwe.

– Mario, ty jesteś w moim sercu i będziesz. A już na pewno przez najbliższy tydzień. Nic się nie martw.

– Ale jak poznasz tam swojego księcia, to się nie blokuj przeze mnie. Tylko nie Araba.

– Czyli z białymi mogę?

– Chodź tu, wariatko ty moja. – Przyciąga mnie do siebie. – Będę tęsknił.

– Pewnie nawet w połowie nie tak jak ja.

- A, zapomniałbym, wiesz, co to jest zemsta faraona?
- Co? Brzmi to groźnie.
- Biegunka, którą dostają obcokrajowcy po przyjeździe do Egiptu.
- No, teraz to już nie mogę się tych wczasów doczekać!

## *Beti w Afryce*

Siedzimy z Doris w samolocie i trzymamy się za ręce. To znaczy ona mnie trzyma, bo boi się latać.

– Czemu pilot nic nie mówi? – denerwuje się moja towarzyszka. – Zawsze mnie to uspokaja.

– Niech on lepiej trzyma stery zamiast urządzić pogaduchy – mówię. Jak na zawołanie odzywa się pilot.

– Drodzy państwo, lecimy właśnie nad Afryką – zaczyna.

Włosy mi stają dęba.

– Doris, ja przepraszam bardzo, ale co my robimy nad Afryką?

– Jak to co? Przecież Egipt jest w Afryce.

– Nie. – Kręcę głową. – To za daleko dla mnie. Ja wysiadam.

– Beti, nie rozśmieszaj mnie. A ty myślałaś, że Egipt jest gdzie?

– Kupiłam tę wycieczkę, owszem, ale do Egiptu w Europie.

– Uspokój się. Jak wrócimy, to pokażę ci globus. To taka kula oblepiona mapą. Wszystko ci się rozjaśni.

– Doris! – Teraz to ja ściskam jej rękę. – Ja nie chcę do Afryki!

– Już za późno na takie deklaracje, Beti.

– W Hurghadzie, drodzy państwo, jest teraz czterdzieści stopni – kontynuuje pilot. – Zaraz podchodzimy do lądowania.

\*

Wysiadamy z samolotu i bucha nam w twarz niesamowite gorąco, mimo że jest ciemna noc.

– Jesteśmy w piekle – stwierdzam.

Nie mogę oddychać.

Lotnisko standardem przypomina raczej stodołę wujka Cebuli. Jasio od razu krzyczy, że chce colę. Koszt małej puszczyki to cztery dolary. Trzeba jeszcze kupić wizę trzydziestodniową za piętnaście dolców. Tańszej, takiej na tydzień, nie mają. Szukamy kogoś z naszego biura podróży, żeby nas odebrał i zabrał stąd w jakieś bardziej cywilizowane miejsce, na przykład do naszego czterogwiazdkowego hotelu z basenem i klimatyzacją. Nie tylko my szukamy. Po lotnisku biega też jak kot z pęcherzem jakiś pan w czapce z daszkiem i z trójką dzieci. Znajduje się wreszcie nasza rezydentka. Wygląda jak z innej epoki. Pani po pięćdziesiątce, w długiej czarnej spódnicy, pełnych pantoflach i białej bluzce na guziki, zapiętej pod szyję. Normalnie guwernantka z dziewiętnastego wieku.

– Mam prośbę... – mówi słabym głosem i odchodzi w siną dal.

– To niech pani mówi, przecież ja tu jestem! – wykrzykuje za nią pan w czapce z daszkiem, nazwijmy go roboczo panem Andrzejem.

Guwernantka zbywa to jednak milczeniem.

– Moja prośba, moje sekrety, moje pragnienia – dodaję za nią. – Nie będę otwierała swojego wnętrza przed pierwszym lepszym turystą.

– To niech pani powie chociaż, jak pani ma na imię! – Pan Andrzej desperacko chce uzyskać jakąkolwiek informację.

– Zofia.

W końcu podjeżdża bus. Ładujemy się wszyscy do środka. Kierowca wychodzi i gdzieś znika. Ma wrócić za minutę, ale ponoć w Egipcie minuta to pół godziny, a pół godziny to cały dzień. No, inna strefa czasowa, co zrobić! Czekamy na niego spoceni jak myszy. Miarka się przebrała. Siadam za kierownicę i pytam:

– To kto gdzie chce jechać? Mówić mi tu.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Wraca jednak kierowca. Dobrze, bo przecież ja nie mam prawa jazdy. Siadam na miejsce. Jasio szeptem mówi:

– Ciociu, chciałem ci bardzo podziękować.

– Za co?

– Że chciałaś nas podrzucić do hotelu.

– Nie ma sprawy, Jasiu.

Jedziemy. Pan Andrzej pyta, czy dostanie kolację w hotelu.

– Kolacja jest do dwudziestej drugiej – informuje go lakonicznie Zofia.

– Ale jest już dwudziesta pierwsza trzydzieści!

– Bez obaw – uspokaja Zofia. – Zdaży pan się najeść.

– A jak się spóźnimy?

– Hotel jest pięć minut stąd. – Zofia nie daje się tak łatwo wyprowadzić z równowagi.

– Ale ja się pytam pani, co będzie, jak się spóźnimy? – Andrzej dostaje histerii.

– Spokojnie, panie Andrzeju.

– Czy hotel nie może na nas poczekać? Proszę tam zadzwonić!

– Oj, zamknij się pan! – wypala Doris.

– Przecież ja walczę o nas wszystkich! – bojownik Andrzej nie daje za wygraną.

– Na razie nic się złego nie dzieje! Na razie tylko pan wprowadza nerwową atmosferę!

Andrzej milczy już całą drogę. Chyba nawet jeść mu się już nie chce. Co tam, na sto procent ma konserwy z Polski w walizce.

„Jak ja sam o sobie nie zadbam, to nikt o mnie nie zadba” – myśli sobie zapewne. „I nikt mnie w dodatku nie docenia. Ludzie to są...”

\*\*\*

Kwaterują nas w dusznym pokoju, umeblowanym jak babciny salon. W łazience grzyb na podłodze, a z balkonu widok na jakieś krzaki, które wyglądają identycznie jak krzaki polskie. No i niespodzianka – komary! Niezliczona ich ilość.

– Beti, słabo mi – zaczyna Doris.

– Ty jak ty, ale pomyśl, jak się teraz czuje pan Andrzej. Na pewno już dzwoni z awanturą do Zofii.

– Andrzej jak Andrzej, ale pomyśl, jak się teraz Zofia czuje...

Chcemy uruchomić nasze telefony, ale odmawiają posłuszeństwa. Czyżbyśmy nie załatwiły roamingu przed wyjazdem? Cholera! Odcięte od świata, w afrykańskiej głuszy...

Całą noc nie możemy spać. Komary nas jedzą żywcem i jeszcze jakieś inne robactwo po nas łazi. No i to gorąco...

\*

Rano zebranie z Zofią. Szykujemy się.

– Masz grzebień? – pyta Doris.

– Nie... Myślałam, że ty masz.

– A ja myślałam, że ty.

– No to fajnie. Zobacz, ja już mam dredy na głowie. – Pokazuję swoje strąki, które jeszcze wczoraj były włosami.

– A ja mam fryzurę à la Wodecki.

– I co teraz?

– Teraz to my na pewno nikogo nie poznamy.

– W dodatku jestem cała pogryziona przez komary i już mnie brzuch zaczyna boleć.

– Zemsta?

– Ale co ja temu faraonowi zrobiłam?

– Ciociu – wtrąca się Jasio do tej pasjonującej dyskusji.

– Co?

– Mogę mówić do ciebie „tato”?

– Nie! – wykrzykuję. – No, chyba że bardzo tego chcesz...

– Nie ma mowy! – krzyczy Doris.

– Dobra, wychodzimy.

– Musimy załatwić sobie inny pokój. Ja tu nie wytrzymam kolejnej nocy.

– Przedstawisz ten problem Zofii. O ile pan Andrzej dopuści cię do głosu.

Zofia, owszem, załatwia nam pokój na innym piętrze. A pan Andrzej, o dziwo, nie ma żadnych zastrzeżeń do swojego apartamentu. Siedzimy na tym zebraniu i słuchamy Zofii.

– Jeśli wyjdziecie na miasto, to pamiętajcie, żeby mieć zakryte ramiona

i kolana. To jest kraj muzułmański.

– Że też swój czador zostawiłam w domu – wzdycham.

– I teraz jest tu ramadan.

– Co?

– Arabowie nie jedzą, nie piją i nie wolno im nawet patrzeć na kobiety.

Chyba że po dwudziestej. I to tylko na własną żonę.

– Ale tylko patrzeć? – upewniam się.

Naradę przerywają nam dzikie odgłosy dochodzące z windy. Ktoś kopie od wewnątrz w drzwi i strasznie wrzeszczy. Ewidentnie się zaciął. Nikt z obsługi nie reaguje. Wszyscy przechodzą obojętnie. Odgłosy nasilają się. Krzyki po arabsku, coś jakby: „harum! harum!”, co tłumaczę sobie w myślach od razu na „kurwa mać!”. Po dziesięciu minutach winda otwiera się i wypada z niej rozsierdzony, brodaty Arab, a za nim chyba trzy jego żony i gromada dzieci. Wyglądają jak stado słoni – Arab, nazwijmy go na potrzeby tej chwili Mufasą, waży ze sto pięćdziesiąt kilo, a jego żony po sto kilo każda. Nic dziwnego, że się zacięli. Mufasa biegnie wściekły przez korytarz, miotając arabskimi przekleństwami. Tak wściekły, że ochroniarz, który właśnie szedł mu otworzyć windę, z przestrachu zmienia kierunek swej wędrówki. Spieprza ile sił w nogach, a Mufasa za nim. Czuję się, jakbym była świadkiem zamachu terrorystycznego. Nie, nie świadkiem, uczestnikiem.

\*\*\*

Resztę dnia spędzamy nad basenem. Gdyby nie to, że nie mamy grzebienia, to byłybyśmy tam najpiękniejsze. Jakiś zlot grubych bab, jak na wczasach odchudzających. Wszystkie to Ukrainki lub Rosjanki. Bez alkoholu nie da się na to patrzeć. Dobrze, że jest bar.

– Weź dwa piwa – instruuje mnie Doris. – Powiedz *two beer*. Podszkolisz angielski przy okazji.

– Tak, a zwłaszcza nauczę się liczyć. – Bo zaraz pójdę po *three beer* a pod koniec pobytu już powiem przy barze *eleven beer*. A w Polsce już tylko detoks...

– Co ty tak filozofujesz? Pierwszy raz w życiu mamy alkohol za darmo w ofercie all inclusive, a ty marudzisz.

W tym momencie wkracza na basen siwa kobieta w bładoróżowym, obszernym podkoszulku. Siada na leżaku i bezmyślnie patrzy przed siebie.

– Zobacz – mówię. – Wygląda, jakby kupiła ten podkoszulek u twojej mamy w ciucholandzie.

– Tak, moja matka właśnie zamierzała nim umyć podłogę, kiedy trafiła się ta klientka.

– Ciekawe, o czym ona myśli...

– Ja wiem. „Jak to dobrze, że ja tu przyjechałam. Co prawda wzięłam kredyt

na pięćdziesiąt lat na ten wyjazd, ale co się wybyczę, to moje. A pięćdziesiąt lat? Przecież ja nawet tyle nie będę żyła. Dzieciom zostawię w spadku, niech spłacają! I zjem tu wszystko, co mają, i wypiję, choćbym miała dostać rozwolnienia”.

– Jak tak patrzę na jej minę, to rzeczywiście może tak myśleć – śmieję się.

– A zobacz tę panią. – Doris pokazuje mi babkę w skąpym stroju, wyglądającą jak wieloryb wyrzucony na brzeg.

– Ludzie kochani! Pogwałcone są tu wszystkie moje zmysły estetyczne! Ale z tej się nie śmiejmy, bo ona ma męża, czyli znaczną przewagę nad nami.

– Ma męża, owszem, a że trochę ją wzdęło to już inna sprawa...

– Idę lepiej po te browary.

– No wreszcie!

– Ciekawe, czy my tu kogoś poznamy, Doris – zmieniam temat. – Bo co do tych Arabów z obsługi hotelowej, co patrzą na nas maślanymi oczami, to mam duże wątpliwości. Chyba że okazałoby się, że któryś po godzinach zaczytuje się w Szekspirze lub Dostojewskim...

– W kim? – dziwi się Doris.

– To tacy pisarze, wiesz? Ja chyba muszę popracować nad twoimi wiadomościami literackimi, Doris.

– Zaraz po tym, jak przestudiujesz globus...

– Twój ulubiony pisarz? – egzaminuję ją.

– Ty – odpowiada błyskawicznie.

– Dobra odpowiedź.

Idę w końcu po te piwa.

– *Two beer* – popisuję się swą angielszczyzną.

– *Two beer or not two beer, this is the question* – śmieje się barman.

Biegnę do Doris, rozlewając po drodze piwo.

– Ten barman zna Szekspira! – krzyczę. – Jestem w szoku.

\*\*\*

Idziemy na kolację. Staję w kolejce przy makaronach. Czuję nagle, że ktoś mi się przygląda. Wysoki, przystojny kucharz miesza spaghetti i gapi się na mnie bezczelnie. Podaję mu talerz. Moją dłoń trzyma długo pod tym talerzem i puszcza mi oczko. Idę do stolika na ugiętych nogach.

– Doris, co tam się działo przy tych makaronach!

– Co? Zakochałaś się w kucharzu?

– Ja jak ja, nie wiem jeszcze. Ale on na pewno.

– Do mnie też mrugnął, nie chcę cię martwić.

– A nie, z tym mruganiem to na pewno taki tik nerwowy.

– Ale, Beti... kucharz?

– Oj tam, kucharz! Widziałaś w holu fotkę właściciela tego hotelu?

– Widziałam.  
– No, to jest na pewno jego syn. Przecież widzisz jacy podobni. Makarony to jego hobby.  
– A, to zmienia postać rzeczy. A we mnie zakochał się barman. Słodki. Nie mógł uwierzyć, że nie mam męża. Pójdziemy potem, to ci pokażę.  
– Koniecznie. I weźmiemy kilka drinków przy okazji.  
– Jak ci się te wczasy podobają tak w ogóle? – pyta Doris z powagą.  
– Generalnie super. Gdyby nie to, że nie mam grzebienia, pogryzły mnie komary, mam chyba uczulenie na słońce, bo jestem cała w krostach, i brzuch mnie boli.  
– Ale poza tym wszystko gra?  
– Nie, do cholery! – eksploduję. – Bo telefon mi nie działa i nie mogę się skontaktować z Mariem. Czuję się jak bez ręki.  
– A po co chcesz do niego dzwonić? Beti, jesteś na wakacjach.  
– Może i nie dzwoniłabym, ale przynajmniej wiedziałabym, że mogę zadzwonić. Idę potem na Internet. Napiszę do niego.  
– Ale Internet płatny.  
– Nie interesuje mnie to! Doris, ja zaraz hysterii dostanę.  
– Aż tak za nim tęsknisz?  
– Strasznie. I jeszcze za Melą. Zostawiłam ją z babcią, a sama się wczasuję. Ale ze mnie matka...  
– Wyluzuj, proszę cię. Cieszymy się tym, co mamy.  
– Ty, w dodatku ta bransoletka doprowadza mnie do szału. – Szarpię taśmę, którą zapięli mi na rękę przy meldowaniu w hotelu. – Czuję się jak w więzieniu. Przepraszam, czy ktoś może mi to zdjąć? – wrzeszczę.  
– Uspokój się! Bo zaraz cię spoliczkuję – grozi Doris.  
– I w dodatku od dwóch dni nie byłam w toalecie. Mam coś odwrotnego do zemsty faraona. Chyba to jedzenie do Polski przywiozę.  
– Idziemy już stąd – podejmuje decyzję Doris. – Chodź, przedstawię ci mojego narzeczonego, barmana.  
– Dobra, tylko pożegnam się z moim narzeczoną, kucharzem.  
Barman, młodzieńcy Egipcjanin, rzeczywiście rozplywa się w uśmiechach na widok Doris. Koniecznie chce się z nią spotkać po pracy. Pod hotelem o pierwszej w nocy. Ta wskazuje mu Jasia i tłumaczy, że to niemożliwe. Ten się upiera. Ach, ta bariera językowa...

\*\*\*

Kładziemy Jasia i pijemy na balkonie swoje drineczki. O północy kończy nam się wszystko i Doris wysyła mnie do baru. Lecę.

– Zamknięte już – informuje mnie barman.



Powołuję się na znajomość z Doris. Bez skutku. Wracam do pokoju z niczym.

– Jak to ci nie dał? – Doris jest oburzona.

– Tak to. To twój narzeczony, ty idź go przekonywać.

– A pewnie, że pójde. Już ja mu dam!

Doris bierze pustą butlę po coli i zamaszystym krokiem idzie do baru. Po chwili wraca... też z niczym.

– Nie, ja będę musiała z nim zerwać! Nie będę tolerowała takiego zachowania. Zamknięte? Generalnie tak, ale chyba nie dla mnie?

– Idźmy już spać.

– A ty do Maria w końcu napisałaś? – pyta Doris, kiedy jesteśmy już w łózkach.

– Tak.

\*\*\*

Rano budzi mnie bulgotanie w brzuchu. Mam sekundę na to, by dotrzeć do łazienki. Zemsta nadeszła!

– Beti, wyłaź z tej łazienki! – drze się Doris.

– Oj, daj mi spokój!

– Mam zemstę!

– Ja też!

– Mamusiu! – krzyczy Jasio.

– Cholera, w gacie narobił – słyszę zrezygnowaną Doris.

Apokalipsa!

\*\*\*

Jedziemy dziś na wyspę Raj. A raczej płyniemy.

– Kiedyś jak byłam w Egipcie i płynęłam na tę wyspę, to jedna dziewczyna miała jednocześnie i zemstę i chorobę morską – wspomina Doris.

– A wyobrażasz sobie na przykład mieć jednocześnie zemstę, chorobę morską i okres?

– I jeszcze kaca...

– Daj kamerę – proponuję. – Nakręcimy film.

– Dobra, ja kręcę, ty występujesz.

– Dobra – rozsiadam się wygodnie. Tytuł filmu: *Beti w Afryce. Część pierwsza.*

– Dawaj.

– Otóż zaczęło się od tego, że omal nie wyszłam ostatnio za Pakistańczyka. No cóż, nie udało się, ale to wcale nie znaczy, że w podróż poślubną nie pojedę. Co to to nie. No i jestem na jakimś morzu...

– Czekał, pokażę morze, żeby nie było...  
– A to Morze Czerwone czy Czarne? – wtrącam.  
– Czerwone.  
– Czekał, no i chciałam wznieść toast za mnie, za mnie... no i może jeszcze za Doris, która jest tu reżyserem tego spektaklu. Bo ja scenariusz napisałam...  
– Ty już skończ, bo nudno – ziewa Doris. – Myślę, że Cejrowski nie da ci jednak pięciu minut w swoim programie.  
– A to niby czemu? – oburzam się. – Czekał, bo chciałam jeszcze Mełę pozdrowić... A właśnie – Mela! Melu, mamusia bardzo tęskni. Naprawdę.  
– I Jasio tęskni – dodaje Doris.  
– Ja nie tęsknię! – krzyczy Jasio.  
– Ja tęsknię – kieruje na siebie kamerę Doris.  
– Mamo, nie tęsknisz, prawda? – Jasio robi się zazdrosny.  
– Nie, nie tęsknię, kochanie – uspokaja go. – Beti, to się wytnie, nie martw się.

\*

Na środku morza nagle statek się zatrzymuje i każe nam nurkować. Nie, nie, ja w to nie wchodzę.

– Czy my na pewno jesteśmy na właściwej wycieczce? – zaczynam się martwić.

– Ja już sama nie wiem... Ale to tylko nurkowanie, na powierzchni.

– Ja i tak nie chcę! Ale, Doris, ty posłuchaj, jak ci Arabowie się dra, gdy gadają między sobą. Jaki to okropny język, jakby cały czas przeklinali.

– To się pewnie tylko tak wydaje. W rzeczywistości to są miłe pogawędki.

– Tak, jasne. Pan Mufasa zamknięty w windzie też pewnie nie kłął, tylko mówił: „Przepraszam, czy ktoś mógłby ewentualnie otworzyć mi te drzwi? Bardzo uprzejmie proszę. Ale nie musicie się spieszyć. Mnie tu dobrze, mam wreszcie trochę czasu dla rodziny”.

– Tak, a jak goił za tym ochroniarzem, to też pewnie krzychał: „Przepraszam, niech pan poczeka. Ja tylko chcę wręczyć panu napiwek”.

\*\*\*

Dopływamy w końcu do Raju. Instruktor nurkowania porywa mnie do wody. Jestem niczego nieświadoma na początku, dopóki nie każe mi założyć maski.

– Nie! – krzyczę, ale ten już zakłada mi maskę na głowę. – Nie! Nie mogę oddychać i nos mnie boli.

– *Why don't speak English?* – pyta.

– *Why don't speak Polish?* – pytam ja.

– *You are very beautiful* – mówi.

– Dobra, dobra, nie ściemniaj. Od trzech dni się nie czeszę. Wiem, jak wyglądam.

– *One kiss* – prosi.

– Zwariowałeś? Przecież my się w ogóle nie znamy!

– *My name is Ahmed.*

– O, jak oryginalnie! Słuchaj, nie wiem jak ty, ale ja już chcę na brzeg. Miło było poznać.

– *One kiss, please...*

– Oj, jaki ty monotematyczny jesteś. Zaczynasz mnie irytować.

Jakimś cudem docieram na brzeg.

– Doris, zwariować można z tymi Arabami, mówię ci.

– Ciociu, masz nowego chłopaka? – pyta Jasio.

– Nie, to było tylko chwilowe zauroczenie. Nic poważnego.

\*

Wieczorem idziemy na kolację. Ja jak zwykle stoję w kolejce po makaron. Mój kucharz już przygotowuje dla mnie moje ulubione spaghetti.

– Beti, ja widzę, że ty i Pan Makaron to już coś poważnego – stwierdza Doris.

– Co ja ci mogę odpowiedzieć? No, wszystko na to wskazuje.

– Powiesz mu o instruktora nurkowania?

– Jasne. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

– Rozmawiacie o wszystkim?

– Tak, a głównie o makaronach.

– A powiedz mi, on w domu też tak pysznie ci gotuje?

– Ty się przestań nabijać! Zobacz lepiej, jaki on piękny jest w tej swojej białej czapie.

\*

Znowu skomplikowana procedura nakładania makaronu. Mrugnięcie, głaskanie po rękę pod talerzem, przesyłanie całusów. Nie no, dosyć tych zalotów. Czas na konkrety. Odchodzimy na bok, zostawiając patelnię z przypalającym się na niej makaronem.

– *I love you* – zaczyna on.

– Dobra, kochanie, *I love you too*. Tylko co dalej z nami? Jak ty to widzisz? Może nie zauważyłeś, ale ja nie mówię po angielsku.

– *No problem.*

– A poza tym to trochę mezalians będzie, bo ja mam własną firmę, a ty na tych makaronach... Czy ty masz szansę awansu? Chociażby z makaronów na kurczaki?

– *No problem.*  
– No i jeszcze ci powiem, że ja seks to tylko po ślubie. Będziesz się musiał ze mną ożenić.  
– *No problem.*  
– I zapomniałabym... Mam dziecko. Małą *beautiful girl*.  
– *No problem.*  
– No i dobra, to po krótko mamy wszystko ustalone. To do jutra. O dziewiętnastej przy makaronach, jak co dzień.

\*

– No i co? – pyta Doris.  
– No i gitara. My się tak dogadujemy, że szok. A jaki on zgodny jest...  
– Chodźmy teraz do mojego barmana.  
Idziemy. Zamawiamy „whisky z colą, *please*”. Barman zachowuje się jednak, jakby nie znał Doris. A w ogóle to whisky nalewa nam ktoś inny, bo ten robi dla kogoś kawę. I nawet na nas nie patrzy.

– Doris, co to było? – pytam.  
– Nie wiem. – Doris jest załamana.  
– A ty poszłaś w końcu na tę randkę?  
– O cholera, zapomniałam.  
– Ale pokazał charakter...  
– No, ale jak! Aż mi zaimponował, powiem ci.

\*

Siedzimy na balkonie. Nudy.  
– Może film nakręcimy jakiś? – proponuję.  
– Dobra. Ale poczekaj. Mario ci odpisał na maila?  
– Nie.  
– Dlaczego, jak myślisz?  
– Nic nie myślę i w ogóle to nie chcę o tym rozmawiać.  
– Idę po kamerę.  
Doris kręci, ja występuję. Przemawiam.  
– Dobra, słuchajcie...  
– Poczekaj, bo ja też chciałabym tu uczestniczyć. – Doris stawia kamerę na barierce balkonu.  
– No, uczestnicz, dobra... Siadaj.  
– Słuchajcie – zaczyna Doris przemowę do widzów. – Dzisiaj był sądny dzień... Beti się zakochała.  
– I to dwa razy.  
– Czekaj, a gdyby jakiś obcokrajowiec to oglądał?

– Dobra, przejdę na angielski. *One boys* na morzu, słuchajcie... Czarnym czy Czerwonym? Bo już nie pamiętam. Czekaj, muszę zapalić.

– Póki ona podpała, to ja chciałam powiedzieć, że...

– A co ty niby masz do powiedzenia? *My name it's Doris*, whisky z colą, *please*?... Ja powiem. Doris ma dziś doła, bo zerwał z nią kelner. Fikała, fikała, aż się doigrała. A mówiłam: „Nie idź do niego o dwunastej w nocy i nie błagaj go, żeby ci nalał piwa do tej butelki po coli”. Poszła. No i doigrała się. Dziś to nie był ten sam człowiek. Nie dość, że przesunęli go z działu drinków na kawę... Zwichnęła chłopakowi karierę.

– Nie podoba mi się ten film – przerywa mi Doris.

– A co ci ma się podobać czy nie podobać? To widzom ma się podobać! Ale ja, słuchajcie, sielanka. Najpierw wypłynęłam na wyspę Raj. Nie, aż muszę się zaciągnąć, jak o tym myślę... Wyspa Raj... No i o co tam chodziło? Instruktor nurkowania, jak mu tam było? Ahmed?

– Beti, nie! Beznadziejny jest ten film. Tło, jakbyś siedziała w jakiejś pipidówce, jakaś zapyziała firana za tobą... Brakuje jeszcze meblościanki.

– Ale przecież to jest cały czas Egipt, czy nie?

– Wyglądasz przy tym beznadziejnie...

– Co ty gadasz? – przerażam się. – Przynieś puder!

– No, już lecę! Nie, myślę jednak, że ten film to nie jest dobry pomysł.

– Poczekaj, jutro to ocenimy. Kontynuujmy. To było tak... Doris zdziwiona, że ja nie wiem, że Egipt jest w Afryce. A ja jej na to, że co prawda przemknęło mi to przez myśl, ale uznałam to za zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło być prawdą. No bo ja w Afryce? Nie, nie z moim rozsądkiem! A poza tym co by moja mama na to powiedziała? Trwała rozprostowałaby jej się na bank. No, ale dobra, wyładowałam w tej Afryce, ubrałam się, podmalowałam, no i jakoś sobie radzę.

\*\*\*

Budzę się w środku nocy. Śniło mi się, że pojechałam do Maria autobusem sto czterdzieści pięć prosto spod mojego domu do Wesołej. Bez żadnej przesiadki. No i okazało się, że jego dziecko ma już siedem lat. Zrywam się na równe nogi. O nie! Wszystko się buja. Jestem na jakimś statku? Jedną ręką trzymam się stołu, a drugą krzesła, żeby nie wypaść za burtę.

– Co ty wyprawiasz? – pyta zaspana Doris.

– Nie mam pojęcia...

Oblewa mnie zimny pot. Mam dreszcze. Może i jest tu pięćdziesiąt stopni, ale ja zaraz zamarznię. Opatulam się kocem z wielbłąda i zasypiam. A przez cały pobyt zastanawiałam się, po cholere dali nam te koce.

Otwieram rano oczy i widzę patrzącą na mnie z przerażeniem Doris.

– Odbiło ci? Co ty robisz w tym kocu?

– Zimno mi. O nie! I muszę do toalety... Zemsta wróciła.

– Ja też źle się czuję.

– Mamo, brzusek mnie boli. – Jasio otwiera oczy.

– Nie, tylko nie to.

Wracam z toalety i zawijam się znów w koc. Budzę się wieczorem. Patrzę na łóżko obok. Jasio i Doris śpią. Mam nadzieję, że śpią.

– Żyjecie? – pytam.

Nie możemy uwierzyć, że przespaliśmy wszyscy śniadanie i obiad.

– Ja muszę cię nakręcić. – Doris zrywa się nagle.

– Dobra.

– Beti w Afryce. Odcinek „Zemsta faraona. Dziennik pokładowy”. Pokaż cierpienie.

– Auuuuu – jęczę.

– No i mów coś.

– Dobra. Nigdy nie myślałam, że to powiem, ale...chcę do mamy. Nie, żartowałam. Mamo, pamiętasz, jak kiedyś nie posłuchałam cię i poszłam na dyskotekę? Złamałam wtedy nogę. Teraz też cię nie posłuchałam i wylądowałam w Afryce. Nie, Doris, ja nadal majaczę.

– Chodźmy lepiej na kolację.

Idziemy. Nagle wymija nas pędząca w piżamie baba.

– A tej co? – pytam.

– Pewnie miała trzy dni zemstę, nie wychodziła z pokoju, a teraz zgłodniała i leci na kolację. I gównie komuś do tego, że jest w piżamie!

– Wiesz co, my powinniśmy tych ludzi kręcić. Na przykład Mufasę w windzie. To byłby bezcenny film. Może zwabimy go do windy jeszcze raz i zablokujemy? A w środku umieścimy kamerę.

– Myślę, że ponowiłby swą uprzejmą prośbę o otworzenie mu drzwi. Powiedziałby: „Ojej, jaki ze mnie gapcio. Już drugi raz się zaciąłem. Przepraszam. Ze swej strony mogę obiecać, że już zawsze będę chodził schodami. Czy ktoś mógłby odblokować te drzwi? Oczywiście nie mówię, że zaraz. Nie przerywajcie państwo swoich zadań i nie spieszcie się”.

– I dodałby coś w stylu: „Jak to dobrze, że byłem ostatnio na kursie panowania nad gniewem, bo gdyby nie to...”.

– „Ale byłem i od tamtej pory w pracy nazywają mnie *easy man*. A właśnie, chciałbym pozdrowić z tego miejsca swoich współpracowników”.

Zaśmiewamy się z tego wszystkiego do łez. Ach, gdyby ten Mufasa wiedział, ile dał nam radości na tym wyjeździe.

\*

Rano zebranie z panią Zofią.

– Właśnie zbankrutowały linie lotnicze, którymi mieli państwo wrócić do Polski – oznajmia nam. – Ale proszę się nie martwić, wasze biuro podróży zrobi wszystko, żeby zorganizować wam powrót do Polski w terminie.

Widzę, jak panu Andrzejowi podnosi się ciśnienie.

– Pani Zofio, jeśli ja nie wrócę do Polski na czas, to wy się nie wypłacicie na odszkodowanie dla mnie! Mój podpis na dokumentach, który muszę złożyć w piątek, jest tak ważny...

– Ciekawe, kim on jest, że ten jego podpis taki ważny? – pyta po cichu Doris.

– Oj, pewnie ma złożyć podpis w urzędzie pracy – tłumaczę jej. – Ale spójrz na Zofię, ona chyba ma makijaż. Nie wierzę.

– I rozpięty guzik pod szyją.

– Ciekawe, co będzie, jak nam jeszcze biuro podróży zbankrutuje?

– No, jak co? Zofia będzie nam to oznajmiać w szpilkach i w seksownej mini.

– Jak to kobieta się zmienia w obliczu problemów...

– Ale pani Zofio – kontynuuje Andrzej – ja chciałbym i tak pani serdecznie podziękować za to, że pani zawsze odbiera moje telefony.

Tu wstaje i całuje ją w rękę.

– A po co on do niej tak wydzwania? – pytam Doris.

– Jak po co? „Pani Zofio, dlaczego na obiad nie ma pizzy?”, „Pani Zofio, dziękuję pani, że na obiad była pizza”, „Pani Zofio, dlaczego na obiad była znowu pizza?”. Takie tam sprawy organizacyjne.

– Pani Zofio, czyli jutro na pewno wylecimy do Polski? – pytamy na koniec.

– Jakimiś innymi liniami?

– Tak. Proszę się nie martwić.

– Doris, to ja lecę do pokoju. Brzuch mnie boli.

– Znowu zemsta?

– Nie, tym razem okres.

– Chociaż tyle dobrze, że nie jesteś w ciąży – oddycha z ulgą Doris.

Brzuch boli mnie tak, że zażywam pięć tabletek przeciwbólowych. I zasypiam.

\*

Doris szarpie mnie za ramiona.

– Wstawaj, idiotko, już pięć godzin śpisz. Ty połknęłaś te wszystkie apapy? Beti! Beti! Ty jesteś w Afryce, on w Polsce. A poza tym jego dziewczyna jest w ciąży!

Zaczynam spazmatycznie ryczeć.

– Dotarło wreszcie? Dotarło? – Doris mnie przytula.

– Dotarło. Nigdy więcej nie połknę pięciu tabletek naraz.

\*

Telefon stacjonarny w pokoju hotelowym zaczyna dzwonić. Jesteśmy przerażone. Doris podnosi słuchawkę i odkłada ją. Znów dzwoni.

– Halo?

– To ja, Matylda! Czy wam odbiło doszczętnie? Dlaczego się nie odzywacie? Ja tu odchodzę od zmysłów.

– Mama? Mama? – Doris ma łzy w oczach.

– Co z wami? Wszystko OK?

– Mamo, nie mamy roamingu.

– To wyłącz i włącz telefon. Wtedy się uruchomi.

– O kurde... Ale z nas kretynki.

– A co u Beti? Poznała kogoś?

– Tak, kucharza. Zapowiada się, że będzie dobrze. Z tym że teraz ma zemstę i okres. Beti, nie kucharz.

– To kup jej pampersy – radzi dowcipnie Matylda. – Kiedy wracacie?

– Jutro.

– To ugotuję coś dobrego.

Doris jeszcze długo nie może nacieszyć się tym kontaktem z Polską. Tylko ja mam markotną minę, bo mnie nikt nie szuka, nikt do mnie nie dzwoni i nikt nie gotuje niczego na mój przyjazd.

\*\*\*

Rano SMS. Pani Zofia: „Proszę się spakować. Jeszcze dziś powinniście Państwo odlecieć do Polski”.

No, to biegnę pożegnać się z kucharzem.

– Ja lecę już do Polski, mój drogi.

– *I miss you* – mówi, przytulając mnie. – *Mail? Facebook? Skype? Telephone?*

– Ale ja nie znam angielskiego, przecież wiesz. O czym będziemy gadać? Powiem ci „hi!” i co dalej?

Kucharz jednak biegnie po notes. Podaję mu swój numer. Długo szuka wolnej strony, żeby go zapisać.

– Daj mi to! – wyrywam mu notes z ręki. Przeglądam. Katia, Daria, Agnieszka, Swietłana i tak dalej, i tak dalej. Setki numerów i adresów. No pięknie. Ha, ha, ha.

\*

SMS od Zofii: „Nie leciecie dzisiaj. Proszę czekać z bagażami przy wejściu



o dziewiętnastej. Przewieziemy Państwa do innego hotelu”.

– Doris, ja nie wiem jak ty, ale ja dziś lecę do Polski – mówię głucho. – Jestem jutro umówiona z Mariem i muszę być o dziesiątej w domu.

– A ja jutro o ósmej rano mam przekazać Jasia ojcu.

Jesteśmy załamane. Doris pisze SMS do swojego byłego, że nie wraca, że nawet nie wie, kiedy wróci. Za moment telefon.

– Chcę rozmawiać z synem!

Jasio chwilę rozmawia i obwieszcza nam:

– Tata zaraz przyjedzie i zabierze mnie stąd. Hurra!

Doris jest przerażona.

– Ty, on zamiast kupować bilet za grube tysiące to może niech ci zapłaci zaległe alimenty – mówię.

– O tym samym pomyślałam. Co za palant! To psychopata, mówiłam ci. Teraz będę się oglądała za siebie non stop i bała się, że go tu zobaczę. Cholera! Cholera!

– Może nie przyjedzie? – staram się ją pocieszyć.

– On jest zdolny do wszystkiego!

– Zobacz, a Roman nawet nie zapytał, gdzie jego dziecko się podziewa przez całe wakacje.

– I ciesz się. Przynajmniej masz spokój.

– No, chyba nawet stracił nadzieję na to, że pożyczę mu dwadzieścia tysięcy.

A w ogóle to mam wrażenie, że wszyscy mają mnie w dupie. Nikt nie martwi się, że nie wracam w terminie. Jedyłą osobą, która martwi się o mój powrót, jestem ja sama.

– Dobra, pakujmy się lepiej. Ciekawe, gdzie nas przewiozą... Dobrze, że do hotelu, a nie na lotnisko. Bobyśmy tam koczowały w oczekiwaniu na samolot nie wiadomo ile czasu. No, rusz się! Co tak siedzisz?

– Cały tydzień czekałam na piątek. Mario miał przyjechać z rana.

– Boże, Beti! Opanuj się! Ty popadłaś już w jakiś obłąd. Kurwa!

– Wiesz co, tylko ty potrafisz umieścić „Boże” i „kurwa” w jednym niemal zdaniu.

– Bo mi już brakuje do ciebie słów!

\*

Wieczorem przewożą nas do innego hotelu. Pięciogwiazdkowego. Jest piękny. Dostajemy prawdziwy apartament z widokiem na baseny. To miła odmiana w porównaniu do tej nory z komarami, w której tkwiłyśmy przez ostatni tydzień. Jest tylko jedno „ale”. Nie wiadomo, ile tu będziemy tkwiły. Pięciogwiazdkowy obóz koncentracyjny! A, jest jeszcze jeden minus – właśnie nastąpiła awaria wody.

Doris usypia Jasia i wysyła mnie po piwo do baru. Wracam, trzymając pięć

szklanek w rękę. To istne mistrzostwo świata. Idę ostrożnie, żeby nie uronić ani kropli. Ale co ja słyszę? Karaoke nad basenem? Właśnie pytają, kto chce śpiewać następny. No pewnie, że ja. Stawiam piwa na ziemi i lecę na scenę.

Śpiewam i patrzę na nasz balkon. Doris powinna załapać, że to ode mnie dla niej. Po wykonaniu serenady biegnę do pokoju. Jestem ciekawa, co ona na to. Po drodze wylewam jedno piwo, ale co tam.

– I jak? – pytam w progu.

– Co jak? – Doris wychodzi z łazienki z namydlonymi majtkami w rękę.

– Właśnie zaśpiewałam dla ciebie – oświadczam z dumą.

– To ty śpiewałaś? O cholera! Beti, ja zawsze marzyłam, żeby ktoś dla mnie zaśpiewał. Ale poszłam w tym czasie uprać majtki. I zapomniałam w dodatku, że nie ma wody.

– Kiedy spełnia się twoje życiowe marzenie, ty pierzesz majtki? – Nie mogę otrząsnąć się z szoku. – Cała ty! Nie warto nic dla ciebie robić.

– Ojej, tak mi głupio. Przepraszam. I dziękuję ci, kochana.

– Dobra, wybaczam ci łaskawie. Ale popatrz, że twój eks jednak nie przyjechał.

– Psychol! A Jasio czekał na niego cały dzień. Po co gada dziecku takie głupoty?

– Nie wiem.

\*

O dziesiątej zebranie z Zofią.

– Kiedy wracamy do Polski? – pytamy.

– Nie wiem, nic nie wiem. Linie lotnicze splajtowały, a wasze biuro podróży milczy jak zaklęte.

– A marszałek nie może nas ściągnąć?

– Napisałam do niego, ale dopóki istnieje wasze biuro, to on nie może nic zrobić. Jesteście klientami biura.

– To co mamy robić?

– Czekać, aż biuro oficjalnie ogłosi upadłość.

– Ile to może potrwać?

– Nie wiem.

– Pani Zofio, ale my mamy wizę tylko na trzydzieści dni – wtrąca jakiś facet, któremu wydaje się, że znalazł wyjście z sytuacji. – Czyli jest szansa, że po tym czasie nas deportują?

– Nie wiem już, jak wam pomóc – załamuje ręce nasza rezydentka. – Tymczasem korzystajcie z basenów i darmowych drinków.

– Rzygam już tymi darmowymi drinkami i wodą z basenu – mówię. – Chcę do domu!

– A w tym hotelu mogą nas tak trzymać bez końca? – pyta ktoś. – Co będzie, jak nas wyrzucą? Co z nami będzie?

– Nie wiem. W razie czego zabiorę was do siebie do domu.

– Sto czterdzieści osób? Ha, ha.

Trącam Doris i pytam:

– A co z panem Andrzejem? Nawet go nie ma na zebraniu.

– Widziałam go nad basenem. Hawajska koszula, szorty, on ma już w dupie wszystko. Korzysta z wakacji.

– Ciekawe, że już nie musi nigdzie składać swojego podpisu.

– Ten typ robił rozpiarduchę, bo na kolację nie było tego, co chciał, a jak są poważne problemy, to już nie ma człowieka. Już nie walczy w imieniu nas wszystkich.

– Za to Zofia pokazuje charakter. Dziś znowu jest umalowana.

– Coraz bardziej mi się ona podoba.

\*

SMS od Matyldy do Doris: „Twój ojciec został dziś aresztowany za jazdę po pijanemu na rowerze i próbę przekupienia policji”. Nie! Konamy ze śmiechu. Tato, dziękujemy ci. Już myślałyśmy, że nic się w tym Egipcie nie wydarzy, a tu proszę! Przebiłeś nawet Mufasę w windzie.

Wyobrażamy go sobie, jak siedzi w tej celi, bez fajek, bez telefonu i tępo patrzy w ścianę, zastanawiając się: „O co, kurwa, chodzi?”.

\*

O dziesiątej znów zebranie z Zofią.

– Co z nami będzie? – pytają wszyscy zgodnym chórem.

– Nie wiem, nie wiem. – Zofia wygląda na wykończoną.

– A co u pani słyhać? – pytam. – Czy pani tu siedziała całą noc?

– Tak. Nie mogłam was zostawić.

– Jadła pani coś?

– Nie.

– To niech pani idzie coś zjeść. Teraz i tak jesteśmy wszyscy bezradni.

– Jeszcze raz spróbuję porozmawiać z marszałkiem.

My jedziemy nad morze, gdzie kręcimy film specjalnie dla marszałka. Doris rozwalona na leżaku, z drineczkiem w dłoni.

– „Uwięzieni w Egipcie” – zaczyna. – Panie marszałku kochany, proszę nas stąd zabrać. My mamy już dosyć tej pięknej pogody, tych plaż, tych darmowych drinków, pysznego jedzenia. Kto normalny by to wszystko wytrzymał? No, niechże się pan postawi w naszej sytuacji. Jak żyć, panie marszałku? Jak żyć? Mam po kokardę tego wszystkiego.

– A po powrocie, w ramach odszkodowania – dodaję – życzę sobie kurację odchudzającą i detoks!

\*

Exposé Doris chyba coś pomogło, bo po powrocie dowiadujemy się, że nasze biuro zbankrutowało i marszałek za dwa dni przyśle po nas samolot. No, teraz to możemy się zrelaksować. Dziś wybory Miss Hotelu. Która startuje? Obie nie możemy, bo Jasio sam nie zostanie. Pada na mnie, bo Jasio nie zostanie ze mną.

– Doris, ale ja ostatni raz startowałam w takich wyborach, kiedy miałam czternaście lat – oponuję. – Kurde, mam wypieki, jak tylko mi się przypomni, ile się wtedy wstydu najadłam.

– Nie mów, że nie wygrałaś?

– To mało powiedziane. Każda z uczestniczek zdobyła jakiś tytuł, a to Miss Publiczności, a to Miss Foto, tylko ja tam stałam jak sierota, bez szarfy, odarta z resztek godności. A na dodatek usłyszałam, jak ktoś komentuje, że chodzę jak kobyła.

– Jezu, Beti! – Doris szczerze mi współczuje. – Co za trauma!

– Ale nic to. Wystartuję dziś i pokażę, co jestem warta.

– To ja ci sukienkę pożyczę. Zrobisz furorę.

\*

Ubieram się w białą, zwiewną kieckę i ruszam na scenę. Razem ze mną startują dwie Ukrainki. Konkurencja pierwsza – śpiew. O, w tym jestem dobra.

Zawodzę pieśń z muzyką z *Pana Wołodyjowskiego* do której sama naprędce układam słowa. *Wstań, unieś głowę, samolot leci. Może zabierze choć dzieci?* Publiczność szaleje. No dobra, dalej. Taniec brzucha? Może być. Striptiz? Daję radę. Przenieść jajko między swoimi udami i znieść je do małego plastikowego kubeczka? Perfekcyjnie.

Publiczność ma głosować poprzez stanięcie za swoją faworytką. Nagle robi się straszne zamieszanie na scenie. Ludzie się na niej nie mieszczą. Oglądam się za siebie i widzę tłum, który stoi za mną. Właśnie za mną! Czuję się, jakbym została prezydentem. Mogę już wracać do Polski!

\*

Na lotnisko wiozą nas dwoma autokarami. Zofia ma łzy w oczach, mini na tyłku i perfekcyjny makijaż. Mnie też chce się płakać. Doris dostaje SMS od Matyldy. „Posprzątałam Ci, ugotowałam gulasz i zrobiłam zakupy”.

– Ty się jej zapytaj, czy to samo zrobiła też u mnie. Specjalnie zostawiłam klucze u ciebie.

Matylda po chwili: „A ja się zastanawiałam, co to za klucze, i doszłam do

wniosku, że to od piwnicy. Tylko że wy nie macie piwnicy...”.

Ryczymy ze śmiechu. Przypomina nam się nasza urojona piwnica z działki. Ha, ha.

– A jak my z tego lotniska dostaniemy się do domu o trzeciej w nocy? – zmieniam temat.

– Ojciec przyjedzie. Wyszedł dziś z aresztu.

– Wiesz co, mam doła. Na ciebie będzie czekał ojciec, a na mnie nikt. Chyba że przedstawiciel jakiegoś banku, bo już dwa tygodnie spóźniam się z ratami.

– To ja szybko wsiądę z samolotu i udam, że witam cię na lotnisku.

– Ha, ha.

– Ja z kolei mam doła, jak pomyślę, że wejdę do pustego mieszkania. Nikt tam na mnie nie czeka.

– To ja polecę tam pierwsza i będę cię witała, OK?

– OK.

– A jutro rano o dziesiątej zrobimy sobie zebranie, tak jak z Zofią w hotelu. Bo już się przyzwyczaiłam.

Lądujemy w Warszawie. Czeka na nas telewizja i upiorne zimno.

## *Na starych śmieciach*

Kładę się we własnym łóżku. Głowa mnie boli i nie mogę spać. Boję się, że jak zasnę, to się obudzę, a jak się obudzę, to okaże się, że mam milion niezapłaconych rat, dwa rachunki telefoniczne i żadnej nadziei na przyptływ gotówki.

\*

Budzi mnie telefon. Mario?

– Wróciłaś?

– Skąd wiesz?

– Widziałem w porannych wiadomościach. Zaraz u ciebie będę.

Leżę i patrzę w sufit. Wchodzi.

– Czy wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem? – mówi, kładąc się koło mnie.

– Wiem, przecież pisałeś mi w mailu.

– Jakim mailu?

– No właśnie, w jakim? Więc przestań chrzanić! Jeszcze raz usłyszę o twojej zasranej tęsknocie albo o tym, jaka jestem piękna, to zwymiotuję! Byłam w tym Egipcie, nie mogłam z tego pieprzonego kraju wrócić, a ty nic, ani słowa nie napisałeś!

– Beti, jeśli zaczniesz płakać, to wyjdę i już nigdy nie wrócę.

Zaczynam płakać.

– Wiesz, jak się czułam? Jakbym nikogo na całym tym świecie nie obchodziła. Napisałam ci dwa maile.

– Beti, nie odpisałem, bo nie wiedziałem, czy masz dostęp do Internetu. Przecież on jest płatny.

– Tak, jest płatny, więc poszłam tam i zapłaciłam tylko po to, żeby przekonać się, że nie ma od ciebie ani jednej wiadomości.

Mario leży skołowany, a ja zalewam się łzami.

– Kochanie, przestań. Już do mnie dotarło, ale nie mogę cofnąć czasu. Nie płacz przeze mnie, błagam, bo pęknie mi serce.

– Mnie już pękło.

Mario przyciąga mnie do siebie i mocno tuli.

– Już dobrze, już jestem przy tobie.

– Byłam tam całkiem sama i nikt na mnie nie czekał – powtarzam w kółko.

– Wiem, ale już jesteś, jesteś przy mnie.

– Kocham cię. Boże, kocham cię i to jest beznadziejne.

\*

- Mamo, to ja, wróciłam! – krzyczę do słuchawki.
- A kiedy przyjedziesz?
- Jutro.
- Jutro? W sobotę? To bez sensu tak na jeden dzień pieniądze wydawać na bilet. A poza tym twoja siostra już wróciła wczoraj do Anglii. Nawet się z nią nie zobaczyłaś, bo wolałaś jechać do Egiptu.
- Widziałam się z nią przecież, jak odbierałam paszport.
- Ale tak pobyt dłużej to nie mogłaś?
- Nie, nie mogłam! To nie moja wina, że biuro mi zbankrutowało i musiałam zostać tydzień dłużej.
- Po co ty w ogóle tam poleciałaś?
- Po to, żebyś miała się czego czepiać! Jak moje dziecko?
- Dobrze. Powiem jej, że za tydzień będziesz. Może już ją wtedy odbierzesz?
- Odbiorę. Skoro już tak ci przeszkadza...
- Nie o to chodzi.
- A o co? Nie no, kończę, bo nie mam siły na tę gadkę. Głowa mnie boli, jestem zmęczona tym wszystkim.
- Na wakacjach była i zmęczona! – słyszę jeszcze, zanim się rozłączam na dobre.

\*

Doris.

- Czy nie ma jakiegoś święta teraz? Bo piwa bym się napiła, a tak głupio bez okazji.
- W tamtym tygodniu był Dzień Piwosza.
- I my to przegapiłyśmy?
- Trudno to tak nazwać, bo byliśmy wtedy w Egipcie i jestem pewna, że wtedy coś piłyśmy.
- Wiesz, do czego najtrudniej jest się przyzwyczaić? Że tu za alkohol trzeba płacić.
- Może lepiej nam będzie smakował, jak zapłacimy? Mnie tam najciężej z tym, że mam jedną zupę na obiad, a nie trzy do wyboru, jak w tamtych hotelach.
- Dobra, to idziemy na stację.

\*

– Witamy, panie Stasiu – mówimy do siwego ekspedienta na stacji. – Cztery piwa poprosimy.

– Ja mam na imię Mariusz. – Pan Stasio podstawia nam swoją plakietkę z imieniem pod nos.

– Nie, to imię jest już zarezerwowane, panie Stasiu – tłumaczę mu. – Pan jest pan Stasio, i koniec.

– Matka zawsze mówiła, że jestem Mariusz.

– Panie Stasiu, matka pana oszukała – kwituje sprawę Doris.

\*

Długo, długo po północy znów lądujemy na stacji. Doris staje w uwodzicielskiej pozie w progu i równie uwodzicielskim głosem woła:

– Panie Stasiu, juhuuuuuuu!

Ja staram się również stanąć w uwodzicielskiej pozie, opierając się jedną ręką o futrynę, ale ręka mi się omsknęła i omal nie padam na podłogę.

Pan Stasio wskazuje w milczeniu na tabliczkę „Nietrzeźwym alkoholu nie sprzedajemy”.

– Nie, nie, nie, panie Stasiu, to nas nie dotyczy.

– O, jaskółkę możemy zrobić na dowód tego.

Stajemy na jednej nodze, pochylamy się do przodu, rozkładamy ręce i... dostrzegamy kupującą właśnie hot doga sąsiadkę Doris, która patrzy na nas z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Cholera!

\*\*\*

Budzę się jakaś taka niewyraźna. Kac, kurde, gigant. Zbieram się w jedną całość i idę na stację kupić fajki. O, pan Stasio.

– Panie Stasiu, ja pana bardzo proszę, żeby już nigdy nie obsługiwał nas pan po północy. My możemy być wtedy niemile, owszem, możemy pluć i używać brzydkich wyrazów, ale niech pan będzie nieugięty.

Pan Stasio kiwa ze zrozumieniem głową.

– Dziękuję, panie Stasiu. Dobrze, że się rozumiemy.

\*

Mario. Co znowu? Nie mam dziś zdrowia na emocjonalne przepychanki z tym człowiekiem. Ale oczywiście padam w jego ramiona niczym bohaterka brazylijskiej telenoweli. Standardowo kończymy w skłębionej pościeli. Jest mi cudownie...

– Beti, kupiłem działkę – mówi cicho Mario. – Będę budował dom.

Zamieram.

– Z nią?

– Przecież to dziecko musi się gdzieś wychowywać.

– Moje może w trzydziestometrowej wynajmowanej służbowce, a twoje musi od razu w pałacu?



- Nie denerwuj się.
  - Proszę cię, Mario. – Czuję, że ból rozsadza mi głowę. – Proszę cię, wstrzymaj się z tym.
  - Uwielbiam cię, wiesz o tym. Ale wiesz też, że to nie ma sensu, prawda?
  - Dlaczego to mnie spotyka? – Dotykam obolałej głowy. – Dlaczego?
  - Jezu, nie pozwoliłbym cię skrzywdzić nikomu, a najbardziej krzywdzę cię ja sam. Ale będzie dobrze, uwierz. Niedługo wydasz książkę, będziesz sławna, bogata, szczęśliwa i może wtedy nawet nie zechcesz ze mną być. Podwiozę cię tylko czasem na jakiś wieczór autorski.
  - Oby tak było, Mario. A jak ja nie dożyję tej sławy i pieniędzy? Stieg Larsson, autor *Millenium*, zmarł tuż przed wydaniem swej pierwszej powieści. I co mu po tej sławie?
  - Dożyjesz, nie martw się. Będę robił ci od czasu usta-usta i masaż serca.
  - „Jeszcze byłoby miło, gdybyś moje rachunki popłacił i napełnił czymś lodówkę” – myślę sobie. A na głos mówię:
  - Kocham cię.
- \*\*\*

Jadę po Melę. Jednak jak to dziecko jest przy mnie, to jestem jakoś bardziej pozbierana. Muszę wstać o wyznaczonej porze, zrobić coś do jedzenia i uśmiechać się do niej. Muszę zarabiać pieniądze, żeby kupić jej mamby i lody. Jadę. Pytanie tylko, jak ja ją przywiozę. Z rowerem, rolkami, hulajnogą... Pomyślę o tym już w Zamościu.

- Mama! – krzyczy Mela, jadąc na rowerze.
  - Od kiedy ona umie jeździć? Coś przegapiłam.
  - Ojej, nie poznałam cię.
  - To pewnie przez to, że babcia mi obcięła grzywkę. Ale mam, jestem na ciebie bardzo zła.
  - Dlaczego?
  - Bo ja też chciałam być w Egipcie. Słyszałam, że tam są muszle z perłą.
  - Ja tam żadnej nie widziałam.
  - No i jak ten Egipt? – pyta moja mama.
  - Beznadziejnie. Chciałam do domu. Załamalam się, jak te linie zbankrutowały.
  - Nie słuchasz się matki, to się psiej skóry posłuchaj – rzuca jakąś ludową sentencję mama.
  - Co to za tekst? – Krzywię się.
  - Masz zdjęcia?
  - Mam. I filmy mam.
- Mama ogląda nagrania z nieprzeniknioną miną. Zwłaszcza te z wyborów

Miss Hotelu.

– No, widzę właśnie, jak bardzo byłaś załamana – podsumowuje to wszystko. Po czym patrzy na mnie chwilę i dodaje: – A z włosami nadal nic nie zrobiłaś!

– Mamo! Jestem Miss Hotelu i mam na to dowody! – krzyczę. – Setka ludzi stwierdziła, że mam piękne włosy. To ty się mylisz! Daj mi spokój! Słyszysz?

– Dobra, dobra, już się uspokój, bo widzę, że całkiem ci się w głowie przewracało.

\*

– Mamo, ja już chcę do domu. – Mela przytula się do mnie.

– Zaraz, tylko muszę transport zorganizować. Mamo, ktoś mnie odwiezie?

– Nie wiem, dziecko. Pogadaj z Bonią.

Bonia to córka ciotki Bo. Właśnie wróciła z Anglii ze swoim narzeczonym. Kupili tam samochód, land rovera. Zgadza się mnie zawieźć, ale koszt benzyny wyliczają na trzysta złotych. Kurczę! Akurat tyle mam. Tylko tyle. Wrócę do Warszawy z dzieckiem i co? Zęby w ścianę?

\*\*\*

– Doom! – krzyczy Mela i rzuca się pędem do swojego pudła z zabawkami. W pięć minut rozwała je wszystkie po całym mieszkaniu. – Ja będę się dzisiaj całą noc bawiła.

– Nie, jest pierwsza w nocy. Kładź się spać.

– Dobrze, ale włącz telewizor.

Leżymy. Leci akurat *Perfekcyjna pani domu*. Mela z przerażeniem patrzy na bałagan, który mają w domach uczestniczki programu. Potem rzuca okiem na nasze mieszkanie, jeszcze raz na ekran, jeszcze raz na nasze mieszkanie, i mówi:

– Mamusiu, musimy sprzątać, sprzątać, cały czas sprzątać.

– To sprzątaj. Może zostaniesz perfekcyjną panią domu? – pytam z nadzieją.

– Nie, bo ja będę modelką – odziera mnie ze złudzeń. – Chciałam być lekarzem, ale to za trudne dla mnie. Trzeba się dużo uczyć.

– Oj, śpij już lepiej – przykrywam ją kołdrą, a sama chichoczę w poduszkę. Brakowało mi w wakacje jej poczucia humoru.

\*

Jedziemy na Karminową. Dziadkowie też się za Melą stęsknili. Postanawiają zabrać ją na zakupy i mówią, że przywiozą ją do mnie jutro. To się długo nie nacieszyłam dzieckiem. Z kolei jest jeszcze Roman. Ten to nie widział jej od dwóch miesięcy.

– A co ty taka zła? – pyta teściowa.

– Standardowo, wystarczyło, że przypomniał mi się Roman, żebym się wkurzyła.

– A co zrobił?

– Nic i to mnie właśnie wkurza. Przez dwa miesiące nie zrobił nic. To ja jeździłam do Meli, kupowałam bilety na busa i to ja wczoraj zapłaciłam trzy stówy za benzynę, żeby ją przywieźć z wakacji.

– Dam ci te trzy stówy. – Teściowa łapie za portfel. Kocham ją.

– Dobra, to ja lecę do domu. Padam po tych wszystkich podróżach. Jeszcze się po tym Egipcie nie otrząsnęłam, nadal nie mogę spać. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– A co tam w sprawach damsko-męskich? – nie omieszka zapytać teściowa.

– Stabilizacja, o ile tak można określić mój związek z Mariem.

– Widziałam go przez okno, jak cię tu kiedyś przywiózł. Przystojny facet.

– Na moje nieszczęście.

I to jest właśnie różnica między moją teściową a moją mamą. Żadnych morałów, ludowych porzekadeł, krytyki. Ta przyjmuje wszystko takie, jakie jest. I jeszcze w dodatku mnie lubi.

\*

Dzwoni mama.

– Bonia wychodzi za mąż – oznajmia.

– O Jezu! – jęczę. – A z kim ja na to wesele pójdę? Muszę jakiegoś faceta szybko znaleźć.

– Przestań wreszcie! – sprowadza mnie na ziemię. – Z dzieckiem własnym pójdiesz! Tyle ci powiem!

Rozłączam się. Stoję na przystanku i wybucham płaczem. Dlaczego ona mnie tak nie lubi?

Dzwoni. Odrzucam. Dzwoni jeszcze raz.

– Co? – krzyczę.

– Co „co?” Coś się rozłączyło. Słuchaj, nie wiadomo jeszcze, kiedy ten ślub, bo to wszystko zależy od tego, kiedy twoja siostra z Anglii będzie mogła przyjechać...

Rozłączam się i wyłączam telefon. Mam w dupie to, kiedy moja siostra może przyjechać. Już nawet śluby ludzie do niej dopasowują!

Roztrzęsiona, zasmarkana i spuchnięta od płaczu docieram do Doris.

– Co się stało? Siadaj. Chcesz ogórkowej?

– Nie, to znaczy tak. Nie wiem, nie teraz. Albo daj.

– Co się stało? Coś z Mariem? Coś z Melą?

– Nie, po prostu mama mnie nie kocha – wyrzucam z siebie i ryczę już na całego.

- A co ty się nią tak przejmujesz? Weź już przestań. Umyj twarz.
  - Dlaczego ona zawsze... zawsze mówi...
  - Beti... – Doris mnie przytula.
  - Buuuuuuu... – Smarkam jej w kołnierzyk.
- Po godzinie dochodzę do siebie, ale i tak jestem jeszcze osłabiona.
- Mam pomysł, Beti. Ja pójde z tobą na to wesele.
  - Ty wiesz, że by nas wywieźli na taczce poza granicę wsi za to?
  - A co tam! Suknię mam.
  - Już z czystej przyzwoitości byś chociaż spodnie włożyła!
  - I wąsy mam sobie przykleić? I co jeszcze?
  - Nic, Doris, to nijak nie załagodzi tych moich rodzinnych zatargów.
  - Chciałam dobrze, ale nie to nie. A co z Melą zrobiłaś?
  - Ojej, zakneblowałam, związałam i zamknęłam w szafie. No, na

Karminowej jest.

- Aha, Jasio u ojca.
- Aha...
- Aha...
- To co? – pytam, bo jak jeszcze raz usłyszę „aha”, to wybuchnę.
- No, idziemy na stację chyba, co?
- Aha...

\*

Lecimy.

- Panie Stasiu, dwa piwa – mówi Doris.
- Niestety, nie mogę. Ostatnio była u mnie ta pani – tu wskazuje na mnie – i bardzo prosiła, żeby was nie obsługiwać.

Doris obrzuca mnie morderczym spojrzeniem i syczy:

- Jasna cholera!
- Tak, ostrzegęła mnie ta pani również, że będziecie przeklinać. Jestem na to przygotowany.

Pan Stasio stoi dumnie wyprostowany i gotów jest bronić nas przed nami samymi do upadłego.

- Ale, ale, panie Stasiu – przypominam sobie coś. – Przecież ja mówiłam: „Nie obsługiwać po północy”, a tu proszę – jest osiemnasta.

Pan Stasio wygląda jak balon, z którego ktoś nagle spuścił powietrze.

- Proszę, panie Stasiu, płacimy kartą i do widzenia. Adieu.
- Naprawdę, nadgorliwość gorsza od faszyzmu – podsumowujemy całe zajście.

\*

Długo po północy znów podejmujemy się karkołomnej wędrówki na drugą stronę ulicy. Ubieramy się ciepło, żeby nas nie przewiało, otwieramy drzwi, schodzimy po schodach... i patrzymy na siebie z politowaniem.

– I po cholere my tam idziemy? – pyta Doris.

– Idźmy lepiej spać – sugeruję nieśmiało.

– To pa.

– Pa.

I szybko rozbiegamy się do swoich mieszkań, zanim się rozmyślimy.

\*

Budzę się cudownie trzeźwa i wyspana. Piszę do Doris: „Jednak nie jesteśmy takie głupie”, a w tej samej sekundzie dostaję od niej SMS-a: „Jak to dobrze, że jednak przeważyła wreszcie nutka rozsądku”. Jezu! My już nawet budzimy się w tym samym czasie i piszemy do siebie to samo w tej samej chwili. Drugi SMS: „W telewizji ogłosili właśnie konkurs *Zwykły bohater*. Mam pomysł – ty zrobisz coś bohaterskiego i ja cię zgłoszę, ja zrobię też coś i ty mnie zgłosisz”.

Piszę jej: „Ja myślę, że jak pan Stasio się dowie, że w nocy byliśmy w drodze na stację i zawróciliśmy, to on już nas zgłosi”.

\*

Idę po Melę. Roman jest jak zwykle na piętrze, w swojej jaskini. Pod wpływem impulsu postanawiam zajrzeć do niego i wystosować uprzejmą prośbę o wpłatę za przedszkole, które lada dzień się zaczyna. Mela patrzy na mnie zaskoczona.

– A po co ty idziesz do taty? Po pieniążki?

– Tak.

– Nie idź, bo on się znowu zdenerwuje. Ja to załatwię. Ile chcesz? Trzy stówy?

– Tak.

Mela dziarsko idzie po schodach z silnym poczuciem misji. Po chwili wraca ze spuszczoną głową.

– I co? – pytam.

– Nic. Tata powiedział, że sam chciałby od nas pożyczyć trzy stówy.

Dupek!

\*

Po drodze wstępuję do banku.

– Niech mi pan powie, ile ja mam jeszcze tych rat płacić – żądam.

– Jeszcze cztery raty.

– Kurczę, już mam tego dosyć!

– To niech pani jednym przelewem to zapłaci i będzie spokój.  
– Gdyby mnie było stać, żeby to jednym przelewem zapłacić, tobym tego kredytu nie brała, nie sądzi pan? A zresztą, niedługo będę bardzo bogata i będę tu już tylko lokaty zakładała.

Facet z wrażenia wstaje z fotela.

– A co się stało?  
– Wydaję książkę.  
– Żartuje pani?  
– A wyglądam, jakbym żartowała? To moje ostatnie chude dni, dla pana informacji.

\*

SMS od Doris: „Matylda kupiła nam prezenty. Chodź zobaczyć”. Lecimy z Melą. Rozpakowuję paczkę. Różowe majtki. A na nich napis: „Nie mam nic na koncie, ale jestem fajna”.

Mela z Jasiem bawią się u niego w pokoju. Słyszymy następującą rozmowę:

– Wyjmij już to dziecko z piekarnika, Melu.  
– Dobrze, ale zobacz, ono jest opętane.  
– Jestem jego ojcem. To mój syn.  
– A ja go urodziłam. Ale pomóż mi, Jasiu, nie mogę tego piekarnika otworzyć.

– Nie mam teraz czasu.

– A co robisz?

– Przygotowuję się do trzeciej wojny światowej.

Zwijamy się ze śmiechu.

– Doris, nie jest dobrze – mówię. – Nie dość, że zostałyśmy babciami, to jeszcze zbliża się trzecia wojna światowa.

– Najgorsze, że ten nasz wnuk jest opętany. Może niech od razu jada z nim do dziadka.

– Do Romana?

– Albo do ojca Jasia, dowolnie. Ja nie mam zamiaru nim się zajmować.

– Ja też nie.

\*

W nocy budzę się zlaną potem. Brzuch mi pulsuje. Co jest? Schodzę z łóżka i próbuję dojść do łazienki. Niedobrze mi. Muszę zwymiotować. Cholera, nie mogę iść. Padam na podłogę i czołgam się w kierunku sedesu. Nie wiem, ile to trwa. Chyba tam zasypiam, bo budzę się na zimnych łazienkowych płytkach. Co ja dzisiaj jadłam? Pasztecik z grzybami. No ładnie, jeśli zatrulałam się grzybami, to już po mnie. Czołgam się do pokoju. Patrzą na moje śpiące jak aniołek dziecko.

Żegnaj, Melu.

Dzwonić po pogotowie? A co z dzieckiem? Dzwonić do teściów? Przecież zawału dostaną, jeśli obudzę ich telefonem o drugiej w nocy. Doris ma wyłączony telefon, zresztą śpi jak zabita. Jeżeli zasnę teraz, a rano już się nie obudzę? Co będzie z Melą? Wiem, zostawię zapasowe klucze pod wycieraczką, a na drzwiach nakleję kartkę, żeby ktoś otworzył. Plan genialny, tyle że nie jestem w stanie go zrealizować. Leżę na tej podłodze, wijąc się z bólu i nawet nie mając sił na dalsze kombinacje.

\*

Otwieram oczy. Jest rano. Żyję. Już nie boli, ale słabo mi. W dodatku muszę zaraz jechać do pracy. Dzwonię po taksówkę, ubieram Melę i jedziemy. Jestem zła na cały świat za tę noc samotności i bólu.

Telefon. Mario.

– Jesteś?

– Jestem, ale o mały włos i już by mnie nie było.

– Co się stało?

– Zatrulałam się grzybami. Mało nie umarłam. Ciebie oczywiście przy mnie nie było.

– Jezu, Beti, przecież znasz sytuację.

– Znam, i co z tego? Mario, ja mam tego dosyć! Chcę cię poinformować tylko, że wychodzę za mąż. Muszę mieć męża, który czuwałby, żeby mi się nic nie stało, także nocą.

Mario wybucha śmiechem.

– A kiedy to radosne wydarzenie?

– Tak sobie myślę o grudniu.

– Aha, ale powiedz mi, jak to było? Spojrzałaś w kalendarz i zobaczyłaś, że jedyny wolny termin masz w grudniu?

– Tak, mniej więcej tak. Mario, jestem wkurzona, i to mocno.

– Beti, wdech, wydech, wdech, wydech...

– Pieprz się!

\*

Andy: „Matko moja, co słyhać?”

Ja: „Beznadziejnie, synu mój, beznadziejnie. Co chcesz, kochany? Wrzesień zaraz, może zeszyty do szkoły Ci kupić?”

Andy: „Przydałyby się dwa w kratkę i jeden w linię”.

Ja: „A w której ty jesteś klasie?”

Andy: „Nadal w pierwszej”.

Ja: „Andy, pacanie, przecież ty masz dwadzieścia lat!”

Andy: „Wiem, matko, ale od czterech lat kibluję w pierwszej klasie. Dzięki temu co roku poznaję nowych ludzi”.

Ja: „Nie! Brak mi słów, matołku, do Ciebie”.

Andy: „Pogadajmy lepiej o Tobie...”.

Ja: „Nie mam z kim iść na wesele”.

Andy: „Mogę iść”.

Ja: „Nie! Mam teraz dwa wyjścia: albo iść z Doris i wyjść na lesbijkę, albo iść z gejem. No dzięki”.

\*

Idę do banku.

– Dlaczego mam zablokowaną kartę kredytową? – pytam, omal nie wrzeszcząc.

– O, jak książka? – cieszy się na mój widok doradca.

– Niech pan nie próbuje zmieniać tematu.

– Dobra, zobaczmy. – Zerka do komputera. – Bo ma pani nieopłacone kredyty.

– Przecież opłaciłam!

– Ale dwa tygodnie po terminie.

– I co z tego?

– A dzwoniли z windykacji?

– Tak.

– I co mówili?

– Oj, co mówili, co mówili? Pytali, co u mnie, jak moje dziecko się chowa...

– I jak książka?

– Tak, a tak zupełnie przy okazji, skoro już mnie mieli na linii, to zapytali, kiedy zamierzam spłacić raty.

– I co im pani powiedziała?

– No... ja też zapytałam, co u nich, pozdrowiłam całą ich rodzinę, a tak zupełnie przy okazji, skoro już ich miałam na łączach, to zapytałam, dlaczego te raty są tak wysokie.

Doradca kładzie głowę na biurku i zwija się ze śmiechu. Ja też zaczynam się śmiać.

– Uwielbiam panią i obiecuję, że kupię pani książkę, jak tylko wyjdzie.

– I może jeszcze wieczorek literacki mi zorganizujecie? Ale o tym później. Na dziś proszę o odblokowanie karty. Do widzenia.

\*

SMS od Doris: „Kiedy oddasz mojej matce kasę za Egipt?”. Boże! Tam rzeczywiście jakieś cztery stówy sąjeszcze do oddania. Piszę do Matyldy: „Wybacz



mi. Kocham Cię jak matkę, a dowodem mojej miłości niech będzie to, że mam na tyłku majtki od Ciebie. A pamiętasz, co tam jest napisane?”.

No, nie mam nic na koncie, ale jestem fajna! Pierwsza część zdania to pewnik, w drugą już nawet ja przestaję wierzyć.

\*

- Mamo, opowiesz mi jakąś historię przed zaśnięciem?
- Jasne, jaką tylko chcesz. O Kopciuszku? O Pięknej i Bestii?
- Nie, o tym, jak powstał nasz kraj.
- Ekhm – odchrząkam. Było coś o tym na historii, ale co?
- Albo o tym, jak powstały gwiazdy i księżyc.
- Hmm. No więc... A może idźmy już spać, co?

\*

Śni mi się Mario.

- Tęsknię bardzo za tobą – mówi w moim śnie.
- Ja za tobą też – odpowiadam na głos, siadając na łóżku.

Moje słowa odbijają się od czterech pustych ścian. Mnie chyba też już odbija.

Boli mnie klatka piersiowa. Chcę zakaszleć. Boli. Chyba mam zapalenie płuc. Mela śpi smacznie obok mnie. Zaraz trzeba iść do przedszkola. Nie dam rady. Biorę telefon i dzwonię do Margo. Może jak będzie odwoziła dziecko do przedszkola, to weźmie też Melę? Albo niech chociaż na Karminową ją zawiezie. Telefon zablokowany. „Tu dział windykacji. W związku z brakiem płatności za fakturę z dnia...” Cholera! Mam jeszcze stacjonarny. Też nieopłacony, ale może jeszcze nie zdążyli zablokować? Jest, działa! Nawet SMS-y mogę z niego wysyłać. Margo odpisuje, że zawiezie Melę na Karminową. Dobra, to teraz dzwonię na Karminową, że Margo przywiezie Melę. Teściowa zaraz oddzwania, że sama przyjedzie po Melę. No, to piszę do Margo, że akcja odwołana. Piszę też do Maria, żeby natychmiast przyjeżdżał. Jestem już cała spocona przez to pisanie. Jest siódma rano, a ja już pobudziłam wszystkich, których mogłam. Teściowa wpada z dwiema reklamówkami. W jednej ma leki dla mnie, w drugiej jedzenie. Jest pełna energii. I ona ma osiemdziesiąt lat?

– Zabieram Melę do odwołania – oznajmia. – Ty się lecz. Przyjedź, jak wyzdrowiejesz.

- Dziękuję – chrypię.
- I jeszcze jedno. Masz tu pieniądze.
- Dziękuję.

Przykrywam się kołdrą po samą głowę. Drzwi znowu się otwierają. Wchodzi Mario z drożdżówkami.

– Boże – jęczę.  
– To nie Bóg, to tylko ja. I żeby potem nie było, że nie ma mnie, kiedy jestem potrzebny.  
Z Mariem pod jedną kołdrą mogę chorować całe lata.  
– A ty wiesz, co się działo rano? Siedzimy sobie przy śniadaniu z tą moją ciężarną, a tu SMS z jakiegoś dziwnego numeru.  
– Czyli mojego stacjonarnego?  
– Tak. Mówię do niej, żeby zobaczyła, bo to jakiś podejrzany numer.  
– No i? – zamieram.  
– Na szczęście w tym czasie zadzwoniła jej komórka, a ja zdążyłem przeczytać, że to od ciebie.  
– Nie, to chore – wzdycham.  
– Zapętała się coraz bardziej, Beti.  
\*\*\*

– Jak się czujesz? – pyta teściowa po dwóch dniach.  
– Źle, ale nie mam wyjścia – jadę do pracy.  
– Jak? Przecież słyszę, że ledwo co żyjesz.  
– Jak nie zarobię jakiejś kasy, to nie przeżyję i tak. Policzyłam najpilniejsze sprawy i potrzebuję tysiąc pięćset złotych.  
– Na kiedy?  
– Na wczoraj.

Biorę taksówkę i jadę do Kobyłki. Płacę pięćdziesiąt złotych, ostatnie, jakie mam, ale albo je rozmnożę, albo stracę.

Klientka jest zachwycona makijażem i zamawia u mnie wszystkie produkty. Łącznie za cenę tysiąca pięciuset złotych. Płaci z góry i nawet odwozi mnie na przystanek. W drodze do domu opłacam rachunek telefoniczny, wpłacam właścicielce mieszkania zaległe jeszcze za tamten miesiąc pieniądze, robię zakupy i zostawiam u Doris kasę dla Matyldy. Zostaje mi czterdzieści siedem groszy w portfelu. Podbudowana psychicznie jadę po Melę.

\*

– Mamo, przygotowałam dla ciebie ciasteczka i leki – mówi Mela, stawiając przede mną tacę zrobioną z książki o Kopciuszku. – Tu są krople do nosa, tu krople do uszu, tu ciasteczka, bo jak się jest chorym, to trzeba jeść, a tu masz picie, bo po lekach trzeba pić. A tu – wskazuje na niebieskie pudełeczko – masz krem na sen. Jak zechcesz spać, to po prostu się nim posmaruj.

Patrzę na nią zaszokowana.

– Dzięki, Melu.

– Mamo, jak będziesz jeszcze czegoś potrzebowała, to po prostu daj mi znać,

OK?

I najzwyczajniej w świecie wraca do oglądania bajki.

Kurczę, trochę niepokoi mnie fakt, że jedynymi osobami, na które mogę liczyć są czterolatka i jej osiemdziesięcioletnia babcia.

– Córciu, ja nie wiedziałam, że ty się tak dobrze znasz na leczeniu – zagaduję ją, kiedy już obie jesteśmy w łóżku.

Ta patrzy na mnie z powagą i kiwa głową.

– Tak, mam, znam się. Jeszcze jest taki plasterk, co go się nalepia na piżamkę, żeby nie mieć gorączki, i maść na katar. Trzeba to jutro kupić w jakimś markecie.

Leżę i lzy spływają mi na poduszkę. Melu, Melu...

\*

Rano trzy SMS-y z banku. Pierwszy: „Informujemy, że za dwa dni mija termin płatności kredytu numer...”. Dobra, dwa dni to kawał czasu. Drugi: „Na karcie kredytowej numer... wystąpiła zaległość. Prosimy o jej uregulowanie”. Dobrze, że proszą. Jak zaczną żądać, to zacznę się martwić. Trzeci: „Prosimy o natychmiastową wpłatę na rachunek kredytu numer...”. Ręce zaczynają mi się trząść. Zaglądam jeszcze raz do portfela i przeliczam gotówkę. Czterdzieści siedem groszy. Nie chce być inaczej.

– Mamo, kup mi lody – wyrывa mnie z odrętwienia głos Meli.

– Nie mogę. Mam czterdzieści siedem groszy.

– To sprawdź jeszcze w drugim portfelu – radzi przytomnie.

– Sprawdziłam.

– Lody! – wrzeszczy Mela.

– Nie dam rady.

– Dasz radę, mam! Dasz radę!

Telefon. Mario.

– Czemu to dziecko tak płacze?

– Chce lody, a ja nie mam kasy.

– Boże drogi! Jak te lody mają być?

– Śmietankowe w polowie truskawkowej.

– Dobra, tylko że ja będę u was dopiero za kilka godzin.

– Poczekamy, dobrze, że jest nadzieja.

– Przywiezie lody? – Moja córka patrzy wyczekująco.

– Tak.

– No, to teraz możemy się pobawić w bibliotekę. Ja będę bibliotekarką.

– OK. Dzień dobry, pani bibliotekarko. Co u pani słyhać? Co pani w ogóle robi poza pracą w bibliotece? Ma pani dzieci?

– Mam. Troje. I sama jestem z tymi dziećmi.

– A mąż?

Mela wzrusza ramionami.

– Nie mam męża. Nigdy nie miałam.

– Ludzie! A dzieci przynajmniej zdrowe?

– Nie, chore na napalenie skrzeli.

– To musi być pani ciężko?

– Tak, ale daję radę. Dobra, mamó, teraz pobawmy się w to, jak ty nie lubisz małych dzieci.

– Dobra. Och, jak ja nie lubię małych dzieci!

Mela demonstruje mi wózek dla lalek z bobasem w środku.

– Niestety, mamó. Urodziłaś właśnie drugą córkę. Zobacz.

– Och, nie! Co za koszmar!

Mario wali do drzwi.

– Wujek! Wujek! – Mela pada mu w ramiona. – Dawaj lody!

– A ty co masz taką minę? – pyta mnie Mario, oswobodzając się z objęć mojej córki i biorąc mnie w objęcia. – Beti, nie ta mina. Czy tak wygląda niebawem najslawniejsza pisarka w kraju?

– Nie dożyję wydania tej książki, jestem tego coraz bardziej pewna.

– Dożyjesz.

– Nie nadążam z płaceniem rachunków. Boję się zasnąć, bo wiem, że jak zasnę, to będę musiała rano wstać. A boję się wstawać.

– Chodź tu. Siadaj. Przytul się i posłuchaj. Sięgnęłaś dna i teraz musisz się tylko odbić.

– Już przeprowadzaliśmy tę rozmowę, Mario. Już było dno i się nie odbiłam.

– To widocznie nie było jeszcze dno.

– Ja nie dam rady, Mario.

– Dasz radę. Jesteś silna.

Wtulam się w niego cała.

– Zrób coś ze mną – szepczę.

– Zrobiłbym, ale jest Mela. À propos, loda mi wisisz.

– Ty jesteś zboczony, Mario, naprawdę – wybucham śmiechem.

– Lecę, kochane. Uważajcie na siebie.

\*

– Babciu, babciu! – krzyczy Mela, wbiegając na Karminową. – Mama wyszła za mąż.

Moje zaskoczone spojrzenie krzyżuje się z równie zaskoczonym spojrzeniem teściowej.

– Nic o tym nie wiem – tłumaczę.

– Mamó, no jak to? – Mela szarpie mnie za brzeg płaszcza. – Całowaliście

się, więc to już chyba twój mąż?

Mąż... Generalnie tak, ale nie mój i nie mąż.

\*

Doris.

– Jesteś?

– Jestem. A ty co robisz?

– Piszę właśnie pozew o alimenty. Chcę dostawać kasę, a nie ziemniaki. Mam już dosyć frytek, placków ziemniaczanych, pieczonych ziemniaków, zapiekanek ziemniaczanych...

– *Sorry*, że ci przerwę. Chciałam tylko cię ostrzec, że zupa krem z ziemniaków to porażka. Wychodzi coś jak krochmal, a wygląda i smakuje jak glut.

– Robiłaś?

– Tak.

– I co, wylałaś to gównem?

– Nie, jadłam to przez trzy dni.

– Jak napiszę ten pozew, to ci prześlę. Ty też musisz wnieść sprawę o alimenty. Kurwa, tak nie można żyć!

– A potem wpadaj do mnie. Mela została u dziadków.

– Dobra, tylko łóżko sobie pościelę, żeby już mieć gotowe, jak od ciebie wrócę.

\*

Promienie słońca rażą mnie w oczy. Przekręcę się na drugi bok i widzę...  
Doris?

– Beti, kurwa mać, zsuń to łóżko, bo całą noc leżę w jakiejś dziurze!

– Jaką całą noc? Jest siódma rano, a położyłyśmy się o piątej.

– I co ja robię w tym kocu?

– Mówiłaś, że ci zimno, i błagałaś, bym cię przykryła.

– Zabieraj to cholerstwo ze mnie!

– A właściwie to dlaczego nie poszłaś do siebie? Przecież nawet łóżko sobie pościeliłaś.

– Nie mam pojęcia. Ale wiem jedno, jak jeszcze raz obudzę się obok ciebie, to po prostu się zabiję. My musimy kogoś poznać. Kogoś normalnego. I mam plan. Zalogujemy się na Sympatii.

– Dobra. Zaraz po śniadaniu się do tego weźmiemy. Ja bym chciała jakiegoś starszego, bogatego gościa.

– A ja młodego i bogatego. Albo kogokolwiek na seks. A teraz daj mi jakiejś wody czy co.



## *Sympatyczne na Sympatii*

Jadę do pracy. Doris w tym czasie ma ogarniać nasze profile. Jesteśmy podeksycytowane. Po dwóch godzinach nie wytrzymuję. Piszę jej: „No i co?”. „No i zajebicie. Ja mam już trzysta siedemdziesiąt sześć odpowiedzi”. „A ja?” „Czekaj, sprawdzę. A Ty... żadnej”. „Nie, to niemożliwe!” „Spokojnie, Beti, po prostu zapomniałam uaktywnić Twój profil. Już to robię”.

\*

Mario wpada bez zapowiedzi. Co jest? Ma jakiś szósty zmysł? Pierwszy raz nie rzucam mu się w objęcia. Siedzę nadal przed komputerem i kończę mailowanie z moim nowo poznanym znajomym z Sympatii.

- Coś się stało? – pytam, podnosząc głowę znad ekranu.
- Nie. – Jest lekko zdezorientowany.
- Czekaj, zaraz skończę, to pogadamy.
- A właściwie to co ty robisz?
- A, bo zalogowałyśmy się z Doris na Sympatii.
- Co?
- No to, co ci właśnie mówię.
- Ale po co?
- Jej, no jak po co? Bo mamy dosyć samotnych wieczorów spędzanych we własnym towarzystwie. Chcemy kogoś poznać.
- Ale przecież masz mnie.
- Ciebie? Mario, bez urazy, uwielbiam cię, wiesz o tym, dałabym wszystko, żebyśmy mogli być razem, ale nie mam ciebie. Jesteś tylko wisienką na torcie, a ja chcę całego tortu. Niedługo mam wesele kuzynki. Pójdiesz ze mną? Nie, nie musisz odpowiadać, ha, ha.
- Dobra, pokaż mi swój profil. Jakie dałaś zdjęcie?
- Proszę, zobacz. – Podsuwam mu laptop.
- Beti, czyś ty doszczętnie zwariowała? – wrzeszczy na mnie nagle. – Przecież ty tu prawie goła jesteś! Całe cycki ci widać!
- Nie przesadzaj, jestem w stroju kąpielowym.
- Dobra, rób, co chcesz, ale moim zdaniem wyglądasz jak lep na wszystkich zboczeńców.
- Mam sobie zrobić fotkę w golfie i okularach?
- Nie, wystarczy w jakimkolwiek ubraniu.
- Dobra, Mario, masz coś ważnego do mnie? Bo ja tu się na randkę umawiam.

- Nic nie mam. Chciałem cię tylko zobaczyć. Zaraz muszę być u ginekologa.
- A co? W ciąży jesteś? – drwię w żywe oczy.
- Bardzo, bardzo śmieszne – cedzi przez zęby.

Sprawdzam skrzynkę odbiorczą. Jest odpowiedź od tego fajnego gościa, do którego napisałam. „Będę z Tobą szczerą – nie jestem w stanie związać się z kobietą, która ma dziecko. Nie udźwignąłbym tego ciężaru”. Czuję się, jakbym dostała w twarz.

\*

Doris ma dziś randkę. Stroi się, maluje i leci na miasto. Po trzech godzinach wraca rozanielona.

– Kurczę, nie wierzę! – wybucha. – Było cudownie! On jest wspaniały! Dogadujemy się w pół słowa!

- Co ty gadasz? – Aż siadam z wrażenia. Wystarczy, że ona biega po pokoju.
- Czy to możliwe?
- Co?
- Żeby to było takie proste. Poznanie właściwego faceta.
- Nie wiem, dla mnie to nie jest proste.
- Dobra, nie mam czasu. Muszę się przebrać, bo on mnie zaprosił na piknik.
- Dwie randki jednego dnia? – dziwię się. – I to z tym samym facetem? No,

no.

- Odezwę się później. Pa.
- No, koniecznie, koniecznie.

Otwieram piwo. Nie jadłam nic cały dzień z tych emocji. Robi mi się smutno, bardzo smutno. Kładę się na kanapie i zamykam oczy, bo sufit zaczyna mi podejrzanie wirować. Z letargu wyrывa mnie telefon. Dziwny kierunkowy. Egipt! Kucharz z hotelu.

– *Are you OK?* – pyta.

– Kochanie, jak dobrze, że dzwonisz – zaczynam. – Ty nawet nie wiesz, jak mi źle i jaka jestem samotna. Jeden mnie nie chce, bo będzie miał dziecko, drugi mnie nie chce, bo ja mam dziecko...

– *Are you OK?* – powtarza, jakby po polsku nie rozumiał. A, przecież rzeczywiście nie rozumie.

– No przecież ci mówię, że nie OK! Ale dzięki, że pytasz.

– *I miss you.*

– Chcesz przylecieć? U nas zima niebawem, tyłek ci tylko zmarznie.

Połączenie przerwane. Pi, pi, pi.

Idę spać.

\*\*\*



Doris nadal ma ten rozanielony uśmiech na twarzy. Kurczę, nie potrafię z nią gadać, jak taka jest. Opowiadam jej o telefonie od kucharza, ale ta błądzi gdzieś wzrokiem i generalnie ma gdzieś to, co mówię.

– Aż tak jest dobrze? – pytam w końcu.

– Tak – wzdycha.

– Jak on ma na imię?

– Rudi.

– Że co proszę?

– No, Rudolf.

– Kiedy się teraz widzicie?

– Dzisiaj. Zaprosił mnie do siebie na kolację.

– Do domu? – wykrztuszam.

– Słuchaj, to będzie tak. Podam ci jego adres i numer telefonu, a ty będziesz do mnie pisała SMS-y co pół godziny. Jak przestanę odpisywać, to znaczy, że coś nie tak. Wtedy przyjedź.

– „Nie tak” to znaczy, jak cię zgwałci albo zamorduje? Od razu mam z policją przyjechać czy jak?

– Po prostu czuwaj.

– Tylko nie idź z nim od razu do łóżka – ostrzegam.

– Co ty! Nie mogę. Muszę go przetrzymać, co najmniej miesiąc.

– No, teraz to widzę, że wpadłaś jak śliwka w kompot.

– Beti, boję się – szepce Doris.

– Czego? Tej kolacji? Czy tego, że jednak się z nim prześpisz?

– Miłości się boję.

\*

Odpalam komputer. No, widzę, że mam tu pełną skrzynkę zainteresowanych mną kandydatów. Czytam:

„Co powiesz na szybki numer?”

„Lubisz bondage?”

Ludzie kochani! Wiem, co to jest szybki numer (nie, dzięki, koleś), ale bondage? Sprawdzam w Wikipedii. Skrępowana linami kobieta w obroży i w kagańcu. Przesyłam od razu tę stronę do Doris. Może ona lubi, ha, ha.

„Co powiesz na seks w luźnym związku?”

Powiedzieć ci mogę dużo, ale chyba nie na rozmowie ci zależy!

„Spotkamy się w realu?”

A, tu odpisuję: „Ja w Lidlu robię zakupy i nawet nie wiem, gdzie jest najbliższy Real”.

„Nie będę oszukiwał – jestem żonaty i chcę kogoś do seksu”.

Aha, to żona jest tylko od prania i gotowania, a do seksu to się szuka gdzieś

indziej? Przysięgam, że nie rozumiem facetów i świata w ogóle. Już mam ochotę wyjść z tej strony, ale dostaję jeszcze jedną wiadomość.

„Piszesz, że jesteś samotna, ale przecież masz dziecko...”

Zaczynamy ze sobą pisać. Facet jest superinteligentny i zabawny. Kiedy pytam, czym się zajmuje, odpowiada mi, że kończy pisać swoją drugą powieść. Po prostu padam. Piszę, że ja właśnie robię to samo. Przesyła mi swoje opowiadanie. Fenomenalne! Po dwóch godzinach pisania (w tym czasie nawet nie odebrałam telefonu od Maria) umawiamy się na randkę. Ma na mnie czekać pod blokiem tego faceta Doris. Idealnie to wymyśliłam. Pojadę z nią samochodem, potem on mnie odstawi w to samo miejsce i wrócimy razem do domu. Bosko!

Dzwonię do niej.

– Mam go! – oznajmiam z dumą.

– Co?

– Mam swojego idealnego faceta! Umówiłam się na wieczór.

– Prześlij mi jego fotkę.

– O rany... On nie ma fotki na profilu.

– Nie! Umówiłaś się z gościem, nie wiedząc, jak wygląda?

– Tak, bo to nie ma znaczenia. On jest pisarzem, kończy teraz drugą książkę.

– Jak ty?

– Nieźle, co?

– Weź ty jednak tę fotkę od niego, co? Bo jak będzie wyglądał jak gówno, to go nawet pisanie powieści nie uratuje.

– Ale ty płytka jesteś, wiesz?

– Praktyczna po prostu.

W skrzynce wiadomość: „Jesteś pierwszą kobietą, z którą tak długo rozmawiałem i która nie zapytała o moje zdjęcie”.

No i nie zapytam!

\*

Wybieramy się na randkę. Stoimy już wystrojone w drzwiach, kiedy dostaję SMS-a. „Wysłałem Ci swoje zdjęcie na maila”. No, to nadeszła pełna napięcia chwila. Otwieram załącznik, i...

– No i ty, moja droga, to się już rozbieraj – radzi Doris.

– Nie, nie ma mowy. Co z tego, że jest gruby i łysy i że wygląda jak Shrek? Czy ty myślisz, że ja mogę coś takiego zrobić temu człowiekowi? Powiedzieć, że, owszem, fajnie się gadało, ale jesteś brzydki jak kupa? Jak to by o mnie świadczyło? Doris, ty weź się zastanów! A poza tym jeżeli na żywo będzie mnie umiał rozbawić tak jak w mailach, to chrzanię jego wygląd. Tyle ci powiem, koleżanko!

– Rób, jak chcesz, ale ja na twoim miejscu...

– Wiem, ale ja nie jestem tobą.

SMS: „Zrozumiem, jeśli nie będziesz jednak chciała się spotkać”.

„Nie, wszystko OK” – odpisuję.

„Powiedz szczerze, bo czuję, że coś nie tak. Już nie piszesz do mnie tak jak wcześniej.”

„Cholera, jak mam pisać, skoro stoję już w drzwiach? Jadę. Czekaj na mnie”.

– Ty, Doris, on ma jakieś kompleksy w związku z tym wyglądem.

– Ja się nie dziwię – chichocze koleżanka.

– Jedźmy już lepiej.

\*

– Rudi! – krzyczy Doris pod blokiem. – Zobacz, załatwiłam nam panienkę na wieczór.

Ten wygląda przez okno, ale nie daje się wytrącić z równowagi moim widokiem.

– Wchodźcie, mam dużo makaronu.

– Nie, ja tu ją przywiozłam i tu będę na nią czekała – odkrzykuję.

Nagle pojawia się mój amant. Sto kilo żywej wagi i łysa głowa.

– Ochroniarza też mamy – informujemy skołowanego Rudiego.

– Proszę, to Beti – mówi Doris do mojego równie skołowanego partnera. –

W tym stanie ją daję i w tym ma wrócić. Protokół zdawczo-odbiorczy trzeba jeszcze podpisać.

Śmiejemy się obie i każda oddala się w swoją stronę, czyli Doris na górę, a ja do samochodu.

\*

– Blisko jesteście z Doris, prawda? – pyta Michał, bo tak mu na imię.

– Tak, chyba tak.

Cisza zapada. Samochód ma niezły, terenowe mitsubishi, nówka. Jedziemy do knajpy. Może wreszcie zjem coś porządnego, czyli myślę, że za ziemniaki dziś dziękuję, mam przesyt. I nie wiem sama, jak to się dzieje, że zamawiam jednak placki ziemniaczane z sosem grzybowym. Przyzwyczajenie drugą naturą człowieka?

– No i jak na tej Sympatii? – pytam Michała.

– Co masz na myśli?

– Czy często masz randki? Czy udane? Takie tam.

– Nie chciałbym o tym mówić.

– Och, przestań. Jakieś zabawne sytuacje?

Michał milczy. Bawi się widelcem i nie patrzy mi w oczy. Dziwne. Gdzie się podziało nasze mailowe porozumienie, jego dowcip i elokwencja?

– Słuchaj, no, powiedz coś – nalegam. – Będziemy tak siedzieli w milczeniu?

Cisza.

– Słuchaj, czy ty masz problemy z komunikacją międzyludzką? – wypalam.  
– Bo mam wrażenie, że łatwiej ci się pisze, niż rozmawia.

– Tak.

Aha, no i co dalej? Wyciągnijmy długopisy i piszmy na papierowych serwetkach?

– Dobra, opowiedz mi o chociażby jednej randce.

– OK, umówiłem się z kobietą, która jeszcze przed randką zadzwoniła i powiedziała, że gdyby ewentualnie do czegoś między nami dziś doszło, to żebyś był dla niej dobry i nie myślał o niej źle.

Omiał nie spadać z krzesła ze śmiechu.

– Nie żartujesz?

– Nie.

– I co? Doszło do czegoś?

– Tak.

– No i?

– No i na drugi dzień zadzwoniła z pretensjami, że nie byłem dla niej dobry.

– Wiesz co, to żenujące. Co za desperatka.

Michał zamyka się znowu w sobie.

– Dlaczego desperatka? Bo poszła ze mną do łóżka, mimo że jestem taki brzydki?

– Ty masz obsesję na punkcie swojego wyglądu! – wściekam się. – Jak jakaś baba! Desperatka, bo nie chodzi się do łóżka na pierwszej randce, nawet jak facet jest piękny. A ona i tak to brała pod uwagę, nie wiedząc jeszcze, jak wyglądasz, czy tak?

– No tak.

– Kim była z zawodu? – pytam, żeby mieć już komplet informacji.

– Nauczycielką polskiego.

– O Boże! – wybucham śmiechem. – Dobrze, że nie posłuchałam matki w kwestii swojego zawodu. Jej marzeniem było, żebyś uczyła polskiego w szkole. Ale opowiedz mi jeszcze jedną historię.

– Raz umówiłem się z kobietą u niej w domu. Zjedliśmy coś, pogadaliśmy i wyszedłem. Było miło.

– No i?

– No i na drugi dzień dostałem kilkadziesiąt SMS-ów z wyzwiskami. Że świnią ze mnie i cham, bo jej nie przeleciałem.

– I jak wybrnąłeś?

– Napisałem jej w końcu, żeby przestała, bo wiem, gdzie mieszka.

Podziałało.

Znowu zapada niezręczna cisza. Widzę, że ręce mu się pocą i że dużo go kosztowała ta pozornie luźna rozmowa. Pod stołem piszę SMS-a do Doris, że będę u Rudiego za dwadzieścia minut. Czas wracać do domu.

– Odwieź mnie – mówię.

– Dobrze.

W samochodzie już nie wytrzymuję i pytam:

– Czy ty przypadkiem nie masz zespołu Aspergera?

– Mam. Nie rozumiem emocji, boję się ludzi, nie wiem, kiedy ktoś żartuje, a kiedy nie. Umieję tylko pisać. Wtedy mi łatwiej.

– No cóż, nie jest źle. Pomyśl o aspergerze, który nie potrafi pisać. Nie ma wtedy żadnego sposobu, żeby mógł się wyrazić.

– Skąd wiesz tyle o tej chorobie?

– Ojciec mojego dziecka – wzdycham. – Wpisałam kiedyś w wyszukiwarce wszystkie jego zachowania i wyskoczył mi zespół Aspergera.

– Przykro mi.

– Tobie? To mnie jest przykro, bo to ja natrafiam na takich typów. Dziwnych, zamkniętych w sobie odludków, którzy ani nie rozumieją moich emocji, ani nie potrafią wyrazić swoich.

– Słuchaj, jak ja dłużej z kimś pobędę, to bardziej się otwieram. Trzeba tylko mieć do mnie cierpliwość.

– Nie! – przerywam mu. – Nie mam na to siły. Jeszcze kilka lat temu miałam, ale dziś mam dosyć swoich problemów. Mam też córkę, której muszę zapewnić normalność.

Znowu cisza, gęsta jak syrop klonowy. W takiej ciszy żyłam przez kilka lat z Romanem. Nie było sensu mówić, bo on i tak wszystko rozumiał opacznie, nie było sensu żartować, bo on i tak się nie śmiał. A mój towarzysz w końcu przemawia:

– Może pojedziemy do mnie?

– Słucham?

– Rano cię odwiozę. Nie dojdzie do niczego, czego byś nie chciała.

No cóż, asperger czy nie asperger – i tak wszystkim chodzi o to samo.

– Nie!

– Przez mój wygląd? – Michał znów zapada się w siebie.

Eksploduję.

– Człowieku, nie! Nie wszystko kręci się wokół twojego wyglądu! Ty masz obsesję! Wyglądasz normalnie, ale nienormalne jest twoje zachowanie. A ja nie zamierzam chodzić koło ciebie na paluszkach i pilnować, żeby cię nie urazić, bo jak na przykład powiem, że nie chcę na śniadanie jajek, to ty pomyślisz, że na pewno nie chcę tych jajek od ciebie, bo jesteś taki brzydki. Jasna cholera! Dlaczego

mnie to spotyka?

\*

Dzwonię domofonem do Rudiego.

– Ja po Doris – oznajmiam.

– „Ja”, czyli kto?

– Koleżanka.

Wchodzę na górę.

– No, to co tam macie do jedzenia? – pytam, podnosząc pokrywkę z patelni.

– Nałożę ci. – Rudi podbiega do mnie. – Może podgrzać? To makaron z łososiem, rukolą i orzeszkami.

– Co za odmiana! Nie, zjem na zimno z patelni, nie fatyguj się. Poproszę też drinka.

– Jak ty masz na imię?

– Beti.

Doris patrzy na mnie w lekkim szoku.

– No co? – pytam. – Przecież napisałam ci SMS-a, że będę za dwadzieścia minut. Nie odpisałaś, więc tym bardziej się zaniepokoiłam. I oto jestem.

– Nie przeczytałam tego SMS-a bo, no wiesz, byliśmy troszeczkę zajęci. A jak u ciebie?

– Pełen sukces.

– Tak?

– Tak. Sukces, bo samodzielnie zdiagnozowałam u niego zespół Aspergera. Dobra, Doris, nie męcz mnie. Już chyba do końca życia będę się spotykała z Mariem, no chyba że Rudi ma jakiegoś kolegę. Rudi, masz kogoś dla mnie?

– Czekał, niech pomyślę. Wstań, pokaż się.

Okręcam się wokół własnej osi.

– I jak? – pytam.

– Jest OK. Chyba dam radę kogoś znaleźć. Czekał, jak ty masz na imię?

– Mówiłam ci już. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Ważne, żebyś wiedział, że ta tutaj to Doris.

Rudi już nieźle wcięty, ale jest przeuroczy w tym stanie.

– A jaki masz stosunek do dzieci, kochany? – pytam. Doris zabija mnie w tym momencie wzrokiem.

– Nie znoszę, mam na nie uczulenie – odpowiada z rozbijającą szczerością Rudi.

– To jest problem, bo my w sumie to mamy dwójkę, Melę i Jasia.

– Beti! – syczy Doris. – Ja cię ostrzegam!

– Doris, ty się zbieraj już, bo jest druga w nocy – mówię tylko.

Wychodzimy.

– Ja cię kiedyś zabiję – stwierdza Doris w samochodzie.  
– Jezu, jaka ja jestem zmęczona tym wszystkim – jęczę. – Do domu mnie  
zawieź.

\*

Mario.

– Jak tam randka, kochana?

– Beznadziejnie.

Słyszę, jak oddycha z ulgą. Opowiadam mu w skrócie wczorajszy wieczór.

– Widać jestem skazana na ciebie – kończę wywód. – Choć robię, co mogę.

– Będziesz jeszcze próbowała się umawiać?

– Tak, tylko trochę odetchnę.

– O której Melę z przedszkola trzeba odebrać?

– To ty nie wiesz, o której dziecko masz odebrać?

– Oj, wiem, będę o szesnastej.

– Pa.

Wpada Matylda.

– Jak tam na tej Sympatii? – ekscytuje się.

– Posucha na razie.

– Pokaż mi tych facetów.

Podaję jej laptop.

– Do tego napisz. – Wskazuje mi jakieś zdjęcie.

Piszę. Pytam, gdzie mieszka, bo może jesteśmy sąsiadami. Dobrze by było,  
wygodnie. A i owszem, okazuje się, że mieszka trzy ulice dalej.

– Pisziesz nową książkę? – zmienia temat Matylda.

– Tak, a co?

– Bo mam prośbę. Napisz w niej, że otworzyłam butik z ekskluzywną  
odzieżą biznesową dla kobiet.

– No co ty, to byłaby kryptoreklama.

– Oj, napisz, że kupiłaś tam coś fajnego.

– Matyldo, jeśli tylko będzie mnie stać na to, żeby coś u ciebie kupić, to  
natychmiast obwieszczę to światu, a tymczasem...

– Masz problemy finansowe?

– Delikatnie mówiąc.

– A jak związek z Mariem?

– Dobrze.

– Ale to takie toksyczne... Powinnaś się od niego uwolnić.

– Wiem, ale tymczasem to jedyne, co mam.

– Ale przecież nic nie masz.

– Jezu, Matylda! Może tak mi jest wygodnie? Może boję się, że jak spotkam

wolnego faceta, to zaraz wejdzie mi tu z butami i stworzy nowe problemy? I nie będę mogła się go pozbyć?

– Tak jak Borysa?

– Tak, właśnie. Mela do tej pory za nim tęskni, a ja już nie mogłam na niego patrzeć. Był wszędzie. Otwierałam lodówkę, a tam Borys. Teraz tylko pierścionek zaręczynowy po nim został. A tymczasem jest bezpiecznie. Mario mi nie zagraża.

– Ale stoisz w miejscu.

– Nie zawsze trzeba pędzić do przodu.

– To po co ta Sympatia?

– Żeby się upewnić, że nie ma normalnych facetów i że nic nie tracę.

A szczerze mówiąc, to już sama nie wiem, o co mi chodzi.

– Może o to, żeby się coś działo?

– Może...

\*

Siedzę na przystanku, czekając na autobus. Przed chwilą jeszcze wysłuchałam ochów i achów Doris, jaki to Rudi jest cudowny i że dziś będą jeździć rowerami, a potem kolacja u niej. No, z lekka mnie zemdliło. Autobusu nie ma. Obok mnie na ławce facet z córką mniej więcej w wieku Meli rozmawia przez komórkę z kobietą, która stoi po drugiej stronie ulicy.

– Tak, kochanie. Tak, już tęsknię. Będziemy tak szybko, jak się da.

Ach, co za para!

Po chwili zamawia taksówkę, bo autobusu ani widu, ani słyhu.

– Może zabiorę się z wami? – pytam.

– Jasne.

Gadamy o dzieciach, o przedszkolu, o tym, że jego córka chodzi do prywatnego, mimo że nie bardzo ich stać.

– U nas w przedszkolu jest chyba jeszcze miejsce. Mogę zapytać.

Okazuje się, że mieszkają w sąsiednim bloku. Wymieniamy się numerami i wysiadam. Chcę zapłacić, ale on oczywiście się nie zgadza.

No i są normalni faceci? Są.

\*

Wpada Doris. Minę ma nietęgą.

– Co, rozstaliście się już? – pytam, no bo czego innego można się spodziewać.

– Nie, gorzej.

– Czyli?

– Zakochałam się w nim.

Doris siedzi skulona, ukrywając twarz w dłoniach. Nie wiem, co robić.



- Weź się opanuj! – Potrząsam nią. – To do ciebie niepodobne. To ja zawsze się zakochiwałam, a ty mnie podnosiłaś na duchu. Nie umiem zamienić się rolami.
- Jest źle. Bardzo, bardzo źle.
- Fakt.
- Idę spać.
- A do nas ma przyjść zaraz Margo z córką. Dziewczynki mają mieć pizama party z nocowaniem.
- Współczucia.
- \*

Dzwoni Doris.

- Wiem już, jak to rozegrać! Będę niedostępna. Wiesz, żeby on się nie zorientował, że mi zależy. Czyli na SMS-y będę odpisywała krótko, bez emocji. Nie będę pierwsza dzwoniła. No i żadnego seksu przez miesiąc, co najmniej.
- Przecież on pomyśli po prostu, że nie chcesz z nim być.
- Nie, niech walczy. Niech o mnie zabiega. Muszę go w sobie rozkochać, nie mogę być zbyt łatwą zdobyczą.
- Świetny plan. I co dalej? A jak on wpadnie na taki sam pomysł i też zacznie cię olewać? Rozminiecie się.
- Wiem, że jak mu za szybko ulegnę, to przegram.
- Ale to nie znaczy, że masz nie okazywać uczuć.
- Ty zawsze okazujesz i co?
- I nic. Ale ty nie okazujesz i też nic.
- Nie, głowa mnie boli od tego wszystkiego.
- Wyluzuj.
- Łatwo ci mówić.
- \*

Mela z koleżanką wystroiły się w białe suknie. Mela oczywiście w tę z jasełek. Noc z dziewczynkami w jednym łóżku była koszmarem. Teraz powywracały wszystko do góry nogami i w tych pięknych strojach wybierają się na plac zabaw. Dobra, wszystko mi jedno.

Siedzimy z Margo na ławce i obserwujemy swoje pociechy nurzające się w brudnym piachu. Telefon.

- Słuchaj, tu Paweł z Sympatii.
- Ach, ten, co mieszka trzy ulice dalej.
- Tak?
- Może wpadłbym na chwilę? Poznalibyśmy się.
- Jestem na placu zabaw. Z dzieckiem.
- Nie szkodzi.

– Dobra, czekam.

Margo patrzy pytająco.

– No co? Mam zaraz randkę.

– To może niech on po drodze jakieś przekąski i zakąski nam kupi? Piwo? Chipsy?

– Nie wiem, czy to nie będzie ostatnia randka, jeśli go o to poproszę – śmieję się.

– To ja się zmywam do domu. Odezwij się potem.

– Zdam relację.

\*

Idzie. Łuna aż mi bije po oczach. Białe buty, białe skarpetki, białe spodnie i koszulka. No nie! W ciągu dziesięciu minut dowiaduję się, że ma firmę budowlaną. Poznaje także wszystkie szczegóły na temat obecnie prowadzonych przez niego robót. Tłumię ziewanie. Ratuje mnie Mela.

– Mamo, do domu!

– Widzisz, ja mam z córką taką umowę – jeśli facet mi się nie podoba, to mrugam do niej i ona wtedy woła: „Mamo, do domu!”.

– Żartujesz, prawda?

– Jasne, że tak, tak naprawdę to woła mnie wtedy, jeśli koleś nie jest tak samo fajny, jak jej strój aniołka z jasełek. Ma go właśnie na sobie. Tak czy siak muszę lecieć.

Zostawiamy Mr White’a na placu i wracamy do domu.

Wieczorem dostaję od niego SMS-a. „Dziękuję, że jesteś”. No, to już przesada, naprawdę.

\*

Idę do przedszkola. Zapytam w końcu o to wolne miejsce dla córki sąsiada. Nie ma już, niestety. Dzwonię do niego.

– No, to trudno – on mi na to. – A gdzie ty jesteś?

– Wchodzę na osiedle.

– Tak? Ja tu siedzę na ławce przy placu zabaw.

No, siedzi, rzeczywiście. Z browarem już, a jest dziewiąta rano. Gadamy chwilę. Pytam o jego żonę.

– A nie, to nie żona. – Macha ręką lekceważąco. – Tylko mieszkamy razem z Pauliną.

– Jak to „tylko”? Chyba macie razem dziecko?

– No tak.

– A ty czym się zajmujesz? – pyta.

– Piszę, a poza tym robię makijaże. Co oznacza, że głównie siedzę w domu.

– A ja jestem architektem. Też pracuję w domu. Ale naprawdę piszesz?

– Naprawdę. Piszę powieści.

– Kurde, jak ja bym chciał być bohaterem takiej powieści – wzdycha.

Jasne, niedoczekanie twoje.

– Lecę do domu.

Po chwili SMS. „Co robisz?” „Nic, weszłam do domu”.

Dziwne.

Zaczynam robić kotlety. SMS. Jeden, drugi, trzeci. Czytam. W czwartym jest: „Jeśli nie chcesz, żebym pisał, to napisz”. Nie mam zamiaru.

Dzwoni Mario.

– Dobrze, że dzwonisz, ja zaraz obłądu dostanę. Zaczynam nienawidzić facetów.

– Co się stało? W ogóle opowiadaj, co u ciebie i twojej sąsiadki.

Opowiadam.

– Aha, czyli wszystko OK? – śmieje się Mario. – Rudi zakochany, sąsiad zakochany.

– I Mr White też zakochany – dodaję.

– Wy to macie ciekawe życie...

– Nie, bo nie mam pojęcia, dlaczego muszę w ogóle rozmawiać z tymi facetami, skoro tak naprawdę mam ochotę rozmawiać tylko z tobą!

– Wiesz, jak jest.

– A ty wiesz, że ja cię kocham.

– Boże, Beti! Czy ty możesz się jutro rano obudzić i już mnie nie kochać? Byłoby ci łatwiej.

– No jasne, że mogę! – wykrzykuję. – Że też sama wcześniej na to nie wpadłam! To ja się rozłączę i utnę sobie szybką drzemkę. Może ona wystarczy?

– Wiesz, że za tobą szaleję? – jak zwykle stara się załagodzić sprawę.

– Wiem, co nie przeszkadza ci równoległe wic gniazdka z inną. Wyjdź stąd bo tylko mnie denerwujesz!

\*\*\*

Dziś jest TEN dzień. Dzień, w którym odda się Rudiemu. Bo minął już miesiąc i przyszedł na to czas. Po pracy ma jechać do niego i zostać na noc. Kolacja ze śniadaniem. Udziela mi się jej zdenerwowanie, dopóki o godzinie siedemnastej trzydzieści nie wkracza do mnie z siatką piw.

– Odwołał!

– Jak to?

– No, odwołał! Napisał, że ma dużo pracy. Tyle!

– Nic już z tego nie rozumiem.

– Ja też nie.

Przez dalszą część wieczoru staramy się nakreślić portret psychologiczny Rudiego i znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego zrezygnował z seksu z Doris.

Przez całą noc dajemy radę udzielić nawet kilku odpowiedzi:

1. Przestraszył się miłości.
2. Boi się związać z kobietą z dzieckiem.
3. Za bardzo mu zależy na Doris i boi się, że przez to mu nie stanie (stres).
4. Za mało mu zależy na Doris.
5. Ma inną.
6. Ma małego fiutka.
7. Nie staje mu, bo za dużo pije.
8. Jest kretynem.

Żadna z tych odpowiedzi nie zadowala mojej zrozpaczonej koleżanki. Udaje nam się w końcu zasnąć.

\*

– Nie! – jęczy Doris rano. – Znowu?

– Wiem, wiem, kochana, planowałam obudzić się dziś obok Rudiego.

– Wiesz, jak chciałam tego poranka? – rozmarza się. – Zrobiłby mi śniadanie...

– Czeka! – Zrywam się z łóżka. – Mam chyba jakieś jajka w lodówce czy coś.

– Och, nie chcę nic. Mam doła.

– Wiesz co, nigdy nie cieszył cię mój widok rano, ale dziś to już przeginasz. Zaraz będzie mi przykro. Czeka, jakiegoś SMS-a dostałam.

„Spotkamy się wieczorem? Wypijemy wino”.

– Zobacz, to ten napalony sąsiad, co ci mówiłam.

– Co za świr! Napisz mu, że owszem, wpadniesz z dzieckiem, Mela pobawi się z ich córką, ty zrobisz Paulinie makijaż, a on... a on niech w tym czasie wino wypije.

Piszę. Odpowiada: „Ty nie rozumiesz? Będę sam, Paulina dziś wyjeżdża”.

– Zobacz, jacy są faceci! – Pokazuję telefon Doris. – Jak sobie wymyślił. Dziewczyna rano do pracy, a w bloku obok gorąca sąsiadka. Układ niemal idealny!

– Ty lepiej mu napisz, że niech on z tym winem tutaj przyjdzie, postawi pod drzwiami i szybciotko spierdala.

– Dobrze, dobrze, ale nie. Ja wiem, co zrobię. Jak spotkam tę Paulinę, to powiem jej o tym po prostu.

– No pewnie, że powiedz! Dobra, lecę.

– Ja też się ogarnę i idę po Melę.

\*

Stoję z Melą na przystanku. Obok mnie kobieta z dzieckiem. O cholera, Paulina! Poznają po córce. No i co teraz? Mam jej powiedzieć o wszystkim i odrzec jej życie ze złudzeń? Pokazać jej SMS-y? Tylko że skoro zrobię ten krok, to zaraz potem powinnam pojechać do Wesołej i oświecić też dziewczynę Maria. Prawda zwycięża czy prawda zabija? Przyglądam się jeszcze chwilę tej kobiecie, która jest niczego nieświadoma i siedzi na ławce, przytulając swoją córkę. I odchodzę stamtąd. Muszę skończyć z Mariem. Wiem, że kiedyś na przystanku mogę spotkać jego kobietę z dzieckiem.

\*

Dzwoni Bonia.

– I z kim ty przyjdiesz na moje wesele? – pyta.

– Z Melą.

– Oj, ja się pytam poważnie.

– No to co, mam cię oszukać, że kogoś mam?

– Słuchaj, bo ja do jutra muszę zapłacić za gości.

– No, to za Melę nie płać, bo to dziecko i tak nic nie je, a gdybym tego partnera w końcu znalazła, to powiem mu, żeby sobie kanapki wziął.

– Ale chodzi też o liczbę krzesełek.

– To weźmie sobie jakieś turystyczne czy co.

Dzwoni mama.

– Słuchaj, jest taka sprawa, twój brat będzie z dziewczyną na weselu.

– Tą, co udało mu się ją ukryć przed nami przez trzy lata?

– Tak. No i my mamy zakaz odzywiania się do niej, zadawania pytań i w ogóle gadania głupot. To prośba do ciebie w szczególności.

– No wiesz co, mamo!

– Tylko przekazuję jego słowa.

– To przekaż mu, żeby mnie w nos pocałował! W ogóle co za kretyńka z tej dziewczyny, że chce z nim być? I ona nie będzie się dziwiła temu, że jego rodzina taka milcząca?

– Ja tam mogę udawać głuchoniemą, ty też, Dominika uda, że mówi tylko po angielsku, Kim polskiego nie zna, więc nie ma problemu. Jakoś damy radę.

– Ja mówię od razu: nie wiem, czy ja dam radę.

\*

– Dziś jestem umówiona z Rudim – oznajmia rano Doris. – Śpię u niego. Chyba wezmę na jutro urlop, wiesz?

– No pewnie, przyda ci się odpoczynek, zwłaszcza po upojnej nocy.

– Ciekawe, jak będzie... – rozmarza się.

– Informuj na bieżąco.

– No pewnie, nie będę miała co robić!

O godzinie siedemnastej trzydzieści wkracza Doris.

– Nie zgadniesz...

– Zgadnę. Odwołał?

– Tak.

Doris siada ciężko na kanapie i wzdycha.

– Już nic, kurwa, nie rozumiem.

– Co tu rozumieć? Ty chcesz dać komuś ciastko, a ktoś tego ciastka nie chce.

– Jakie ciastko? Ja mu tort chciałam dać, a on miał tylko na tym torcie świeczki zdmuchnąć.

– Tymczasem tort nadal płonie...

– Słuchaj, to w ogóle było tak. Już miałam brać ten urlop na jutro, ale pomyślałam, że jeszcze zapytam Rudiego, o której mam u niego być. Na to on, żebym mu dała dziesięć minut. I tyle. Nie odezwał się więcej.

– Ty, według mnie to on ma jakąś schizofrenię. Albo jest alkoholikiem, który nie panuje nad życiem.

– A propos, napijmy się, bo nie zniosę tego na trzeźwo.

Po drugim piwie Doris dochodzi do wniosku, że Rudi po prostu ją tak kocha, że nie jest w stanie się z nią przespać. Po trzecim jest w stanie się z nią zgodzić. Po czwartym jest nam to już obojętne. Po piątym Doris chowa się z telefonem w toalecie.

– Greg – słyszę – czy ty jesteś jeszcze moim przyjacielem? Greg, ja już nie rozumiem facetów. Nic a nic. Ty mi to wytłumacz. Jak to co się stało? Corvetta podjechała!

\*

– Co ty chrzanisz? Ja dzwoniłam do Grega?

– Tak.

– I ty mi na to pozwoliłaś?

– A co miałam zrobić? Ale swoją drogą zobacz, wprowadził się na osiedle i jakoś cię nie prześladował. Wręcz na odwrót, ty wydzwaniasz po nocy.

– Weź, bo się zaraz spalę ze wstydu.

\*\*\*

Jedziemy do Zamościa na wesele Boni. Jakiś wypadek po drodze, korek od Ryk do Lublina. Podróż trwa sześć godzin. W piątej godzinie dzwoni mama i pyta:

– A wy gdzie jesteście?

– Jesteśmy, babciu, w autobusie – odpowiada jej Mela.

Proste i logiczne!

W końcu docieramy. Nini i Dzidzius już się nie mogli doczekać, kiedy Mela

przyjedzie. Mela już się nie mogła doczekać, kiedy zobaczy swoją weselną kreację, bo Bonia kupiła dla niej i Nini takie małe ślubne sukienki i białe futra. Będą wyglądały jak panny młode. Mela ma nieść kwiaty, a Nini obrączki.

– Mamo, ale jak ten twój syn przywiezie dziewczynę, to gdzie ty ich położysz spać? – pytam. – Może w tym moim pokoju? Tam zimno, nie ma kaloryfera, to może im głupoty żadne do głowy nie przyjdą?

– No co ty – wtrąca się Dominika. – A jak z tego zimna pod tą kołdrą zechcą się rozgrzać? Może lepiej położyć ich w moim ciepłym pokoju i jeszcze im farelkę włączyć?

– A jak z gorąca się porozbierają do naga? – oponuję. – Mamo, co robić?

– Was nie upilnowałam, to i jego nie upilnuję – wzdycha z rezygnacją mama.

\*

Na drugi dzień wszyscy pięknie wystrojeni udajemy się do kościoła. Mela pyta:

– A potem już wracamy do domu?

– Nie, potem jedziemy do restauracji.

– O, to super! Mam trochę pieniążków, to zamówię sobie frytki z ketchupem.

– Mela, tam wszystko jest za darmo. Możesz brać, co chcesz.

– Mamo, ja nie rozumiem... Naprawdę?

I to całe moje dziecko. Nienawykłe do luksusów.

Ceremonia jest urocza. Dziewczynki kroczą dumnie przed parą młodą, prowadząc ją do ołtarza. Wyglądają jak miniaturki Boni w tych białych koronkach i futrach.

Potem wesele. Siadamy koło wujka Cebuli i jego żony.

– Beti, to plan jest taki – zaczyna wujek. – Do dwunastej pijemy, od dwunastej do drugiej pijemy ostro, a od drugiej do czwartej trzeźwiejemy.

– Dobrze, wujku.

– Słuchaj, moja droga – mówi po pierwszym kieliszku. – Mnie się w głowie nie mieści, że ty jesteś sama na tym weselu. No co, ubyłoby komuś, jakby z tobą przyszedł?

– Wujek, to chyba kwestia tego, że by mu przybyło.

– Co?

– No, kobieta z dzieckiem by mu przybyła.

– Ja jakbym miał taką żonę jak ty, tobym ją na ołtarzu postawił i się do niej modlił – to już tekst chyba po trzecim kieliszku.

– Ale ja wcale nie chcę siedzieć na ołtarzu!

– Moim zdaniem ty nie masz żadnych wad.

– Ty już więcej nie pij, wujek. Dobra, idę łapać welon.

No i proszę, złapałam.

– Mamo, zrób mi zdjęcie z tym welonem na głowie – proszę. – I pamiętaj, tę fotografię umieście potem na moim nagrobku. Obiecuj mi to.

– Oj, dziecko, dziecko!

– Mamo, to dla mnie bardzo ważne. Świat musi mnie taką zapamiętać.

Wesele się kończy, wszyscy wracamy do domu. I proszę, udało mi się nawet nie rozmawiać z dziewczyną brata. Jestem z siebie dumna.

\*

Budzę się rano. Idę do lustra. Nie, czy to możliwe, że jeszcze kilka godzin temu człowiek siedział sobie umalowany, wystrojony, zadowolony, a teraz wygląda jak kupka nieszczęścia? No niestety. W dodatku natykam się w korytarzu na brata, który syczy:

– Ja cię kiedyś zabiję. Mówiłem, nie odzywaj się do mojej dziewczyny, to musiałaś się do niej przychrzanić i opowiadać jej o jakimś pokoju z farelką!

Umykam przed nim do kuchni. Tam dowiaduję się, że nie tylko ja ciężko zniosłam wesele. Ponoć Kim obudził się w apartamencie dla nowożeńców i nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest. Śmiertelnie się wystraszył. A potem mama nakryła go na porannych modłach. Klęczał na podłodze, trzymając się za głowę i jęcząc: „Oh, my God, oh, my God”. A niby ateista.

\*

Dzwoni ciotka Do.

– Jestem teraz w Niemczech – oznajmia.

– A co ty tam robisz? – dziwię się. – Przecież niedawno byłaś w Belgii, szczęśliwa ze swoim facetem.

– Tego kwiatu to pół świata, a ja jestem tam, gdzie mi lepiej.

– Co ty gadasz? Przecież on był w tobie taki zakochany.

– Ojej, zakochał się we mnie, to i w innej może się zaraz zakochać. Wierz facetom, to będziesz w zimie w trampkach chodziła.

– Niby tak, tylko że cwaniacy mają na tym świecie dobrze, a cierpią ci dobrzy.

– Jacy dobrzy? Jacy dobrzy? Znasz jakiegoś dobrego faceta? Bo ja nie.

– Ciotka, kończę, bo ty zabijasz we mnie całą moją wiarę w sens istnienia.

– A powiedz jeszcze, z kim ty na tym weselu byłaś.

– W sumie to... z wujkiem Cebulą.

– A co na to jego żona?

– Też z nim była.

\*

Spotykam Grega na osiedlu. Pierwszy raz od jego przeprowadzki tutaj.



- No nie! Co za spotkanie! – wykrzykuję.
- Góra z górą się nie zejdzie...
- Dobra, a teraz poważnie. Nie żałujesz, że się tu przeprowadziłeś?
- Dlaczego?
- Oj, Greg, jak to dlaczego? Przecież zrobiłeś to ze względu na Doris, a nic z tego nie wyszło. I nawet się nie widzimy, od kiedy tu mieszkasz.
- A, zaskoczone jesteście? Myślałyście, że jak się wprowadzę, to stanę się prześladowcą roku? A tymczasem jest tak, jakbym wniósł fortepian na dziesiąte piętro i nawet na nim nie zagrał.
- Właśnie tak. Okazuje się, że człowiek już na nikogo nie może liczyć i nikogo być pewnym.
- Powiedz lepiej co z Mariem? – Greg zmienia gładko temat.
- Trwa. To już może tak być całe życie. Nie piorę mu skarpetek i nie ma się o co pokłócić.
- Wiesz co, trudno nawet jednoznacznie stwierdzić, że ten wasz związek jest zły.
- Dobry też nie jest. Ale tyle związków bardziej rokujących już się rozpadło: ty i Doris, Doris i Rudi na przykład, a mój, najbardziej kruchy, przetrwał. Dziwne to wszystko.
- Ale jak ty się z tym czujesz?
- Źle. Okropnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek zaufam facetom. Wszyscy zdradzają.
- Przestań! Ja tam nigdy nikogo nie zdradziłem.
- Ale ty mi się w ogóle nie podobasz.
- Ty mi też. Może w poprzednim życiu byliśmy rodzeństwem? Bo jesteś dla mnie kompletnie aseksualna. Choć uważam, że jesteś ładna – dodaje szybko.
- Ty też jesteś ładny – śmieję się. – Dobra, Greg, nie idźmy tą drogą. Lecę.

## *Dużo, dużo później...*

Dziesiąta piętnaście. Sala rozpraw.

– Wysoki sędzie, ja na samym początku chciałbym poprosić o przełożenie tej rozprawy – zaczyna Roman.

– Dlaczego? – pyta sędzia, który jest kobietą.

– Jakoś tak się dziś źle czuję.

– Ale co panu jest?

– Grypa mnie chyba bierze.

– Ale przyszedł pan jednak tutaj, więc może wykorzystajmy to? Przyniósł pan zaświadczenie o zarobkach?

– Nie, bo ja nic nie zarabiam.

– To proszę przynieść zaświadczenie, że pan nic nie zarabia.

– Ale co? Sam mam je sobie wystawić?

– Nie, księgowa.

– Ale ja nie mam księgowej.

– To sam pan się rozlicza z urzędem skarbowym?

– Tak.

– Sam pan tam wysyła co miesiąc deklaracje?

– Tak.

– To proszę je przynieść.

– Ale teraz żadnych nie wysyłam, bo nic nie zarabiam.

– Do rzeczy. Czy zgadza się pan płacić alimenty na swoje dziecko?

– Tak, ale może nie teraz, tylko za pół roku. Jak rozkręcę działalność.

– Proszę pana, dziecko jest małe i nie może czekać. Czy pan jest świadomy, że ma pan małe dziecko?

– Wysoki sędzie, ja proszę jednak o przełożenie tej rozprawy, bo bardzo źle się czuję.

Sędzia-kobieta rzuca mi pełne zaskoczenia spojrzenie.

„Co przyszło pani do głowy, żeby mieć dziecko z tym panem?” – czytam w jej oczach.

„Nikt normalny mnie nie chciał” – mam jej odpowiedzieć?

\*

– Aha, więc udał wariata? – pyta Doris po wysłuchaniu mojej relacji.

– Nie udał, on po prostu jest wariatem – stwierdzam.

– No i kiedy kolejna rozprawa?

– Za dwa miesiące. Chcę dostać te alimenty i nie chcę go nigdy więcej

widzieć.

- Ale, ale, muszę ci coś powiedzieć... Rudi się odezwał.
  - Umówiliście się?
  - Na piątek.
  - Jezu, Doris, czy ty go dalej kochasz?
  - Tak – odpowiada i zwiesza głowę.
- \*

Telefon. Mario.

- Możesz mi już gratulować!
  - Urodziło się?
  - Syn. Kochana, wielki jak dąb.
  - I jak ty się z tym czujesz? Z tym wszystkim?
  - Beti, jestem szczęśliwy. Jest człowiek, jest nowe życie. No, jak mam się nie cieszyć? Ale ja słyszałem, że i u ciebie się dzieje... I też chciałem pogratulować.
  - Tak, wyszła w końcu moja książka.
  - Zobacz, marzenia się spełniają.
  - Nie wszystkie...
  - Beti, ułoży się. Ty masz taki dobry charakter.
  - Mario, my mieliśmy tyle innych przeszkód na drodze, że nie wiem, czy miałeś czas w tym wszystkim zastanawiać się nad moim charakterem.
  - Miałem. Jesteś dobrym człowiekiem.
  - Może. I naprawdę gratuluję ci tego syna.
  - Trzymaj się.
  - Ty też.
- \*

Dzwonek do drzwi. Doris.

- To ja – bełkocze. – Ja-pi-ja-na.
- Co ty tu robisz? – dziwię się. – Przecież miałaś być u Rudiego.
- Chciałam iść do domu, ale nie mogę kluczy znaleźć.
- Daj tę torbę, zaraz poszukam. Ale dlaczego nie jesteś u Rudiego?
- Byłam, ale wyszłam.
- Dlaczego?
- Nie wiem, Beti. Nie wiem, co ja tu robię. Dlaczego jestem u ciebie, a nie u Rudiego?
- To ja się pytam. Bzyknęliście się?
- Nie chciałam. On nie byłby mi wierny. A gdybym się z nim przespała, to potem bym cierpiała. Już nic nie wiem.

Baranieję na moment.

– No nie, Doris! Jeśli tak ma wielka miłość wyglądać, to ja od razu zrobię sobie tatuaż na czole o treści: „Nie! Dziękuję!”. Chodź, zaprowadzę cię do domu.

\*

– Mamo, czy my już mamy dużo pieniędzy? – pyta moja jak zwykle bezinteresowna córka.

– Trochę już mamy, ale wciąż za mało.

– To bierz się do roboty i pisz drugą książkę. Bo ja chcę, żebyśmy miały dom. A w nim będę miała swój pokój. A w tym pokoju mebelki i różową lampeczkę. A ty co chcesz mieć w swoim pokoju, mamo?

– Chcę mieć łóżko z baldachimem, a w nim męża – wypalam bezwiednie.

Mela podrywa się na równe nogi.

– Czekaj, czekaj, mamo, już ja zaraz coś wymyślę, żebyś ty miała tego męża. Wiem! Dzwon do wujka Borysa. Przepróż go i powiedz, że szukasz męża.

– Nigdzie nie będę dzwoniła!

– No, dawaj! Bierz telefon! Dajesz czadu, mamo!

– Nie!

– To wróć do taty.

– Melu, twój tata mnie nawet nie lubi.

– To pokaż mu zdjęcie. To, gdzie jesteście razem. I on sobie przypomni, jak bardzo cię kochał.

– To nie jest takie proste. Jeszcze ja musiałabym sobie przypomnieć.

– Mamo!

– Mela, daj spokój. Ja mam lepszy pomysł. Może znajdziemy sobie kogoś całkiem nowego?

Mela myśli chwilę i w końcu mówi:

– No dobrze. Super.

\*

– A ty gdzie się wybierasz? – pyta Doris.

– Na wernisaż.

– A od kiedy ty na wernisaże chodzisz?

– Od dzisiaj. Zmienię wszystko, wyrwę się z tego osiedla, Doris, bo to jest jakiś zamknięty krąg. Umrę tu albo zwariuję. Jedno i drugie w samotności albo ostatecznie w twoim towarzystwie. Ja już nie mogę tak żyć. Na początek wychodzę tylko za tę bramę w celu innym niż praca i idę cieszyć się sztuką.

Mijam Doris, która stoi na klatce osłupiała, i wychodzę w miasto.

Rzeczywiście, co mi odbiło? Dobrze, że są darmowe drinki, to jakoś przetrwam tę imprezę. W dodatku jakiś gość cały czas robi mi zdjęcia. Chwilę

rozmawiamy, ale nie, to nie mój typ. Po wszystkim podchodzi do mnie i proponuje pomoc w założeniu płaszcza. Ludzie, nie mogę trafić ręką w rękaw.

– A może to będzie początek twojej nowej książki? – śmieje się. – „To od początku się nie układało. Ta ręka w rękaw żadną miarą nie mogła trafić”.

– Genialne. – Chcąc nie chcąc, wybucham śmiechem.

– Spotkamy się jeszcze?

– Chociażby po to, żebym napisała trzecią książkę? Rozważę. Ale, uwaga, w trzeciej planuję happy end.

– O nie, zawsze chciałem być czarnym charakterem.

Kładąc się do łóżka, postanawiam zrobić jednak przerwę w pisaniu i trochę pożyć. Normalnie.

KONIEC

*Układy prawie idealne*

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-161-2

© Beata Kiecana i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Szymon Błaszowski

KOREKTA: Alicja Januskiewicz

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



